

# CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-86000



# 2

(34) 2003

S. Dzedzic o „Włóczędze Bożym” ♦ T. Gaydamowicz  
o ks. Januszu Popławskim ♦ O Łędzianach wg prof. J. Na-  
lepy ♦ Opowiadanie ks. L. Jeżowskiego ♦ Wiersze K. Wie-  
rzyńskiego i M. Olbromskiego ♦ O Iwowskich Reforma-  
tach ♦ O naszych miastach ♦ Rozmowa z S. Berdakiem

## SŁUDZY BOŻY

Ten numer – jak każdego roku numer drugi – poświęcamy (w dużej części) sprawom Kościoła – dziejom, ludziom, świętym i sztuce oraz wiernym. Szczególne miejsce w naszych myślach zajmuje dziś postać Sługi Bożego Serafina Kaszuby, kapłana w zakonie Kapucynów, którego męczeńska droga życia wiodła do Nieba ze Lwowa, przez Wołyń i Kazachstan, i znowu przez Lwów. Dwukrotnie też znalazł się na owej ziemskiej drodze Kraków, a i dziś przyszło temu miastu odegrać rolę szczególną: tu rozpoczęły się starania o wszczęcie procesu beatyfikacyjnego, odesłanego już do Rzymu. Krakowskie środowisko wschodniomałopolskich expatriantów – podobnie jak do niedawna w intencji wyniesienia na ołtarze błogosławionych Józefa i Zygmunta – włącza się całym sercem do modlitwy o rychłe uznanie przez Kościół heroicznych cnót Ojca Serafina. Sekundują nam w tym środowiska Wołyńian i Sybiraków. Apelujemy do wszystkich Rodaków, poczynając od Lwowa, Wrocławia i Warszawy, o wsparcie naszej wspólnej intencji.

Ale jest jeszcze druga podobna sprawa, o której nie wolno nam zapomnieć. Na sąsiedniej stronie pani Barbara Czałczyńska przywołuje wielką postać Arcybiskupa-Metropolity lwowskiego, potem i krakowskiego, Eugeniusza Baziaka. Los zgotował Mu szczególnie trudne doświadczenia w biskupiej postudze we Lwowie, później w Krakowie, a ich ciężar wcale nie ustępował – jakże dobrze znanym – dramatycznym doświadczeniom kardynała Stefana Wyszyńskiego. Jednak o ciernistej drodze biskupa Eugeniusza wciąż głucho... Wśród wielu kandydatów do chwały ołtarzy w świecie, w Polsce, nawet w Krakowie, postać Eugeniusza Baziaka zasługuje na uwagę specjalną. I specjalną modlitwę.

Jako ciekawostkę warto przypomnieć, że w *linii sukcesji apostolskiej* abp E. Baziak był „synem syna” abpa Józefa Bilczewskiego (który konsekrował abpa Bolesława Twardowskiego, a ten Baziaka) oraz „ojcem” papieża Jana Pawła II, którego konsekrował na biskupa na Wawelu w 1958 r.

\* \* \*

W tym numerze zamieszczamy kilka innych jeszcze materiałów. Polecamy przestudiowanie dokończenia artykułu prof. J. Nalepy – o Łędzianach, bo to trzeba wiedzieć! Warto przeczytać wyjaśnienie zachodnioeuropejskiego rodowodu naszych polskich miast. I przyglądajcie się tym miastom w czasie wycieczek – aż po Kamieniec Podolski. Do czego zachęcamy.

\* \* \*

Ten numer dotrze do Państwa już po Świętach, ale pragniemy zapewnić, że w Dniach Wielkiej Nocy myśleliśmy o Was – naszych Czytelnikach, Sponsorach, Autorach i Współpracownikach, życząc Wam wszelkich Łask Zmartwychwstałego.

Redakcja

Niniejszy numer CRACOVIA-LEOPOLIS  
został wydany przy pomocy finansowej

Wdziąku Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa

Redakcja składa serdeczne podziękowanie w imieniu Czytelników, Autorów i własnym

## FELIETON O LUDZIACH STAMTĄD II

*Chodzona w lutym pięćdziesiąta rocznica procesu Kurii Krakowskiej przypomniła mi Osobę zmarłego w 1962 roku Eugeniusza Baziaka, arcybiskupa-metropolity lwowskiego, a od roku 1953 także krakowskiego. Trzeba powiedzieć, że ta wielka Postać jakby znikła i została zapomniana. Lata Jego postugi Kościołowi krakowskiemu upłynęły między dwiema wielkimi indywidualnościami: kardynałem Adamem Stefanem Sapiehą i arcybiskupem Karolem Wojtyłą, obecnym papieżem Janem Pawłem II. A były to lata dla Kościoła, zwłaszcza w Krakowie, niesłychanie ciężkie. Rozpoczął je proces Kurii Krakowskiej, który był uderzeniem w Kościół znanymi z podłości komunistycznymi metodami.*

*Myszę, że należałoby się zastanowić nad losem lwowskiego Przybysza. Wiadomo było, że lepiej od innych był obeznany z sowieckimi metodami działania. Ciężko doświadczony w czasach lwowskich Arcybiskup zdawał sobie zapewne sprawę, jak wielka odpowiedzialność na nim spoczywa. Chodziło tu przecież nie tylko o zwykłe przetrwanie, ale o uratowanie Kościoła w Polsce przed zakusami komunistycznymi, a także o jego umocnienie w tej, zdawałoby się, nierównej walce. Była to na pewno cicha i mało wdzięczna praca, wymagająca hartu ducha i nie zawsze dająca poczucie pewności. A jednak ten sposób postępowania arcybiskupa Baziaka, jak przekonaaliśmy się, wydał w przyszłości owoce. To, co zostało uratowane z tamtych okrutnych czasów, pozwoliło nie tylko przetrwać, ale i położyć podwaliny Kościoła działającego w niepodległym już kraju. Kościół wyszedł z tej próby nie tylko nie uszczuplony, ale zwycięski. I dlatego myślę, że powinniśmy wspomnieć ludzi – zwłaszcza arcybiskupa Baziaka – z wielką wdzięcznością. Dla nas niech będzie jeszcze dodatkowym powodem wdzięczności to, że Eugeniusz Baziak do końca życia zachował tytuł arcybiskupa Lwowa.*

Barbara Czałczyńska

Na I stronie okładki:

**KRÓLOWA JADWIGA** (1374–1399). W 1387 r. udała się do Lwowa, by zakończyć tam bezprawne rządy węgierskie, zaprowadzone przez jej ojca Ludwika, króla Węgier i Polski. Był on siostrzeńcem i następcą na tronie polskim Kazimierza Wielkiego, który Ziemię Czerwieńską odzyskał dla Polski i założył nowy Lwów – jako miasto europejskie na prawie magdeburskim. Ludwik Węgierski potraktował Ziemię Czerwieńską jako własność swojej dynastii (Andegawenów, królujących na Węgrzech). Namiestnikiem we Lwowie mianował zniemczonego Piasta śląskiego, księcia Władysława Opolczyka, którego zadaniem było wyrugowanie z całej tamtej Ziemi rządów polskich. Stan ten nie mógł być przez Polskę tolerowany, stąd wyprawa Królowej Jadwigi wraz z polskim rycerstwem dla przywrócenia polskiego władztwa. Wkrótce za Królową przybył tam

**KRÓL WŁADYSŁAW JAGIEŁŁO** (1348–1434), który w rok później wydał następujący dokument: ... przyrzekamy treścią niniejszego i ślubujemy, że powiat, ziemię oraz miasto nasze Lwów żadnemu księciu ani nikomu innemu nie oddamy, ani w jakikolwiek sposób nie przekażemy, lecz ów powiat i miasto Lwów za Nasze oraz najjaśniejszej księżniczki i pani Jadwigi, Królowej Polski, małżonki naszej najdroższej, tudzież dzieci naszych i Korony Królestwa naszego Polskiego uważać będziemy oraz po wieczne czasy na zawsze posiadać chcemy. Czego świadectwem niniejsze pismo, na którym załączona jest nasza pieczęć. Dan w Lublinie, w dzień błogosławionego Michała Archaniola [29 września] Roku Pańskiego tysięcznego trzechsetnego osiemdziesiątego ósmego.

Patrz także CL 3/97.

Portrety królów w tym i pozostałych numerach CL/2003 wg Pocztu Królów Polskich Jana Matejki.

Tadeusz Gaydamowicz

## O KSIĘDZU JANUSZU POPŁAWSKIM

### Wspomnienia kolegi szkolnego

9 sierpnia 2002 r. odszedł od nas na zawsze ksiądz Janusz Poplawski, kapłan Archidiecezji Lwowskiej, kapelan Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, prezes Oddziału Warszawskiego TMLIKPW, a przede wszystkim gorliwy, tryskający energią i patriotyzmem duszpasterz, obdarzony wielką charyzmą w obcowaniu z ludźmi, zwłaszcza z młodzieżą i harcerzami, bez reszty oddany sprawom ukochanych Kresów i wszystkich kresowiaków – tych, którzy pozostali na Ziemi Ojców, i tych, którzy byli zmuszeni je opuścić.

Nie zamierzam w tym krótkim wspomnieniu opisywać szczegółowo drogi życiowej śp. Księdza Janusza, gdyż jest ona powszechnie znana, zwłaszcza lwowiakom i kresowiakom, pamiętającym Jego liczne wystąpienia na uroczystościach kościelnych i narodowych, ubogaconych wspaniałymi kazaniai, krzepiącymi serca i umysły słuchaczy, a także liczne publikacje oraz kontakty osobiste, które Ksiądz Janusz bardzo sobie cenil i pielęgnował. Jako Jego kolega szkolny, chcę uzupełnić życiorys o stosunkowo mniej znany okres Jego życia, a mianowicie lata młodości spędzone we Lwowie.

Z Januszem poznałem się we wrześniu 1934 r. we Lwowie w Zakładzie im. Abrahamowiczów dla chłopców pochodzących przeważnie z kresowych rodzin ziemiańskich, pragnących kształcić swoje dzieci w elitarnych szkołach lwowskich.

Janusz urodził się 29 stycznia 1922 r. w rodzinnym majątku ziemskim w Juśkowcach na pograniczu Podola i Wołynia, nie-

daleko rzeki Zbrucz, stanowiącej granicę z Rosją Sowiecką, jako syn Michała i Felicji z Kańskich. Po ukończeniu 10. roku życia rodzice umieścili Go na dalszą naukę we Lwowie.

Ja przyjechałem tam w końcu sierpnia 1934 r. z moją Matką z rodzinnej Besarabii (wówczas Rumunii), gdzie po ukończeniu 4-klasowej Szkoły Polskiej w Kiszyniowie z woli Rodziców miałem dalszą naukę kontynuować w Polsce. Zatrzymaliśmy się na kilka dni u znajomych we Lwowie, gdyż miejscem docelowym dla mnie miało być Liceum im. T. Czackiego w Krzemieńcu. Ze względu jednak na panującą tam epidemię czerwonki początek roku szkolnego miał być opóźniony. W tej sytuacji Matka załatwiła mi przyjęcie do Zakładu Abrahamowiczów. I tak pozostałem we Lwowie.

Pamiętam, że pierwsze dni w nowym środowisku nie były dla mnie łatwe. Na szczęście od dziecka byłem w miarę samodzielny i mówiłem dobrze po polsku, choć z typowym wschodnim akcentem, więc dość szybko aklimatyzowałem się.

Z Januszem od samego początku połączyło mnie bliskie koleżeństwo, które z czasem przerodziło się w przyjaźń. Razem uczęszczaliśmy do Szkoły Powszechnej (wtedy nr 8) im. Marii Magdaleny przy ul. Potockiego, z tym że Janusz, jako starszy o rok, był o klasę wyżej. Dyrektorem Szkoły był Mieczysław Opalek, a katechetą ks. Gola, innych nazwisk nauczycieli nie pamiętam. Z kolegów szkolnych zapamiętałem Janusza Ingardena, który potem był uczniem XI Gimnazjum przy ul. Batoiego, a już po wojnie spotkaliśmy się na Wydziale Architektury na Wawelu w Krakowie. Po ukoń-



Przed Zakładem Abrahamowiczów, Lwów, 1935. Autor stoi na murku po prawej, J. Popławski siedzi po lewej

czeniu szkoły powszechnej, obaj z Januszem Popławskim zostaliśmy uczniami IV Gimnazjum im. Jana Długosza przy ul. Nikorowicza (obok gmachu Politechniki).

Budynek Zakładu, w którym mieszkaliśmy, został wybudowany na Wzgórzach Wuleckich (naprzeciw II Domu Techników) przez braci Abrahamowiczów z końcem lat dwudziestych. Fundatorzy budynku, jako bezpotomni, chcieli w ten sposób umożliwić wychowanie i wykształcenie synom ziemian kresowych. Swoje motto umieścili na marmurowej tablicy w holu wejściowym do Zakładu. Brzmiało ono:

***Kto bezpotomnie schodzi z tego świata  
winien ojczyźnie wychować wielu świątłych synów***

Jestem przekonany, że wymienione hasło było z powodzeniem realizowane przez wychowawców, początkowo świeckich, a od 1935 r. przez Księży Salezjanów. Regulamin zakładowy dla wychowanków przewidywał czas na naukę i zajęcia samokształceniowe w różnych organizacjach i kółkach zainteresowań.

Każdego dnia przed śniadaniem uczestniczyliśmy we mszy św. w kaplicy zakładowej. Potem rozchodziliśmy się do różnych szkół na mieście. Po powrocie i po obiedzie był czas wolny wykorzystywany przeważnie na gry sportowe i zabawy. Potem było odrabianie lekcji w salach pod okiem i z ewentualną pomocą asystentów. Po kolacji, obowiązkowym czyszczeniu obuwia i zabiegach sanitarnych udawaliśmy się do pokoi sypialnych. Cisza nocna była surowo przestrzegana.

Z Januszem łączyła nas działalność w organizacjach na terenie Zakładu, jak Krucjata Eucharystyczna i Sodalicia Mariańska, a przede wszystkim w życiu XVI Lwowskiej Drużyny Harcerskiej im. Jerzego Grodyńskiego. Na ile pamiętam, nasza drużyna – lwowska „Szesnastka”, uchodziła za jedną z lepszych w Chorągwi ZHP we Lwowie. Być może dlatego, że wszystkie zuchy, a następnie druhowie, mieszkaliśmy pod jednym dachem, znaliśmy się na co dzień i byliśmy przesiąknięci ideałami harcerskimi. Do dziś pamiętam doskonale dzień 14 czerwca 1936 r., kiedy to wraz z grupą druhów na obozie w lesie koło Zubrzy otrzymywaliśmy Krzyże Harcerskie i składaliśmy Przysiężenie na ręce hm. Bolesława Lewickiego. Z jakim przejęciem powtarzaliśmy słowa: *Mam szczerą wolę całym życiem pełnić służbę Bogu i Polsce, nieść chętną pomoc bliźnim i być posłusznym prawu harcerskiemu.* A potem do późnej nocy, przy blasku ogniska i szumie lasu, śpiewaliśmy pieśni harcerskie i słuchaliśmy



gawędy starszych druhów. Janusz był już wtedy zastępowym „Rysiów” w stopniu wywiadowcy. Ja należałem do zastępu „Wilków”.

Działalność harcerska pochłaniała nas bez reszty w wolnych od nauki chwilach. Wiosną i jesienią organizowano biegi harcerskie połączone ze zdobywaniem różnych sprawności lub jeździliśmy na krótkie obozy w okolice Lwowa – do Brzuchowic, Zimnej Wody, Zubrzy. Braliśmy udział w różnych kursach szkoleniowych i ćwiczeniach, organizowanych przez Ligę Ochrony Powietrznej i Przeciwigazowej, Ligę Ochrony Przyrody, Komitet Wychowania Fizycznego i Przystosowania Wojskowego, Związek Strzelecki itp. Na boisku przyzakładowym urządzaliśmy zawody sportowe: lekkoatletyczne, mecze w siatkówkę, piłkę nożną lub szczypiórniaka. Czasami chodziliśmy na boiska Towarzystwa Zabaw Ruchowych (TZR), położonych obok boiska LKS „Pogoń” przy ul. Stryjskiej. W sali gimnastycznej trwały turnieje ping-pongowe, a w świetlicy dominowały szachy. Raz w tygodniu chodziliśmy na krytą pływalnię przy ul. Jabłonowskich, gdzie pod okiem instruktora uczyliśmy się pływać. Zimą, gdy tylko były warunki śniegowe, przypinaliśmy narty do butów (zwykłych!) i wędrowaliśmy wzdłuż ulicy Abrahamowiczów i Kadeckiej do Parku Stryjskiego lub szliśmy dalej, na Pohulankę, gdzie były doskonałe tereny narciarskie i saneczkowe.

Tak miały niespostrzeżenie kolejne lata, my dorastaliśmy fizycznie i umysłowo. W 1938 r. Janusz wraz z grupą starszych kolegów stworzył zespół redakcyjny miesięcznika zakładowego „Start”. W tym czasie był już drużynowym naszej XVI LDH, a ja zastępowym „Wilków”.

W takich układach zastał nas koniec roku szkolnego 1938/39. Zbliżały się wakacje letnie. Rozjeżdżaliśmy się do naszych domów rodzinnych, pełni planów na lipiec i sierpień, choć w nie najlepszych nastrojach. Powszechnie odczuwało się niepokój spowo-

dowany sytuacją polityczną i możliwością wybuchu wojny. Nie przypuszczaliśmy jednak, że już nie wrócimy do Lwowa, do Zakładu, że być może nigdy więcej się nie spotkamy.

Ja spędziłem okres wojny na uchodźstwie w Rumunii, Janusz – w kraju, na tłałczce i walce o przetrwanie. W tym czasie otrzymał powołanie do kapłaństwa, które realizował pod opieką Salezjanów w Czerwińsku i Krakowie, w Seminarium Duchownym oraz na studiach polonistycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim.

4 lipca 1948 r. Janusz otrzymał święcenia kapłańskie z rąk arcybiskupa Eugeniusza Baziaka i odprawił swoją mszę prymicyjną w Kolegiacie św. Anny. W następnych latach pracował w różnych placówkach szkolno-wychowawczych, prowadzonych przez Salezjanów, m.in. w Oświęcimiu, w Ostreszowie (gdzie był również komendantem hufca harcerskiego), w Częstochowie. W r. 1955 został skierowany do Piły, do parafii Świętej Rodziny, gdzie przebywał przez osiem lat, zaskarbiając sobie wdzięczność i trwałą pamięć licznych parafian, uczniów i przyjaciół. Był tam m.in. prefektem w Liceum Ogólnokształcącym, zorganizował parafialny chór „Piłskie Wróbelki”, z młodzieżą przygotowywał inscenizacje sztuk teatralnych.

W r. 1963 powrócił na skrawek Archidiecezji Lwowskiej z *siedziwą* w *Lubaczowie*, gdzie pracował jako wikariusz w Oleszycach i Cieszanowie. Zorganizował od podstaw nową parafię w Dachnowie (ok. 3 km od Lubaczowa), a następnie przez krótki, półtoraroczny okres przebywał w Baszni Dolnej. W 1985 r. z uwagi na pogarszający się stan zdrowia przeszedł na emeryturę. Krótki pobyt w Gnieźnie, a następnie aż do śmierci w Zakładzie dla Niewidomych w Laskach k. Warszawy.

Moje kontakty z Januszem Popławskim, przerwane ze zrozumiałych względów w czasie wojny, zostały nawiązane wiele lat po wojnie. Wiedziałem już od Księża Salezjanów, że Janusz jest kapłanem, ale do serdecznego i wzruszającego spotkania doszło w Krakowie, w latach 80. Ksiądz Janusz był jak zwykle pełen energii i zapału do pracy, zwłaszcza na Kresach, dokąd stale jeździł pomagając w odbudowie zniszczonych świątyń i organizując tam początki odradzającego się życia religijnego.

Bardzo lubił przyjeżdżać do Krakowa, gdzie miał grono swoich przyjaciół i z który-

mi łączyły go wspomnienia ze studiów seminaryjnych i uniwersyteckich. Początkowo zatrzymywał się u pp. Hollanków na Krowodrzy, a potem w moim mieszkaniu, gdzie – jak mawiał – miał „swoją” pokój. W trakcie tych krótkich pobytów chodziliśmy rano do mojego kościoła parafialnego pw. św. Wojciecha na Osiedlu Bronowickim, gdzie ks. Janusz odprawił mszę św. Ja podczas każdego pobytu w Warszawie odwiedzałem Janusza w lokalu TMLiKPW w budynku „Wspólnoty Polskiej” przy Krakowskim Przedmieściu albo czasami w Laskach.

4 lipca 1998 r. brałem udział w jubileuszu 50-lecia kapłaństwa i uroczystej mszy św. odprawianej przez dostojnego Jubilata w kościele św. Marcina przy ul. Piwnej w Warszawie, przy obecności bardzo wielu przyjaciół-kresowiaków. 28 stycznia 2002 r. uczestniczyłem w 80. rocznicy urodzin Księdza Janusza i spotkaniu przyjacielskim w lokalu TMLiKPW w Warszawie. Nikt z obecnych nie spodziewał się wtedy, że to już nadchodzą ostatnie miesiące życia ks. Janusza. Jeszcze w maju i na początku czerwca odwiedzał nas w Krakowie. Pamiętam, że umawialiśmy się na następne spotkanie w lipcu w Warszawie. Niestety już do niego nie doszło.

13 sierpnia 2002 r. uczestniczyłem w mszy św. żałobnej w kaplicy ss. Franciszkanek Służebniczek Krzyża Świętego w Laskach, którą celebrował ks. biskup Marjan Trofiński z Łucka w asyście licznych księży i sióstr zakonnych, z udziałem wielu delegacji i pocztów sztandarowych, harcerzy, kresowiaków i przyjaciół z całej Polski. Pożegnalną homilię wygłosił ks. prof. dr Jerzy Misiurek z KUL. Pożegnalne przemówienia wygłosili m.in. dr Andrzej Kamiński w imieniu Zarządu Głównego TMLiKPW, Stanisław Leszczyński w imieniu Oddziału Warszawskiego Towarzystwa i min. Andrzej Przewoźnik z Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

Ksiądz Janusz został pochowany na skromnym cmentarzu przy Zakładzie w Laskach. Wszystkim obecnym na tej smutnej uroczystości dziękował Jego bratanek, ks. Jarosław Popławski z Lublina.

W opracowaniu życiorysu Księdza Janusza korzystałem z wypowiedzi i listu otrzymanego od ks. Jarosława Popławskiego.

## Naszym zdaniem

# RATUJMY ZABYTKI SAKRALNE

Z końcem 2002 r. przybyły na Wawel długo oczekiwane wybitne dzieła sztuki i pamiątki:

- ostatnia seria darów śp. Karoliny Lanckorońskiej (obrazy, rzeźby, meble), które Ofiarodawczyni chciała zachować przy sobie do końca życia, oraz
- XVIII-wieczny obraz malarza holenderskiego, a należący do kolekcji Leona Pinińskiego, ofiarowany Wawelowi w 1932 r. (o hr. Pinińskim pisaliśmy w CL 1/01).

Tak się składa, że wymienione dzieła sztuki pochodzą od wschodniomałopolskich dobrodziejów. Do wymienionych dwóch nazwisk dodajmy jeszcze Abrahama Golewskiego i wielu skromniejszych donatorów ze Lwowa i Małopolski Wschodniej; przypomnijmy ponadto, że wspaniałe dary ze zbiorów rodziny Lanckorońskich z Rozdołu (i Rzewuskich) trafiły także do muzeów warszawskich.

Jest więc kultura polska II i III Rzeczypospolitej moralnym dłużnikiem tamtej, oderwanej od Macierzy połowy Kraju, jej polskiej społeczności i zachowanych tam resztek spuścizny naszej historii i kultury. Naszej – to znaczą polskiej w ogóle.

Jak się dzisiejsza Polska odwdzięcza? W prasie przeczytaliśmy, że Senat wykreślając ze swego budżetu środki na wspieranie działalności religijnej wśród Polaków na Wschodzie, w y l a ł d z i e c k o z k a p i e l a, likwidując zarazem wiele ważnych przedsięwzięć kulturalnych. Szczególnie zabolęło nas, iż odmówiono dotacji na szkolenie kleryków w zakresie historii sztuki sakralnej.

Zastanówmy się. Do Seminarium Duchownego w Brzuchowicach przychodzą młodzi ludzie (w większości zapewne ze wsi, a w pewnym procencie nie-Polacy),

którzy ukończyli szkoły ukraińskie, a więc wprowadzeni w inny krąg kultury niż ten, który reprezentują kościoły rzymskokatolickie. Mówiąc po prostu: ich rozeznanie wartości ciągle jeszcze licznych dzieł sztuki pozostałych w tamtejszych kościołach (architektura, rzeźba, malarstwo ścienne i obrazy, przedmioty liturgiczne itd.) jest zapewne nikłe; podobnie w kwestii znajomości polskiej historii w ogóle, a historii lokalnej w szczególności. Co gorsza, czasem nawet mogą być do tych spraw nastawieni nieprzyjaźnie.

Wykład historii sztuki sakralnej – zakorzenionej w kulturze łańciskiej Europy, w tym sztuki polskiej – mógł w jakimś stopniu załagodzić ewentualne zagrożenia. Niestety zabrakło pomysłu...

Mamy konstruktywny wniosek. Zwracamy się do Prezesów:

- Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, prof. Andrzeja Stelmachowskiego oraz prof. Ryszarda Brykowskiego,
- Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie”, p. Tadeusza Samborskiego,
- Zarządu Głównego TMLiKPW, dra Andrzeja Kamińskiego,
- Federacji Organizacji Polskich nU, p. Emilii Chmielowej,
- Federacji Organizacji Kresowych, p. Stanisława Mitraszewskiego
- Dyrektora Wawelu prof. dra Jana Ostrowskiego

o wspólne wystąpienie do Władz w Polsce o przywrócenie szkolenia kleryków, którym w przyszłości mają być powierzone ocalałe z sowieckiej pożogi polskie kościoły, kaplice, pomniki i związane z nimi pamiątki naszej historii.

Może przy okazji warto by zwrócić uwagę Władz polskich na – zmasakrowane przez wandalii XX wieku i nieubłagany upływ czasu – przynajmniej trzy perły naszej architektury, i poprosić przynajmniej o przykrycie dachem:

- kościoła zamkowego w Brzeżanach,
- gotyckiego kościoła w Podhajcach,
- kościoła w Hodowicy.

Ratujmy co się da!

Redakcja CRACOVIA-LEOPOLIS

Stanisław Dziejcz

# Włóczęga Boży na nieludzkiej ziemi

Powiadają, że któregoś dnia O. Serafin Kaszuba słysząc śpiewaną w jego obecności w dalekim Kazachstanie starą polską kolędę „Nie było miejsca dla Ciebie” zaimprovizował naprędce dalsze jej wersy, które oddają dobrze jego tułaczą postugę duszpasterską:

*Wśród stepów Kazachstanu,  
Syberii mroźnej ziemi  
Szukamy miejsca dla Ciebie  
Jak ongiś w Betlejemie<sup>1</sup>.*

Kim był ów skromny zakonnik franciszkański, nazywany „Włóczęgą Bożym”, o którym mówiono, iż w ZSRR – „na nieludzkiej ziemi”, wbrew szykanom i panującemu tam terrorowi przemierza tysiące kilometrów, docierając z posługą kapłańską do odległych zakątków rozległego imperium. Świątobliwy asceta, bez reszty oddany Bogu i pozbawionym opieki duszpasterskiej wspólnotom religijnym, był w totalitarnym kraju urzędowego ateizmu przedmiotem niewybrednych ataków i oskarżeń o... rozwiązłość i opilstwo.

Urodził się w 1910 r. na peryferiach Lwowa, na Zamarstynowie, w rodzinie robotniczej, jako czwarte, najmłodsze dziecko Karola i Anny z domu Horak. Oboje rodzice należeli do III zakonu św. Franciszka, byli też zaangażowani w prace organizacyjne przy tworzeniu w swojej dzielnicy parafii św. Franciszka z Asyżu, prowadzonej przez kapucynów. Klimat rodzinnego domu, pełny głębokiej pobożności, wzajemnej miłości i solidaryzmu, kształtował osobowość małego Alojzego, był też w przyszłości psychicznym oparciem dla ciężko doświadczonego przez reżim komunistyczny zakonnika. Przemocny wpływ, obok domu rodzinnego i szkoły, na kształtowanie jego sylwetki duchowej miała miejscowa parafia, w której pracowali gorliwi kapłani kapucyńscy – m.in. o. Anioł Madeyewski, o. Gabriel Banaś czy

ulubiony przezeń katecheta – o. Tadeusz Kraus. Podziwiał szeroką działalność oświatową i społeczną o. Aleksandra Chmury, który zakładał parafialną bibliotekę, katolickie sklepy spółdzielcze i niezłomnie angażował się przy budowie kościoła i klasztoru. Budował swoją wrażliwość, patrząc na działalność charytatywną o. Kosmy Lenczowskiego. Wpłynęły te doświadczenia i obserwacje na podejmowane przezeń w przyszłości kierunki działalności i wybór drogi życia we wspólnocie zakonnej kapucynów.

Do zakonu wstąpił wkrótce po maturze, którą złożył w 1928 roku w Państwowym Gimnazjum im. Hetmana Stanisława Żółkiewskiego we Lwowie. W Sędziszowie Małopolskim odbył nowicjat, a studia filozoficzno-teologiczne w seminarium zakonnym w Krakowie. Święcenia kapłańskie otrzymał w 1933 r. Szczególne zainteresowania literackie i językoznawcze skłoniły go do podjęcia, za zgodą władz zakonnych, studiów z zakresu filologii polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim, które uwieńczył magisterium w 1936 r.

W życiu Alojzego Kaszuby oczekiwania, jakie łączyli z jego osobą najbliżsi bądź przełożeni, rozmięły się z czynionymi przezeń wyborami lub drogami, które narzucało mu życie. Matka pragnęła wielce, by wybitnie uzdolniony syn został adwokatem, a w najgorszym razie lekarzem, przełożeni zakonu widzieli w nim gruntownie przygotowanego do zawodu nauczyciela kolegium serafickiego, profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego obiecywali mu asystenturę, a w perspektywie karierę naukową. Władał kilkoma językami obcymi – niemieckim, łaciną, rosyjskim, z czasem także hiszpańskim, uczył się sanskrytu i starocerkiewnosłowiańskiego. Pasjonowała go poezja, sztuki piękne, był dobrym matematykiem, przejawiał wyraźne uzdolnienia literackie. Wszystkie te predyspozycje w jakiś sposób determinowały kierunki pracy młodego zakonnika – teraz już ojca Serafina – w pierwszych latach jego kapłaństwa. Redagował m.in. czasopismo zakonne „Wzlot Seraficki” (1936), w latach 1937–39 uczył języka polskiego w niższym seminarium zakonnym (tzw. kolegium serafickie) w Rozwadowie, był duszpasterzem akademickim Akademii Rolniczej w Dublanach, prefektem szkół w Ostrogu, a po zajęciu wschodnich ziem



polskich przez ZSRR pełnił obowiązki duszpasterskie w różnych parafiach na Wołyniu i Polesiu, m.in. w Dermance, Karasinie i Ludwipolu. Aresztowany i uwięziony przez Niemców w Ludwipolu, zdołał się obronić dzięki biegłej znajomości języka niemieckiego przed zarzutami o szpiegostwo i nielegalne posiadanie broni. Uwolniony z więzienia, prowadził na Wołyniu działalność duszpasterską.

**P**o wkroczeniu wojsk sowieckich na Wołyń w 1944 r. i ponownym włączeniu go do ZSRR o. Serafin Kaszuba uznał za najwłaściwszą dla niego drogę pozostania wśród tamtejszych katolików, poddanych straszliwym eksterminacjom, wiedząc, że właśnie tam będzie jako kapłan najbardziej oczekiwany. W czasie wojny przeżył już piekło potwornych rzezi i wywózki ludności polskiej, tragiczne w skutkach rezultaty umiejętności podsycanej nienawiści między zamieszkującymi te ziemie narodami. Wiedział, że nadchodzące czasy będą nie mniej tragiczne, choć w innym wymiarze.

W połodze „czerwonych nocy na Wołyniu”, w ucieczkach przed pułapkami na niego stawianymi, w dzieleniu niedoli wygłodniałych tułaczy, w usługiwaniu chorym, w grzebaniu umarłych i mordowanych w bestialski sposób jego parafian, w odważnej decyzji pozostania na Wołyniu, gdy inni pociągami ponurej „repatriacji” z rozdartymi sercami opuszczali swoją ojcowiznę udając się w nieznaną na zachód, nieustannie chyba powtarzał: *Oto jestem – najważniejsze, by się nie rozminąć z wolą Bożą*. Takich decyzji nie mógł podejmować człowiek szukający siebie, swojej woli<sup>2</sup>.

W tej decyzji pozostania wśród „swoich”, którą zawsze pojmował jako właściwą i zgodną z wolą Opatrzności, zawarte były wszakże duchowe rozterki: czy nie rozminia się w tym względzie z wolą swoich przełożonych zakonnych, z którymi kontakt był wielce utrudniony, a zazwyczaj wręcz nie-

możliwy. Był przecież zakonnikiem, którego powinnością jest pozostawanie we wspólnocie. A przecież, poza pierwszym dziesięcioleciem życia zakonnego, następane dziesięciolecie kapłańskiej posługi musiał przeżyć poza wspólnotą zakonną, za którą – świadczą o tym jego liczne listy i zapiski – wielce tęsknił. Do końca swoich dni odmawiał kapucyński brewiarz, czuł się niezmiennie podporządkowany woli swoich przełożonych. Udał się na Wołyń za wiedzą i przyzwoleniem przełożonego, który roztropnie mu tego „ani nie radził, ani nie zabraniał”. Decyzję ostateczną podjął sam. Kiedy później łączność z przełożonymi była niemożliwa, właśnie w swojej pełnej poświęcenia,



Sługa Boży Serafin Kaszuba

heroicznej pracy duszpasterskiej widział znak woli Bożej, jako wolę, a przynajmniej przyzwolenie ze strony przełożonych. Żaden też z przełożonych nie stawiał mu nigdy zarzutu nieposłuszeństwa. Kiedy zaś w pewnym okresie szczególnej jego rozterki otrzymał wyraźną odpowiedź przełożonego, by czynił to, co uważa za stosowne dla chwały Bożej, uspokojony dziękował za to<sup>3</sup>.

W jego życiu wyraźny był duch ewangelicznego ubóstwa na wzór Biedaczyny. Żył prawdziwie

ubogo, nie posiadając nic, nie gromadząc żadnych dóbr materialnych, a nawet unikając ich.

„Oto jestem” – wyrzekł przy przyjmowaniu święceń kapłańskich. Te słowa nabrały szczególnie dramatycznego wyrazu, gdy stawał w obliczu tragedii wojennych i rzezi, gdy warunki w których żył, stwarzały przed nim bezustanne pytanie o gotowość ofiary z samego siebie. W okresie krwawych konfliktów ukraińsko-polskich, podleganych przez okupantów, kilkakrotnie cudem uszedł z życiem, wielokrotnie też z niebywałym heroizmem ratował życie innym, niósł ratunek i posługę duchową oczekującym.

Pracując w parafii Równe, dojeżdżał do licznych, odległych niejednokrotnie parafii pozbawionych księży (Dubno, Korzec,

Krzemieniec, Ostróg, Sarny, Zdołbunów). Już wtedy konspiracyjnie odwiedzał wspólnoty katolickie oddalone o kilkaset kilometrów od Wołynia – na Litwie i Łotwie.

**W** 1958 r. władze sowieckie postanowiły pozbawić o. Serafina możliwości legalnego sprawowania kultu i prowadzenia działalności duszpasterskiej w Równem i okolicy, w oparciu o spreparowane zarzuty, na tyle niewyszukane, że całkowicie sprzeczne z prawdą i opinią, jaką się cieszył w środowisku, nie tylko katolickim. Teraz publicznie rzucając oszczerstwa pojawiły się w miejscowej gazecie w Zdołbunowie, w której oskarżony został w niewybredny sposób o pijaństwo i rozwiążłość. Władzom miejscowym zależało nie tyle na poruszeniu opinii publicznej, bo ta, nawet wroga religii katolickiej, znała dobrze świętobliwego, pełnego poświęcenia kapłana, by uwierzyć w tak bezczelne i absurdalne szkalowanie jego osoby i Kościoła – ile o znalezieniu pretekstu, aby go stamtąd usunąć. W dwa dni później o. Serafin w istocie otrzymał zakaz sprawowania czynności duszpasterskich. Odwołał się od tej decyzji do władz republiki w Kijowie, a tymczasem potajemnie odwiedzał czynne jeszcze kościoły bądź ukryte w domach prywatnych ośrodki duszpasterskie. Władze kijowskie zwlekały taktycznie z odpowiedzią, stwarzając nadzieje na zatwierdzenie go na funkcję proboszcza w Samborze lub Korcu. Podstępnie wymeldowanemu z Równego pozostała jako bezdomnemu wyłącznie tułaczka, a ponownego zameldowania w jakichkolwiek z tamtejszych miejscowości władze odmawiały. Gdy po dotkliwej chorobie powrócił z lwowskiego szpitala na Wołyn, zastał zamknięte kościoły w Równem i Ostrogu, z którymi był tak blisko związany. Pozbawieni świątyni tamtejsi katolicy oczekiwali od niego zdwojonego wsparcia duchowego i otuchy. W 1959 r. w liście do rodziny pisał:

*Przywykłem już do niejednego, co dawniej zdawałoby się nie do zniesienia. Szkoda, że wszystkiego nie mogę opisać. Dość, że czuję się pożytecznym i potrzebniejszym może niż dawniej<sup>4</sup>.*

Nie posiadając zameldowania, konspiracyjnie docierał coraz dalej: na Białoruś, Litwę, na Zaporozże, Krym, do Kijowa czy odległej Estonii. Nękanym przez służby bez-

pieczeństwa, poddawany szykanom, zmuszony był swoją działalność duszpasterską sprawować w warunkach ściśle tajnych. Zdołał nawiązać także liczne i trwałe kontakty z ludźmi oddalonymi od Kościoła oraz wyznawcami innych religii. W listach do rodziny w Polsce posługiwał się ze zrozumiałych względów kamuflażem, unikał podawania informacji o prześladowaniach, o stanie ciągle pogarszającego się zdrowia, o osobistych zagrożeniach i ustawicznej tułaczce. Jako bezdomny włóczęga bez pracy był wrogiem ustroju, a jako ksiądz katolicki – głosi-cielem wrogiej ideologii i szpiegiem Watykanu. Gdy na czas jakiś osiadł w Leningradzie u przyjaciół, dzięki przychylności miejscowych urzędników podjął pracę jako ekspedient w sklepie zielarskim, a w Dźwińsku był palaczem w kotłowni szpitala gruźliczego. Mógł wówczas bezpieczniej docierać do miejscowych katolików i nawiązywać z nimi bliższe kontakty. Na usilne prośby ze strony rodziny, która dowiedziawszy się o stale pogarszającym się stanie jego zdrowia, namawiała go, by wrócił do Polski i podjął leczenie, w liście z 1958 r. argumentował: *Gdybym rzucił teraz tych moich biedaków, nie miałbym nigdy spokoju. Osiemnaście lat tu spędzonych zbyt mocno wżarło się w życie, żeby można z lekkim sercem zacząć coś innego. Pewnie, że gdyby taka była wola Boża wyrażona przez Przełożonych, nie wahałbym się ani chwili, ale tego nie widzę, a raczej coś zupełnie przeciwnego<sup>5</sup>.*

**U**stawicznie śledzony i nękanym przez organa tamtejszej bezpieki, postanowił dotrzeć konspiracyjnie do odległego Kazachstanu. Wielokrotnie docierały do niego poufne in-



Ojciec Serafin z parafianami w Zdołbunowie, ok. 1950 r.

formacje o ogromnych rzeszach Polaków, ale także m.in. Ukraińców i Niemców deportowanych tam przez Sowietów, żyjących w nader trudnych warunkach bytowych. Ze względu na garstkę pracujących tam księży, byli oni nieomal pozbawieni opieki duszpasterskiej. Po dłuższych przygotowaniach, jesienią 1963 r. znalazł się wśród katolików w Kazachstanie. Nie tylko katolików, bowiem blisko i wielokrotnie współpracował z prawosławnymi oraz wyznawcami innych religii, a także ateistami. Sytuację w Kazachstanie zastał wyjątkowo trudną i złożoną. Już wcześniej docierał na Syberię, za Ural, do Altajskiego Kraju, ale Kazachstan w którym wg rozbieżnych informacji, naówczas skrywanym przez władze, żyło około 60–100 tysięcy Polaków, którzy przeszli straszliwą gehennę przymusowych deportacji, miał się okazać pobytem dłuższym, po paroletnim, miejscem morderczej, choć satysfakcjonującej pracy, ale i straszliwych represji.

Spadały one także na jego poprzedników. Księża Bronisław Drzepecki i Józef Kuczyński przebywali jeszcze w obozie, ks. Władysław Bukowiński dopiero co wyszedł z obozu dla *religioznych* w Sosnowce, w Republice Mordowskiej. Władze ZSRR, mając złe doświadczenia w umieszczaniu duchownych z osobami świeckimi, zaczęły na szerszą skalę tworzyć specjalne obozy dla księży różnych wyznań i sekciarzy. Serafin miał możliwość dowiedzieć się o tych praktykach władz, o metodach walki z religiami i upokorzeniach duchownych w takich obozach. Wkrótce i on miał trafić do więzienia, tyle że innego. A miał o czym opowiadać ks. Bukowiński. W Sosnowce przebywał właśnie po więzieniu i przymusowym pobycie w domu starców greckokatolicki metropolita lwowski Josoph Slipyj, zanim papież Jan XXIII nie wyprosił w 1962 r. u władz sowieckich zwolnienia metropolity i pozwolenia na wyjazd do Rzymu, gdzie zaszczycony godnością kardynała spędził resztę życia. Z metropolią przebywało kilkadziesiąt księży unickich, kilkuset prawosławnych, a także księży katolickich.

Przybywszy do Kazachstanu objął opieką duszpasterską rozległy teren celinogradzki, osierocony po zamkniętym w obozie ks. Drzepeckim, podejmował także dalekie wyprawy do wielu miejscowości, często

w całości zamieszkałych przez przesiedleńców z Polski, do których księża nie zdążyli dotąd dotrzeć. Wzruszające są jego wspomnienia o przygotowaniach pod jego kierunkiem do obchodów milenijnych chrztu Polski, do wspólnego przeżywania i duchowego łączenia się z Polakami zgromadzonymi na Jasnej Górze i we wszystkich polskich kościołach w dniu 3 maja 1966 r.<sup>6</sup>

Jego działalność duszpasterska w Kazachstanie miała również konspiracyjny charakter, a on sam, aby zmylić czujność władz, pracował zawodowo, otwierając warsztat introligatorski. Czasy się trochę zmieniały, metody walki z religią – zdarzało się – miały mniej jaskiniowy charakter, wprowadzano do tych metod więcej pozorów i perfidii. Uparcie ponawiane zabiegi przez wspólnoty religijne o prawo do miejsc kultu czasem odnosiły krótkotrwały zazwyczaj skutek, przybierały oficjalny charakter i jakieś pozory administracyjnej pertraktacji. Z drugiej jednak strony organa bezpieczeństwa wzmagały działania represyjne, do których obok funkcjonariuszy włączała się m.in. młodzież z komsomołu. Zabiegi o Serafina o otwarcie nowych miejsc kultu nie tylko nie dały rezultatów, ale i on sam, wielokrotnie szykanowany, został w 1966 r. aresztowany w czasie jednej z „wypraw apostołskich” w Kustunaju i pod zarzutem włóczęgostwa skazany na pięcioletnie zesłanie do sochozu w Arykty, skąd został wcześniej uwolniony. Miejsce zesłania stało się dla niego nowym wyzwaniem duszpasterskim z którego chętnie korzystali także przedstawiciele innych wyznań, a także niewierzący.

Proszony o posługi duszpasterskie, dzięki współdziałaniu ze strony wtajemniczonych osób, docierał m.in. do Arszatyńskiej, Dżangis, Kuduku, Zenteke. Zatrzymany podczas jednej z takich podróży przez milicję z końcem 1966 r., skazany został na 11 lat pobytu w zakładzie dla nieuleczalnie chorych w Małej Timofijewce, skąd w roku następnym (1967) zbiegł, by nadal jako duszpasterz niezamordowanie pracować w Kazachstanie.

Nie uskarżał się na niewygody, na to, że wielokrotnie dotkliwie dokuczał mu już nie niedostatek, ale głód, że z powodu wyczerpania i chronicznego przemęczenia po wielu godzinach spowiadania (często tamtejsi

katolicy całe lata, a niejednokrotnie dziesięciolecia oczekiwali na możliwość spowiedzi) mdlał w konfesjonale. Najboleśniejszym ciosem były dla niego, gorącego czciociela Eucharystii, takie chwile, gdy nie mogąc odprawiać mszy lub nie mając jakichkolwiek warunków do jej sprawowania, odprawiał ją z pamięci, bez chleba i wina.

**P**od wpływem nalegań, m.in. rodziny, a także coraz dotkliwszej w wypełnianiu obowiązków kapłańskich głuchoty i pogłębiającej się gruźlicy, zgodził się poddać leczeniu szpitalnemu w Polsce. Kiedy w sierpniu 1968 r. dotarł wreszcie do ojczyzny, był przyjmowany z niezwykłą serdecznością, zarówno przez rodzinę, wspólnotę zakonną, jak i dawnych wołyńskich parafian, którzy przyjeżdżali do niego z odległych zakątków kraju. Perspektywa powrotu do ZSRR stawała się niepewna z powodu pogłębiającej się gruźlicy. Leczenie szpitalne, dolegliwości pooperacyjne, wreszcie przerywany krwotokami okres rekonwalescencji wyczerpanego chorobą i trybem życia zakonnika trwały do roku 1977. Podczas jednego z pobytów w szpitalu, gdy stan jego zdrowia był bardzo ciężki, przybyła z odległego Kazachstanu starszka, którą tamtejsza wspólnota wysłała skrycie, by nakłonić ojca Serafina do powrotu do swoich podopiecznych. Rozesła się tam bowiem wieść, że schorowany zakonnik już do nich nie wróci. Gdy w obecności przeora odwiedziła zmienionego chorobą, przykutego do szpitalnego łóżka kapłana, ujawniła przed nim z płaczem cel swojej wyczerpującej podróży, prosząc o powrót. Tamtejsi katolicy pozbawieni byli opieki duszpasterskiej, bowiem prawie wszyscy i tak nieliczni księża osadzeni byli w łagrach, przytułkach, by nie mogli wypełniać obowiązków kapłańskich.

Gdy więc tylko poczuł się lepiej, nie bacząc na przeciwwskazania zdrowotne, powrócił do Kazachstanu. W kilka lat później, w 1974 r. przybył na dłuższy czas na Ukrainę, wiążąc się bliżej głównie ze Lwowem i okolicami, ale wyjeżdżał nadal także poza jej granice – m.in. do Kazachstanu. Mimo gwałtownie pogarszającego się zdrowia i coraz dotkliwszych ataków gruźlicy, odbywał wciąż dalekie podróże apostołskie. Cieszyły go wieści o otwarciu, po wieloletnich staraniach czynionych przez miejsco-

wych katolików, kaplic – m.in. w Taińczy, Karagandzie, Ałma-Acie czy Kustanaju, gdzie wcześniej w prywatnych mieszkaniach i w warunkach ścisłej konspiracji odprawiał msze, spowiadał, głosił homilie. I choć te pozwolenia na oficjalne sprawowanie kultu miały na ogół charakter krótkotrwały, wynikały one z czynionych przez władze pozorów wolności religijnej – miały one dla tamtejszych społeczności katolickich znaczenie moralne. I tak radość z powodu zgody władz na otwarcie kaplicy w Krasnoarmiejsku rychło została ostudzona warunkiem, który tamtejsze władze zastrzegły: jeśli choć raz o. Serafin pojawi się w tej kaplicy, zostanie ona natychmiast bezpowrotnie zamknięta. W ten sposób wieloletnie zabiegi o legalne sprawowanie nabożeństw zostały okrutnie udaremnione.

*Niebezpieczny włóczęga, pasożyt, wartykański szpion* – pisano o nim znów w radzieckiej prasie. Ci, którzy się z nim spotykali, mówili o nim jako o prawdziwym apostołe lub zgoła prosto: to święty człowiek. Koczownicze, pełne niewygód życie oraz postępująca choroba wyczerpały organizm i siły zakonnika. Nie poddawał się, wciąż pełen szerokich planów. Wiedział, że jest wciąż śledzony, że KGB wykorzysta wszelkie preteksty, by go osadzić w przytułku czy areszcie, byle wyeliminować jego wpływ na „religijność”.

Gdy 19 września 1977 r. wracał z Równego do Lwowa, zepsuł się autobus, musiał więc mimo dotkliwego zimna i deszczu odbyć kilkukilometrową podróż pieszo. Zamierzał zatrzymać się i nabrać sił w mieszkaniu tamtejszych katechetek, konspiracyjnie nauczających religii, ale został w porę ostrzeżony, że policja poszukując go, dokonała tam właśnie rewizji, zabierając wszystkie jego książki i modlitewniki. Zanim więc znajomi zdołali znaleźć jakiś kąt na noc, musiał zmarznąć, w przemoczonym odzieniu oczekiwać na ulicy. W końcu zaprowadzono go do mieszkania nieznanym mu ludzi, którzy zgodzili się udzielić mu gościny. Był u kresu sił. Gdy w kilka godzin później gospodarze zauważyli, że w jego pokoju wciąż świeci się światło, zaniepokojeni weszli do pomieszczenia, zastając martwego zakonnika. Zmarł trzymając w rękach sfatygowany brewiarz, z którym przemierzał rozległe terytoria *nie-ludzkiej ziemi*.



Ojciec Serafin  
podczas pobytu w Krakowie w 1970 r.

Pochowany został na cmentarzu Janowskim, nieopodal grobu Sługi Bożego, dziś już beatyfikowanego – ks. arcybiskupa Józefa Bilczewskiego.

\* \* \*

**22** grudnia 2001 r. w kaplicy arcybiskupów krakowskich, pod przewodnictwem ks. kard. Franciszka Macharskiego, zakończone zostało postępowanie kanoniczne w procesie beatyfikacyjnym O. Serafina Kaszuby na szczeblu diecezjalnym, rozpoczęte 2 grudnia 1991 r. Dalsze etapy postępowania w procesie prowadzone będą w Kongregacji do Spraw Świętych.

Życie religijne na Ukrainie w czasach współczesnych odradza się, choć nie bez rozlicznych trudności. Z podziemia wyszedł Kościół greckokatolicki, w okresie sowieckim brutalnie zdelegalizowany. Żył w konspiracji. Dotkliwie okaleczony, pozbawiony nieomal wszystkich świątyń, odbudowuje swoje struktury Kościół katolicki obrządku łańciskiego. Większość świątyń, do których docierała z duszpasterską posługą o. Serafin, systematycznie zamykanych pod ładą pretekstem lub bez podania pretekstu, została w ostatnich latach zwrócona Kościołowi, choć nie zawsze łańcinnikom. Trwa tutaj pamięć o heroicznym zakonniku, który –

używając nazwy Józefa Czapskiego – *nie-ludzkiej ziemi* tragicznie doświadczonej, nadawał znamię bierzmowania w duchu chrześcijańskiej miłości, przebaczenia, ale i niezłomności.

Kiedy w marcu 2000 r. spotkałem w Ziemi Świętej obecnego proboszcza jednej z tych parafii, z Ostroga, ks. Witolda Józefa Kowalowa, opowiadał nie tylko o współczesnym życiu i dokonaniach Kościoła na dawnych kresach Rzeczypospolitej, mówił także z najwyższym szacunkiem o bohater-skich zmaganiach księży i osób świeckich w dobie totalitaryzmu, dzięki którym okaleczone wspólnoty tam przetrwały, m.in. o Ojcu Serafinie.

W maju 2002 r. wraz z pracownikami naukowymi krakowskiej Akademii Pedagogicznej odbywałem podróż po Ukrainie, docierając także do kilku miejscowości, w których pracował legalnie bądź konspiracyjnie o. Serafin Alojzy Kaszuba. Miałem z sobą wydawany przez ks. W.J. Kowalowa najnowszy numer „Wołania z Wołynia” (nadesłany mi życzliwie przez proboszcza z Ostroga), w którym przeczytałem słowa:

*Obecnie praca kapłanów w tej części Wołynia jest jedynie kontynuacją Jego dzieła. To dzięki Niemu zachowały się tu resztki żywego Kościoła, które mogły się odrodzić u progu lat 90. XX wieku. Dokumentując ułamki z ludzkiej pamięci, wciąż chodzę po śladach tego heroicznego duszpasterza<sup>7</sup>.*

Prawdziwości tych słów mogłem doświadczyć na miejscu.

#### PRZYPISY

- <sup>1</sup> Cyt. za: ks. Kazimierz Bukowski: *Słownik polskich świętych*, Kraków 1995, s. 239.
- <sup>2</sup> O. Hieronim Warachim OFM Cap.: *Duchowa sylwetka Sługi Bożego O. Serafina Kaszuby OFM Cap.*, Biały Dunajec – Ostróg 2000, s. 35.
- <sup>3</sup> Op.cit., s. 33.
- <sup>4</sup> Cyt. za: Teresa Tyszkiewicz: *Archipelag śladów Boga* (3), „Wołanie z Wołynia” nr 2 (45), marzec-kwiecień 2000.
- <sup>5</sup> Cyt. za: Teresa Tyszkiewicz: *Archipelag...*, jw., s. 27.
- <sup>6</sup> Szerzej: O. Serafin Kaszuba: *Strzępy, wspomnienia i zapiski*, Kraków 1994.
- <sup>7</sup> Cyt. za: O. Hieronim Warachim OFM Cap.: *Sprawa Sługi Bożego Ojca Serafina Kaszuby jest już w Rzymie*, „Wołanie z Wołynia”, nr 2 (45), marzec-kwiecień 2000, s. 29.

23 lutego 2003 roku w Kamieńcu Podolskim zmarł w wieku 84 lat biskup Jan Olszański – ordynariusz diecezji kamienieckopodolskiej. Mianowany został przez Ojca Świętego Jana Pawła II 16 stycznia 1991 roku, po rozpadzie Związku Radzieckiego, w momencie reaktywowania struktur Kościoła łacińskiego na Ukrainie. Ostatni biskup kamieniecki Piotr Mańkowski uciekł do Polski w 1920 roku. Przez

71 lat diecezja kamienieckopodolska nie posiadała swego biskupa. Duszpasterskiej pieczy biskupa Jana Olszańskiego powierzono 8 obwodów administracyjnych południowej części Ukrainy, łącznie z Krymem i Zagłębiem Donieckim, obszarem powierzchniowo zbliżonym do Polski. Dzięki Jego staraniom i nieustannej pracy odtworzono działalność ponad 200 parafii, założył Seminarium Duchowne w Gródku Podolskim, które stało się pierwszą na Ukrainie katolicką wyższą uczelnią przygotowującą duchownych do pracy duszpasterskiej. Jego praca dała podstawy do wyodrębnienia w późniejszym czasie dwóch nowych diecezji. Przez 4 lata sam pełnił posługę pasterską, dopiero w 1995 roku otrzymał pomoc w osobie biskupa pomocniczego o. Stanisława Padewskiego OFM, którego zastąpił po trzech latach o. Leon Dubrawski OFM Obs. Ten niewątpliwym sukcesem biskupa Jana Olszańskiego stał się prawdziwą nagrodą za poniesioną ofiarę duszpasterskiej pracy w latach komunizmu radzieckiego.

Święcenia kapłańskie otrzymał z rąk ks. arcybiskupa Bolesława Twardowskiego w 1942 roku, podczas II wojny światowej, w latach niepewności i w końcu dramatu Kresów. Wówczas skierowany został do pracy w Kaczanówce, a niebawem abp Twar-

dowski mianował go administratorem parafii w Gródku Podolskim. Po wojnie ksiądz Jan Olszański nie wyjechał do nowej Polski. Pozostał na terenie Ukrainy sowieckiej jako jeden z nielicznych księży. Prowadził nieustrudzenie pracę duszpasterską oficjalnie i potajemnie, narażając niejednokrotnie życie. Posługę duchownego pełnił we Lwowie jako wikariusz w katedrze oraz w kościele pod wezwaniem Matki Bożej Śnieżnej, póź-

niej, w latach 1947–1959 ponownie w Gródku Podolskim. Następnie, po przerwie spowodowanej zakazem pracy duszpasterskiej przez władze sowieckie, w Manikowcach aż do 1991 roku. To dzięki takim postaciom jak biskupi śp. Jan Olszański, śp. Władysław Kiernicki ze Lwowa i śp. Jan Cieński ze Złoczowa oraz wielu nieugiętych księży „bożych szaleńców” przetrwały bastiony wiary katolickiej i polskości w – wydawało się – bezkresnym morzu sowieckiego komunizmu.

W telegramie kondolencyjnym, jaki nadszedł do Kamieńca Podolskiego z Watykanu, Ojciec Święty Jan Paweł II napisał: *Zmarły od 1942 roku pełnił z oddaniem posługę wśród wiernych, najpierw jako kapłan, a później jako biskup. Nie była to łatwa posługa. Za*

*wyrokiem władz komunistycznych bp. Jan Olszański był przez pewien okres pozbawiony możliwości prowadzenia pracy duszpasterskiej. Nie gasiło to jednak Jego zapału. Trudności te przyjął jako wyzwanie na przyszłość, któremu stawiał czoło z odwagą płynącą z wiary.*

Ksiądz biskup Jan Olszański, ordynariusz diecezji kamienieckopodolskiej, pochowany został 25 lutego 2003 roku w kaplicy Najświętszego Sakramentu w kamienieckiej katedrze.

Janusz M. Paluch

# Biskup Jan Olszański



(1919–2003)



Przed II wojną światową oo. Franciszkanie-Reformaci z prowincji MB Anielskiej posiadali na Kresach trzy klasztory: w Rawie Ruskiej, Sądowej Wiszni i we Lwowie przy ul. Janowskiej 66. Wszystkie trzy wymienione placówki zmuszeni byli opuścić w latach 1945–46<sup>1</sup>, kiedy Lwów i inne polskie miasta aż po linię Curzona<sup>2</sup> zgodnie z postanowieniami konferencji w Jałcie znalazły się w granicach ZSRR. Żyją jeszcze ostatni kapłani, którzy pracowali na Kresach, z lwowskiego klasztoru o. Kasjan Kutyba i z klasztoru w Rawie Ruskiej o. Zbigniew Sułek<sup>3</sup>. Lwowski klasztor oo. Franciszkanów jest obecnie cerkwią pw. św. Andrzeja Apostoła należąca do Ukraińskiej Autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej<sup>4</sup>. Jego architektura, jak i wnętrza zostały niemal całkowicie zmienione<sup>5</sup>. Klasztor w Rawie Ruskiej jest doszczętnie zniszczony, w kościele mieści się wciąż zakład naprawy samochodów, a oo. Franciszkanie, którzy tu powrócili, podjęli starania o jego zwrot, mieszkając na razie w domu prywatnym. W Sądowej Wiszni w klasztorze i przebudowanym z podziałem na piętra kościele mieści się obecnie zakład dla upośledzonych kobiet. Miejscową parafię obsługują oo. Franciszkanie z prowincji pw. Wniebowzięcia MB ze Śląska<sup>6</sup>. Franciszkanie należący do omawianej przez nas prowincji pw. MB Anielskiej obecnie na terenie Ukrainy pracują też w Kowlu, a na terenie Rosji w Nowosybirsku.

# LWOWSCY REFORMACI

Paweł Należniak

Klasztor i kościół oo. Reformatów przy ul. Janowskiej 66 był drugą z kolei siedzibą tego zakonu we Lwowie. Pierwszy ufundowała w 1630 r. Zofia Daniłowiczowa, wdowa po wojewodzie ruskim Janie. W czasie działań wojennych w 1648 r. kościół pw. św. Kazimierza spłonął, lecz już w latach 1656–1664 został odbudowany na tym samym miejscu. W r. 1783, po kasacie klasztoru, zaborca austriacki przekazał zabudowania Siostron Miłosierdzia zwanym Szarytkami w celu urządzenia w nich przytułku dla sierot<sup>7</sup>. Ponowna fundacja nastąpiła pod koniec XIX wieku: 9 stycznia 1895 r. zakupiono od Karola Semigraja przy ul. Janowskiej parcelę za 22 550 koron i niewielką parcelę od magistratu za 27 koron i na tym miejscu w latach następnych zbudowano kościół pw. Świętej Rodziny, a za nim dwupiętrowy budynek klasztoru. W 1901 r. kościół został poświęcony i oddany do użytku wiernym<sup>8</sup>. W następnych latach urządzono jeszcze jego wnętrze. Uroczysta konsekracja kościoła odbyła się 2 października 1910 r., a aktu tego dokonał arcybiskup lwowski ob. łac. Józef Bilczewski<sup>9</sup>. Całkowity koszt budowy kościoła i klasztoru wyniósł 245 392 korony<sup>10</sup>.

Przed I wojną światową lwowski klasztor Reformatów obejmował swoją działalnością duszpasterską kościół, wybudowane w la-

tach 1912–13 niższe seminarium duchowne, nazywane potocznie Kolegium Serafickim św. Antoniego<sup>11</sup>, i przeniesione w 1913 r. z Krakowa wydawnictwo pisma pt. „Posłaniec św. Antoniego”<sup>12</sup>. Poza pracą duszpasterską we własnym kościele zakonnicy pracowali jako wikarzy parafii św. Anny i prowadzili katechezę głównie w szkole powszechnej im ks. Augustyna Kordeckiego. Od 1904 r. ojcowie obsługiwali również w niedzielę i święta, a później we wszystkie dni tygodnia nowo wybudowany kościół na Kleparowie pw. MB Różańcowej<sup>13</sup>. Podejmowali się też różnorodnych zadań na rzecz miejscowej ludności i klasztorów, m.in. o. Joachim Maciejczyk był spowiednikiem sióstr Felicjanek (na ulicy Żółkiewskiej), ochronek (na ulicy Gródeckiej i Janowskiej), sióstr „Apud moniales Domus laboris”<sup>14</sup> i sióstr Sakramentek. W 1914 roku w klasztorze nastąpiła zmiana przełożonego, o. Waleriana Gawędzińskiego zastąpił o. Joachim Maciejczyk, który sprawował swój urząd do 1916 roku, z kolei jego następcą został o. Beniamin Rzyziński, który był przełożonym aż do 1923 roku. Po niepowodzeniach wojsk austro-węgierskich i załamaniu się frontu 3 IX 1914 roku do Lwowa wkroczyli Rosjanie. Wcześniej, przed ich wkroczeniem, część młodszych ojców uciekła w kierunku Krakowa. Na miejscu pozostali *jedynie wiekiem*



podeszli ojcowie<sup>15</sup>, Joachim Maciejczyk i Ksawery Gurowski, dwaj kapłani diecezjalni<sup>16</sup> oraz pięciu braci. Pracy duszpasterskiej było bardzo dużo. *Nie można było nadążyć w zaopatrywaniu chorych, słuchaniu spowiedzi, głoszeniu kazań*<sup>17</sup>. Okupacja rosyjska nie zaznaczyła się większymi incydentami, ale brakowało żywności. Dużej pomocy aprowizacyjnej udzielał w tym czasie Franciszkanom wiceprezydent miasta Tadeusz Rutowski<sup>18</sup>, który po ucieczce miejscowych władz stał się *duchowym przywódcą społeczeństwa lwowskiego*<sup>19</sup>. Po przełamaniu frontu pod Gorlicami 22 VI 1915 roku Lwów ponownie znalazł się pod rządami austriackimi, a wkraczające oddziały austro-węgierskie i sprzymierzone z nimi formacje legionowe *były przez całe miasto serdecznie witane*<sup>20</sup>. Niestety Austriacy rozpętały straszliwy terror wobec ludności, aresztowali wiele osób oraz *poczęli publicznie wieszać tysiące Polaków i Ukraińców pomawianych o sprzyjanie Moskalom*<sup>21</sup>. Egzekucje wykonywano na osobach oskarżonych o szpiegostwo. Represje te spowodowały wśród lwowiaków zanik sympatii proaustriackich, ponieważ *dotknęły w dużej mierze ludzi niewinnych*<sup>22</sup>. W obronie prześladowanych z odwagą wystąpił arcybiskup Józef Teodorowicz. W związku z omawianymi represjami, od czerwca 1916 do listopada 1917 roku, w klasztorze zostali umieszczeni, również *na skutek fałszywych donosów*<sup>23</sup>, dwaj kapłani

diecezjalni: Piotr Milanowski, proboszcz z Dubna, i Antoni Grzymała, proboszcz z Beresteczka. *Z początku pozostawali w klasztorze pod ścisłym nadzorem policji, później jednak nadzór zelżał*<sup>24</sup>.

**T**rudności z zaopatrzeniem wzrastały. W mieście zapanowała drożyzna, a *jałmużny, z których klasztor się utrzymywał, całkowicie ustały*<sup>25</sup>. W zaistniałej sytuacji o. Joachim Maciejczyk wydzierżawił w sąsiedztwie od p. Stadtmüllera *kawałek pola, na którym zasiano zboża różne i zasadzono jarzyny*, jednakże pola tego zakonnicy zmuszeni byli pilnować dzień i noc, *kradzieże bowiem stały się zjawiskiem nagminnym*<sup>26</sup>. 19 III 1916 roku o. Joachim Maciejczyk obchodził z udziałem ojca prowincjała Zygmunta Janickiego<sup>27</sup> jubileusz 50-lecia swego kapłaństwa. Możemy się domyślać, że w trudnych warunkach wojennych obchody te miały nadzwyczaj skromny charakter. W latach 1916–1917 dla potrzeb wojennych Austriacy zarekwirowali wszystkie cztery dzwony i sygnaturkę, *wyplacając za nie po 4 korony za kilogram*<sup>28</sup>. Dzięki zabiegom nowego gwardiana o. Beniamina Rzyzińskiego ówczesny arcybiskup Lwowa Józef Bilczewski podarował zakonnikom *dzwon o wadze 50 kg z innego kościoła*<sup>29</sup>. W lipcu 1918 roku zarekwirowano z organów wszystkie piszczałki cynowe, płacąc po 15 koron za kilogram. W ostatnich dwóch latach wojny kon-



flikt Polaków z władzami monarchii pogłębiał się coraz bardziej. Niezadowolenie społeczeństwa polskiego wzbudził fakt aresztowania Józefa Piłsudskiego i oddanych mu oficerów oraz internowanie legionistów I i II brygady za odmowę złożenia przysięgi na wierność cesarzom Austro-Węgier i Niemiec. W mieście szerzył się głód, a wojska austriackie dopuszczały się rabunków i konfiskat<sup>30</sup>. 2 i 18 II 1918 roku we Lwowie miały miejsce dwie wielkie demonstracje przeciwko oddaniu Chełmszczyzny Ukraińcom. Władze austriackie popierały aspirację Ukraińców do utworzenia na terenie Galicji Wschodniej własnego państwa i zgodnie z decyzjami rządu wiedeńskiego gen. Pfeiffer<sup>31</sup> przekazał im całą broń, magazyny i prochownię należącą do garnizonu lwowskiego.

W czasie walk polsko-ukraińskich (1–22 XI 1918) klasztor znalazł się w samym centrum wydarzeń. Od 1 listopada w okolicy klasztoru toczyły się zażarte walki, kule karabinowe gęsto obijały się o klasztor, a wiele z nich wpadało do cel zakonnych<sup>32</sup>. 1 XI po południu zachorował o. Ksawery Gurowski i mimo pomocy lekarskiej nazajutrz zmarł. *Wśród gradu kul odprawiono nabożeństwo pogrzebowe*<sup>33</sup>. Wykorzystując godzinę względnego spokoju 4 XI o godz. 14 pochowano go na Cmentarzu Janowskim, *lecz w kondukcje pogrzebowym zasłużonego kapłana, którego trumnę wiozł koń z wózkiem, wzięło udział tylko 8 zakonników i 5 osób świeckich*<sup>34</sup>. W ciągu trzech tygodni nieustannej strzelaniny najbardziej dały się we znaki zakonnikom bezsenność i trudności ze zdobyciem podstawowych artykułów żywnościowych. Wyparcie Ukraińców ze Lwowa nie wyjaśniło sytuacji na terenie Galicji, *toteż Święta Bożego Narodzenia upłynęły w przygnębiającej atmosferze i dalszej niepewności dnia jutrzejszego*<sup>35</sup>. Za niedługo klasztor miał znów znaleźć się w ogniu walk. Od 17 III 1919 r. artyleria ukraińska ostrzeliwała miasto z pobliskich Dublan dniami i nocą. Pociski często padały wokół klasztoru, jeden z nich uderzył w dach kościoła, nie wyrządzając żadnej szkody, drugi w budynek Kolegium. Szkody czyniła też artyleria polska umieszczona na pobliskiej Górze Straceń. W wyniku ciągłych wstrząsów mury klasztoru w wie-

lu miejscach się porysowały<sup>36</sup>. Walki ustały dopiero w maju 1919 roku, kiedy to udało się wojskom polskim wyprzeć Ukraińców za Zbrucz. W lecie 1920 roku, gdy bolszewicy podeszli pod Lwów, wielu jego mieszkańców zdecydowało się opuścić miasto uciekając na zachód. Duchowieństwo jednak pozostało na miejscu, a wśród nich i Reformaci *zdając się zupełnie na wole Bożą*<sup>37</sup>.

## PRZYPISY

- <sup>1</sup> Klasztorzy w Rawie Ruskiej (diec. lwowska) i Sądownej Wiszni (diec. przemyska) opuścili Franciszkanie-Reformaci w 1945 r. Do wyjazdu ze Lwowa zostali zmuszeni w 1946 r. Zdaniem ks. Z. Zielińskiego jako ostatni opuścili klasztor w maju 1946 zakonnicy o. Tadeusz Czerwień i o. Bernardyn Dworzański (za: ks. Z. Zieliński, *Życie religijne w Polsce pod okupacją 1939–1945*, Katowice 1992, s. 268). Zdaniem o. Modesta Pasiecznika jako ostatni wyjechali również w maju 1946: bracia Polikarp Borkiewicz i Elias Wawro (za: *List o. Modesta Pasiecznika do o. Witalisa Szczerby z 20 II 1990*. Informacje te potwierdza również ks. Jan Dworzański (o. Bernardyn Dworzański), jego relacja spisana przez o. Modesta Pasiecznika dn. 14 II 1990.
- <sup>2</sup> W potocznym rozumieniu obecną wschodnią granicę Polski utożsamia się z linią Curzona, która została wytyczona 8 XII 1919 r. przez Radę Najwyższą Sprzymierzonych. Linia ta nie określała przebiegu granicy na terenie Galicji, kończyła się na rzece Bug w rejonie Sokala i Hrubieszowa. W 1919 r. Komisja ds. polskich proponowała wcielenie spornego obszaru na terenie Małopolski Wschodniej do Polski, wg tzw. „linii A”, czyli na zachód od Lwowa, lub „linii B”, czyli pozostawienia Lwowa i zagłębia naftowego po stronie polskiej. W latach II wojny światowej zaczęto utożsamiać linię Curzona włącznie z niekorzystnym dla Polski przebiegiem granicy, czyli wg „linii A”. Postanowienia Konferencji w Jałcie (4–11 II 1945) zawierały stwierdzenie o ustaleniu wschodniej granicy Polski na linii Curzona z odchyleniami od niej 5–8 km na korzyść Polski. Głęboka analiza problemu przez Piotra Eberhardta wyraźnie wskazuje, że jedynie w rejonie Puszczy Białowieskiej przyłączono do Polski tereny na wschód od linii Curzona; na kilku innych odcinkach granica została przeprowadzona na zachód od tej linii (za: P. Eberhardt, *Polska granica wschodnia*, Warszawa, s. 8–9, 149–157).
- <sup>3</sup> O. Kasjan Kaszuba mieszka obecnie w klasztorze oo. Franciszkanów Warszawa-Mokotów, a o. Zbigniew Sulek w klasztorze w Przemyślu.
- <sup>4</sup> Na Ukrainie obok Ukraińskiej Autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej istnieje też ciesząca się dużymi wpływami i posiadająca największą liczbę parafii Ukraińska Cerkiew Prawosławna Patriarchatu Moskiewskiego oraz Ukraińska Cerkiew Prawosławna Patriarchatu Kijowskiego. Szczegółowe dane (z 1992 r.) dotyczące liczebności parafii wszystkich kościołów chrześcijańskich, w tym również Ukraińskiego Kościoła Grekokatolickiego i Kościoła Rzymskokatolickiego

(dokończenie na s. 50)

Kazimierz Wierzyński

## *Litania Ziemi Lwowskiej*

Matko Boska, Patronko z Jazłowca,  
Co przy świętej schodziłaś niedzieli  
W nasze strony, i błędząc przez pola,  
W starych szańcach, o zboczach z jałowca,  
Pośród winnic i sadów moreli –  
W niebo niosłaś uroki Podola.

Matko Boska, Święta z Kochawiny,  
Na niebieskiej umieszczona smudze  
Pod opieką brzoźowego skrzydła,  
Gdzie jesienią wianki jarzębiny  
I czerwono płową kukurydzę  
Przynoszono ci zamiast kadzidła.

Matko Boska, Panno z Busowiska,  
Z naszych Karpat, które pachną smołą  
I oddechem traw na połoninie,  
Czyje światło w oku twym odbłyska  
I skąd wiatr ci wypogadza czoło,  
Kiedy lasem zachwycony płynie.

Siostro Marii cerkiewnej ze Spasa,  
Co się w innej wystawiła mowie  
A z tych samych słynie u nas cudów!  
Złoty jeleń w puszczy się wypasa.  
Złote w dębach dochodzi listowie,  
Żeby wiek był pogodą twych ludów.

Matko Siewna z polnego rozstaju,  
Na figurze schylona ubogiej,  
By urodzaj wypatrzeć niepłonny,  
Bogu miła pątniczko po kraju,  
Towarzyszko codzienna znad drogi –  
Powołujcie się wszystkie Madonny!

Każdy znak wasz i krzyż mówi głośno,  
Że ta ziemia w koronie jest waszej  
I że wiernie szkaplerze swe chowa.  
Spójrzcie wokół. Burze nad nią rosną,  
Noc bezmierna ponad światem straszy  
I o pomoc bije dzwon od Lwowa.

Spójrzcie, Matki w cierpieniu zaprawne,  
Ile kości i łez po wygnaniach  
I mąk ile ojczyzny nam strzeże!  
Pozwólcie chorągwie swe dawne  
Śród jałowców podolskich na szańcach,  
Amen, amen – modlą się żołnierze.



Matka Boska Kochawirńska

Mariusz Olbromski

## *Dokąd, Pani Łaskawa...*

Dokąd, Pani Łaskawa, w ciemną noc  
z prastarej matki łacińskich kościołów  
lecą od Twej Światłości kręgiem anioły?

Jaki ostatni szaniec wesprą szeptem  
nadziei? Spłyną jak trzepot przeczuć  
– podmuch w drzewie myśli? Czułości  
nagłym nawiedzeniem? Struną światła  
bez światła – miłości wskrzeszeniem?

Z Twojej świętości łask przedziwna moc.  
Z Twego milczenia płyną ciche chóry,  
łagodne wodospady drżące uwielbieniem.

Mgławice konstelacji wskazują bezmiar  
– dalej ciemny – – – wieki różańców sięgają  
w głębszych bezmiarów przestrzenie – – –

Planet zagasa za dnia blask, a lecą dalej  
– odbłaski Światła tylko w nocy ciemnej?  
Kto przed Twym wizerunkiem trwał i trwał  
– powraca – czy to Ty, Gwiazdo Lwowa,  
wracasz ujrzana w lustrze pamięci?

Bo głębia Twa porusza głębię.  
A blask Twój odpowiedzi woła  
– później lub wcześniej.

Z nowego tomu (2002)  
*W poszukiwaniu zagubionych miejsc*

*Stało się już naszą tradycją, że co roku przedstawiamy pięknie napisane teksty ks. Lesława Jeżowskiego, który swoje najwcześniejsze lata spędził w Tłumaczu i Stanisławowie (a dziś mieszka w Piwnicznej). Najpierw było to wspomnienie „Odpust w Niżniowie” (CL 2 i 3/99), a potem dwa pierwsze odcinki opowiadania o kościołach stanisławowskich: „Nigdy nie zapomniane chwile” (o kolegiacie stanisławowskiej, CL 1/2000) oraz „Sakralny salon Stanisławowa” (o kościele ormiańskim, CL 3/01). Dziś o kolejnym kościele.*

ks. Lesław Jeżowski

## AVE MARIA

Drugi kościół – po ormiańskim – jaki najlepiej zapamiętałem ze swojego dzieciństwa, nazywał się Ave Maria i stał przy ulicy Gillera, bocznej Lipowej, na ogrodzonym, trawiastym terenie. Jego imię było powtórzeniem półokrągłego napisu na murze, widniejącego nad wejściem. Był nieduży, jednonawowy, raczej duża kaplica niż kościół, nie wyróżniający się niczym szczególnym ani architektonicznie, ani w zdobnictwie. Gdyby nie wieża na froncie, nawet trudno byłoby go zauważyć w zabudowie ulicznej. W odróżnieniu od innych kościołów stanisławowskich Ave Maria nie miał dzwonów. Jedynie na krótko przed nabożeństwami odzywała się mała sygnaturka. Ponieważ do Ave Maria mieliśmy najbliżej z naszego domu, tam chodziliśmy na nabożeństwa majowe i inne wieczorne, a czasem i na msze św. Gdy zacząłem chodzić do szkoły im. Czackiego, jako uczeń byłem zobowiązany wraz z kolegami uczestniczyć w niedzielnych mszach św. właśnie w tym kościele, który był położony w pobliżu naszej szkoły. Chociaż stale uczęszczaliśmy do niego, to jednak nie przystępowaliśmy w nim do spowiedzi. Być może dlatego, że nie miał większej ilości konfesjonatów. Spowiadaliśmy się co kwartał, jak było wówczas przyjęte, u fary.

Główny ołtarz w prezbiterium Ave Marii miał nastawę wykonaną z ciemnego drewna, w której widniał obraz Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. Na półokrągłym zakończeniu frontowej ściany prezbiterium znajdował się szeroki równoramienny krzyż, a na nim cierniowa korona, i wąska koronkowa firanka, owalnie odgraniczająca je od nawy. Dwa boczne ołtarzyki, już w nawie, po obydwóch stronach prezbiterium, przedstawiały się bardzo skromnie. Stół nakryty obrusem, nad nim obraz lub figura. Na chórze z drewnianą balustradą brakowało organów.

Zastępowała je fisharmonia. Grał na niej dyrektor naszej szkoły Stanisław Gajkowski. A gdy coś mu przeszkodziło, zastępował go nauczyciel, pan Bryczkowski, który jednak umiejętnościami nie dorównywał swojemu pryncypałowi. Zarządzał kościołem ks. Barg, katecheta seminarium nauczycielskiego, pomagali mu inni katecheci szkolni.

Z Ave Marii niezapomniane dla mnie pozostały nabożeństwa majowe. Chętnie brałem w nich udział. Przeważnie wychodziłem na nie z domu sam. Mama, gdy nie miała pilnych zajęć – bo wtedy zostawała w domu – jakoś nie mogła zdążyć i wysłała mnie naprzód. Sygnałem przygotowania się do wyjścia było pojawienie się za oknami Szarytek, które ze szpitala szły do kościółka. Majowymi wieczorami ulica Lipowa pachniała swoimi licznymi ogrodami i ogródkami. Gdy przechodziłem obok nich, owiewała mnie silna woń kwiatów. Czasem lubiłem zerknąć jakiś wychylający się za ogrodzenie i wachać w drodze do kościoła. Skręciwszy z Lipowej na Gillera mijiałem długi, parterowy dom należący do stolarza



Kościółek Ave Maria w Stanisławowie

o nazwisku – chyba – Stelmazyński. Przez kilka nisko usytuowanych okien widziałem we wnętrzach pomieszczeń liczne meble przeznaczone na sprzedaż. Co jakiś czas pojawiały się nowe, na miejsca tych, które ktoś nabył.

Litanie loretańską śpiewało się w kościele według dwóch melodii, ale ta najczęściej używana podobała mi się szczególnie. Powtarzałem ją na fortepianie w domu i zapamiętałem do dzisiaj, chociaż później już jej nigdzie nie słyszałem. Jeżeli chodzi o kazania, nawet o poszczególne myśli w nich zawarte, podobnie jak z kościoła ormiańskiego, nie zapamiętałem niczego. Czasem, w zastępstwie ks. Barga, nabożeństwo odprawiał inny ksiądz. Raz uczynił to ks. Władysław Gądek, mój katecheta szkolny. Był on fizycznie, a zapewne i psychicznie, kontrastem ks. Barga. Odmawiał i śpiewał modlitwy głosem o jakimś specyficznym, świeckim zabarwieniu, w sposób zgoła nie kościelny, co nas, jego uczniów, zresztą szczególnie go lubiących, bardzo rozśmieszało. Ale szczytem „popisów” naszego księdza było udzielenie sakramentalnego błogosławieństwa przy końcu majówki. Mon-

strancja chwiała mu się w rękach na wszystkie strony, uczynił nią znak krzyża niezwykle szybko, tak że welon nie mógł się mu utrzymać na plecach. Toteż gdy wyszedłem z kościoła, jak to zwykle bywało, z kilkoma kolegami, dowcipkowanie i naśladowanie naszego katechety zajęło nam spory odcinek drogi do domu.

Kiedy indziej mieliśmy inne tematy rozmów. Nigdy ich nie brakowało, ale chociażby były najciekawsze, przerywaliśmy je zobaczywszy chrapące latające koło zapalonych już ulicznych lamp gazowych, brzęczące nam nad głowami, czy też latające między gałęziami drzew. Łapaliśmy je i chowali do noszonych przy sobie w tym celu pudełek (ja tego nie robiłem) lub pobawiliśmy się nimi, puszczaliśmy je z powrotem na wolność. Te uwięzione demonstrowaliśmy nazajutrz podczas zajęć szkolnych.

Nigdy nie wracaliśmy do naszych mieszkań w towarzystwie dziewczynek, chociaż mogły być z najbliższego sąsiedztwa. Uważaliśmy, że chłopcy nie powinni się zadawać z koleżankami. Tak, jak w kościele one stały po prawej stronie, a my po lewej, w szkołach zaś – my u Czackiego, one u św. Zofii.

**W Wielką Sobotę 17 kwietnia 2003 r. odszedł do Pana**

## **JERZY MASIOR**

**doktor medycyny, prezes Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa  
i Kresów Południowo-Wschodnich w Nowym Sączu**

*Trudno się z tą śmiercią pogodzić. Śp. Jerzy Masiór należał do czołowych postaci naszej społeczności ekspatriantów z Małopolski Wschodniej, był jednym z jej duchowych przewodników, Człowiekiem o wielu talentach, niezwykle charyzmicznej i niespożytej energii. Jego rozliczne zasługi i sukcesy zostaną opisane przez wielu, których Jego śmierć pogrążyła w ogromnym żalu. I my do nich należymy.*

*Urodził się w 1924 r. w Chodorowie, wychował się we Lwowie. Ukończył studia medyczne we Wrocławiu. Przez wiele dziesięcioleci pracował jako lekarz w Nowym Sączu. Tam tworzył swoją poezję i piosenki, uczył młodzież polskiej historii Ziemi Wschodnich, organizował zespoły artystyczne. Pomagał Polakom za jaltańskim kordonem.*

**Drogi Jerzy! Pozostaniesz dla nas postacią legendarną,  
niezapomnianą i niezastąpioną. Cześć Twojej Pamięci!**

*Oddział Krakowski Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Płd.-Wsch.  
Redakcja „Cracovia-Leopolis*

# Z artystą malarzem STEFANEM BERDAKIEM

rozmawia Janusz M. Paluch



**Mieszkać na krakowskim Salwatorze i nie być artystą, nieważne plastykiem czy literatem, to chyba grzech!**

To prawda! Dlatego tutaj mieszkam. Tu jest pięknie niezależnie od pory roku i pogody. Zawsze świeci słońce. A przede wszystkim ten Salwator tak przypomina mi Lwów, te wszystkie chwile w moim życiu związane ze Lwowem...

**Jednak twórcze owoce przyszło Panu zbierać w Krakowie. Ale właściwie wszystko zaczęło się tam, nad Pełtwią.**

Tak, we Lwowie. Właściwie od kiedy pamiętam, to zawsze rysowałem. Pod kościołem św. Mikołaja była taka duża przestrzeń, zawsze wysypana piaskiem, zawsze zagrabiona. Z kolegą, który mieszkał w probostwie – jego matka była tam gospodynią – rysowaliśmy szpulkami tory tramwajowe. Organizowaliśmy przystanki tramwajowe, a potem rysowaliśmy różne rzeczy. I tak się zdażyło, kiedy miałem 13–14 lat, że do Lwowa

przyjechał w 1942 roku niemiecki artysta. Miał namalować Deutsche Altstadt Lemberg, a także w Pałacu Sztuki miała odbyć się wystawa jego malarstwa. Pisała o tym „gazdzinówka”. Właśnie malował kościół św. Mikołaja jako kolejny lwowski obraz. Ksiądz proboszcz Makarczuk – po wojnie osiadł w Paczkowie, dokąd zabrał słynną kazalnicę w kształcie łodzi z kościoła św. Mikołaja – przysłał po mnie kościelny i dał mi zlecenie. *Słuchaj Stefciu, powiedział, weźmiesz blok rysunkowy, weźmiesz swoje akwarelki, usiądziesz na krzeselku koło tego Niemca i też zaczniesz kościół malować.* Trochę z ociąganiem poszedłem, rozłożyłem krzeselko i zacząłem malować. Akwarelą maluje się szybko, za mną stała grupa ludzi, która głośno dopingowała mnie, nie szczędząc mi pochwał. W pewnym momencie zaczęli się śmiać z tego Niemca. Ten wyraźnie się zdenerwował. Zaczął krzyczeć: *Donnerwetter! Zaczął kopać w moje krzeselko. Ludzie zaczęli gwizdać. On szybko zwinął swoją kasetę. Zabrał obraz pod pachę i poszedł.* Jak się później okazało, wyjechał ze Lwowa nie ukończony swego dzieła. Po latach dowiedziałem się, że była to akcja sprowokowana. Specjalnie, żeby go zniechęcić i wyrzucić ze Lwowa! O tym wydarzeniu pisała prasa podziemna.

**Czy to był początek tego, co daje początek drodze twórczej?**

Właściwy przełom był raczej inny. W naszej kamienicy mieszkał prof. Hartleb, dyrektor przedwojennego Muzeum Przemysłu Artystycznego. Opowiedział o całym tym wydarzeniu znanemu artyście Stanisławowi Kaczor-Batowskiemu, który zaprosił mnie do swojej pracowni. Tam spotkałem Romana Cieślewicza – słynnego plakacisty, który przed kilkoma laty zmarł w Paryżu. I tak rozpoczęła się właściwie w tym momencie moja życiowa pasja i przygoda malarska. To było moje pierwsze zetknięcie się z prawdziwym światem artystów malarzy.

**W ten sposób ujawnił się talent. Jak wyglądały Pańskie pierwsze kroki w szkole o profilu plastycznym?**

W jakiś sposób przyczyniła się też do tego wojna. Po wkroczeniu Niemców, wprowadzono szkoły 6-klasowe. Ja właśnie miałem iść do klasy siódmej. W takiej sytuacji trzeba było iść do pracy lub do szkoły o konkretnym

profilu. Wtedy matka kolegi przejawiającego plastyczne zdolności, pani Kaczkowska, postanowiła zaprowadzić nas do szkoły na Snopkowie. Przyjął nas chyba dyrektor. Ona bez żenady wyciągnęła z torebki butelkę koniaku i stawiając mu na biurku powiedziała: *Ci dwaj chłopcy pięknie malują i chciałybym, żeby pan ich obu przyjął do szkoły.* Zaskoczenie było piorunujące! Dyrektor nic nie mówiąc wstał, zahętał się na palcach – miał taki dziwny sposób chodzenia, i powiedział: *No tak, z takim argumentem to muszą być przyjęci!* I w taki sposób zostałem uczniem szkoły, o której istnieniu dotychczas nie słyszałem, Szkoły Przemysłu Artystycznego. Ale już pod koniec roku, razem z Bronisławem Kocójem, otrzymaliśmy od pani prof. Stiberowej – po wojnie była rektorem Wyższej Szkoły Plastycznej w Łodzi – stypendia. W czasie okupacji była to rzadkość i nie lada wyróżnienie. A to dlatego, że stypendia były wypracowane przez prof. Tyskiego, który prowadził pracownię ceramiki mieszczącą się w piwnicy budynku szkoły, oraz prof. Stiberową, która w swej pracowni wykonywała różne precjoza włókiennicze, sprzedawane później w sklepach z pamiątkami. Był to bardzo ładny gest zachęcający do nauki i pracy twórczej.

**Bardzo często pierwsze lata nauki decydują o dalszym charakterze twórczym artysty. Czy można powiedzieć, że już w tym okresie zaczął kształtować się Pański styl artystyczny?**

Trudno powiedzieć jednoznacznie. Miałem pewien szum w głowie, tak jak wszyscy będący pod wpływem Batowskiego. Przecież Batowski był batalistą, uczniem Jana Matejki, uznawał kolor lokalny, który jest, istnieje faktycznie. Natomiast w szkole dominował prof. Wasilkowski z Poznania – podczas okupacji przebywał we Lwowie – będący kolorystą! A więc – ciepłe i zimne! Batowski kazał czy otwierać szeroko, Wasilkowski nakazywał mrużyć... Ten mętlik w głowie nie przeszedł mi do dziś. Nadal mam sentymenty do malarstwa batalistycznego. I stąd moje spojrzenie na malarstwo jest bardzo szerokie. To znaczy uznaję teorię, że tamto malarstwo batalistyczne jest rodzajem spektaklu dziejącego się na obrazie, pewnej fikcji, która kiedyś zastępowała film. Ale dzisiaj w dobie filmu to troszeczkę straciło swój sens. I dlatego malarstwo, po tych impresjonistycznych odkryciach w Paryżu, poszło w kierunku koloryzmu.

**Każdy artysta skrywa w pamięci moment, w którym postanowił wkroczyć na salony sztuki. Nie wszyscy jednak są świadomi tej chwili, przychodzącej często w sposób niespodziewany. Jak wyglądało to w Pana przypadku?**

Byłem tego świadom, dlatego, że nagle zacząłem się w tym kręgu obracać. A ten mój pierwszy krok... Brzmi to anegdotycznie, ale tak go zapamiętałem. Oczywiście zdarzyło się to we Lwowie... Przy ulicy Akademickiej znajdowała się galeria prowadzona przez Wygrzywalskiego. Przy znajdującym się tam stoliku zawsze urzędowało kilku, a nawet kilkunastu artystów malarzy popijających – powiedzmy – herbatkę... Mój kolega, kiedy zobaczył mój obrazek przedstawiający ratusz lwowski, tak się nim zachwycił, że postanowił go sprzedać. Gdzie? Właśnie u Wygrzywalskiego... Oczywiście, ja sam bym się nie odważył tego tam zanieść, ale skoro kolega tak wysoko ocenił moje dzieło, to dlaczego nie? Wchodzimy dumni, z tym obrazem, do galerii. Wygrzywalski wstaje od stolika, podchodzi do nas. Kolega pokazuje mu obraz i oznajmia, że chce go sprzedać. *A ty to malowałeś?* – pyta Wygrzywalski taksując obraz. Koledze zabrakło wtedy odwagi i rzekł: *Nie, to mój kolega...* – wskazując na mnie głową. *No to jeszcze długo musisz malować, żeby u mnie sprzedać!* Tak mnie podsumował Wygrzywalski...

**Nie było dane Panu ani Pańskim kolegom w pełni rozwinąć swego artystycznego kunsztu we Lwowie. W roku 1944 Niemcy wycofali się ze Lwowa, rozpoczęła się druga okupacja sowiecka. Później był rok 1945 i wielki exodus Polaków z Kresów.**

Tak. Wszyscy się rozjechaliśmy. Jedni wyjechali wcześniej – np. Artur Sobolewski i Teresa Świeży. Oni też wcześniej studia akademickie ukończyli. Artur był obiecującym, bardzo zdolnym plastykiem. We Wrocławiu zetknął się z Pablo Picassem. Od tamtego czasu utrzymywał z nim stały kontakt korespondencyjny. Niestety w krótkim czasie zmarł na raka żołądka. Kto wie, czy nie był najzdolniejszy z nas... Tadeusz Ziepsler – znalazł się we Wrocławiu, jest profesorem na Wydziale Architektury Politechniki Wrocławskiej. Do naszej lwowskiej szkoły zapisał się tylko dlatego, żeby nie trafić na roboty do Niemiec... Kiedy jego ojciec –

profesor Politechniki Lwowskiej – dowiedział się, że jego syn pobiera lekcje malarstwa także u Batowskiego, przestał wypuszczać go z domu... Niepokoiłiśmy się o niego, był to przecież czas łapanek do pracy w Niemczech. Poszliśmy pod jego dom i wrzeszczeliśmy: *Tadeusz! Tadeusz!* W końcu pokazał się w oknie pierwszego piętra... Widzę tę jego smutną, zapłakaną twarz do dzisiaj... Odpowiedział nam wtedy, że go zamknęli i nie może wychodzić. Nazwisk i historii z nimi związanych można by mnożyć!

#### **A jak to wyglądało w Pana przypadku?**

Razem z Cieślewiczem znaleźliśmy się w Opolu. Ja ze Lwowa wyjechałem już w 1945 roku, a Cieślewicz, z powodu choroby swojej siostry, rok później. Ale też i rok dłużej był uczniem lwowskiej szkoły na Snopkowie. Dziwnym trafem Roman spotkał aż w Cieplicach swego nauczyciela historii sztuki, prof. Hodysa, który w Krakowie był dyrektorem Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych. Ten ze lwowska powiedział mu: *Nu, ta ściągaj wszystkich lwowiaków! Ta niech przyjeżdżają do mnie!* Długo się nie zastanawialiśmy. W Krakowie zostaliśmy bardzo serdecznie przyjęci przez rodzinę Hodysów. Dwa tygodnie mieszkaliśmy w ich gościnnym mieszkaniu. Potem załatwił nam bursę u jezuitów, na Skarbowej. Tam mieszkaliśmy półtora miesiąca, a pobyt u jezuitów zakończył mało sympatyczny incydent... Choć dzisiaj brzmi to anegdotycznie. W pokoju mieszkaliśmy z Cieślewiczem i sympatycznym góraliem. Pewnego dnia, po kolacji, przyniosłem sobie kubek gorącej kawy do pokoju i – aby wystygła – postawiłem na parapecie otwartego okna. Góral wrócił trochę później od nas, kiedy otworzył drzwi, powstał przeciąg, okno wyrzuciło kubek i kawa wylała się na parapet, i zaczęła ściekać za okno. Pech chciał, że w tym czasie pod oknami bursy spacerował ksiądz prefekt odmawiając brewiarz. Gdy to zobaczył – wszczął alarm. Zaczęły się poszukiwania. Na korytarzach zabrzmiały gwizdki i wrzaski piętrowych, bieranina... W końcu jeden wpadł do nas. *Proszę księdza! To tu! To tu!* – wrzeszczał triumfalnie. Po chwili wkroczył do pokoju ksiądz z pytaniem na ustach: *Który to zrobił?! Cisza, nikt się nie odezwał, bo przecież nikt tego nie zrobił. Cieślewicz był nieco śmielszy, próbował coś wyjaśnić, ale*

## **UWAGA BYLI UCZESTNICY TAJNEGO NAUCZANIA W LATACH 1941–1944 WE LWOWIE I MAŁOPOLSCE WSCHODNIEJ!**

# **A P E L**

Zwracam się z uprzejmą prośbą o kontakt listowny z osobami bądź z rodzinami osób, które w latach 1941–1944 uczęszczały na tajne komplety prowadzone podczas drugiej wojny światowej na ziemiach południowo-wschodnich II Rzeczypospolitej. Wdzięczna będę za poinformowanie innych osób o mojej prośbie lub wskazanie adresów. Uzyskane dzięki Państwa uprzejmości informacje zostaną wykorzystane w pracy naukowej. Powyższa problematyka stanowi bowiem do dziś białą plamę w historii polskiego szkolnictwa lat II wojny i okupacji, a pokolenie, które pamięta – już odchodzi. Poszukuję również informacji o deportowanych i zamordowanych nauczycielach polskich z ziem południowo-wschodnich II RP w latach 1939–41 i 1944–50 – celem opracowania listy strat.

W załączeniu pozwalam sobie przedłożyć kwestionariusz badawczy: zawiera on pytania, które mogą ułatwić zorientowanie się w interesującej mnie problematyce.

Wyjaśniam, iż jestem asystentem naukowo-dydaktycznym we Wszechnicy Świętokrzyskiej w Kielcach i równocześnie doktorantką w Instytucie Socjologii Wydziału Nauk Społecznych KUL, uczennicą księdza prof. dra Romana Dzwonkowskiego.

#### **Agnieszka Grędzik**

ul. Bohaterów Warszawy 3/33  
25-394 Kielce, tel./fax (41) 34-23-785

#### **KWESTIONARIUSZ BADAWCZY**

1. Proszę podać miejscowość, powiat i województwo, gdzie istniało tajne nauczanie polskie.
2. Jw. – w jakich latach?
3. Proszę o podanie imion i nazwisk nauczycieli, którzy prowadzili tajne nauczanie polskie. Jakie były ich dalsze losy (jeśli są znane)?
4. Z jakich podręczników i pomocy korzystano?
5. Jakie przedmioty były wykładane?
6. Ilu uczniów uczęszczało na tajne komplety? (proszę o podanie przybliżonej liczby).
7. Czy były wydawane zaświadczenia, świadectwa?
8. Czy nauka była odpłatna?

Będę wdzieczna za udostępnienie świadectw, fotografii i innych dokumentów ze wspomnianego okresu.



nikt go nie chciał słuchać. Zabrzmiała tylko groźba księdza: *Jeśli do godziny 22.00 nie zjawi się ten, który wylał kawę, to rano wszyscy trzej spakujecie rzeczy i opuścicie bursę.* Pięć minut przed wyznaczoną godziną zgłosiłem się do prefekta. *Dobrze, że przyszedłeś się przyznać...* – przywitał mnie. A ja na to: *Nie przyznaję się, tylko całe to zdarzenie zaszło za moją przyczyną...* I wytłumaczyłem mu co się stało. *W takim razie daję ci noc. Rano się spakujesz i opuścisz bursę!* – zabrzmiał wyrok. Proszę sobie wyobrazić, że rano Cieślewicz spakował się szybciej ode mnie, chociaż jemu wyrzucenie nie groziło. To była solidarność! Opowiedzieliśmy zaraz Hodysowi o całym zajściu. Mieliśmy szczęście, bo Hodys spotkał akuratnie kobietę, u której mieszkał w Sokalu. Przyjęła nas na stancję. To było jedno pomieszczenie przedzielone na noc kotarą. Z jednej strony spała ona z córką, z drugiej ja z Cieślewiczem. Dwa miesiące przed naszą maturą wyeksmitowano ją do mniejszego lokalu. A my pozostaliśmy bez dachu nad głową. Trochę udawało nam się pomieszkiwać w szkole, a ponieważ noce były już ciepłe, wkradaliśmy się na noc do Parku Jordana. Czasami nad ranem budził nas wiosenny deszczyk! Ale maturę zdaliśmy i zostaliśmy przyjęci na studia na Akademii Sztuk Pięknych!

**Jaki wpływ miasto Lwów, atmosfera tam panująca, miały i mają nadal na Pańskie malarstwo?**

Wśród starszych moich kolegów ze Lwowa byli: Witold Skulicz, który został profesorem akademickim na grafice użytkowej, oraz Juliusz Joniak, profesor na malarstwie. Ob-



serwowałem, jak oni malują, tworzą, to przecież na mnie też wywierało wpływ w czasie studiów. Wcześniej byłem uczniem batalisty Batowskiego, zmieniałem pracownie. Poza tym uczyłem się nie tylko malarstwa, bo i wystroju wnętrz, i ceramiki – gdzie przeszedłem ciężką szkołę szlamowania gliny. Rzeźby uczyłem się u prof. Wnuka, który po wojnie był rektorem plastycznej uczelni w Gdańsku. W mojej kamienicy we Lwowie mieszkał prof. Krzyżanowski, profesor muzyki z konserwatorium, kolekcjoner, miał bogaty zbiór obrazów. Pożyczał mi obrazy, ja robiłem kopie, potem on je oceniał, zazwyczaj chwalił, co zagrzewało do pracy, prowadziliśmy też długie rozmowy o malarstwie. To wszystko miało bez wątpienia wpływ na to, co robiłem później. A ponieważ ci ludzie byli związani bezpośrednio ze Lwowem, to mogę tylko potwierdzić – rzeczywiście Lwów wywarł na mnie ogromny wpływ.

**Maluje Pan jeszcze swoje miasto?**

Jak wcześniej powiedziałem, nie odrzucam malarstwa realistycznego. Wracam do niego czasami, choć jest to niemodne i raczej nie należy się tym chwalić, ale jest to sprawdzian, ponieważ jeżeli potrafi się malować realistycznie, to znaczy, że ma się kontrolę nad sprawnością manualną. Ostatni raz Lwów malowałem na wystawę w Klubie „Zaułek” w roku 2001. Zaistniał na moim płótnie ratusz lwowski wraz z katedrą rzymskokatolicką. Ponieważ w czasie kiedy malowałem ten obraz, byłem na etapie poszukiwania dla siebie nowych malarskich trendów, na niebie namalowałem szereg niebieskich pasów w różnych odcieniach. One datowały niejako okres czasowej odległości od mojego stamtąd wyjazdu do chwili, kiedy ten obraz został przekazany przeze mnie na aukcję, by wspomóc żyjących tam w biedzie Polaków.

**Od chwili opuszczenia przez Pana rodzinnego miasta minęło już 58 lat. Czy w tym czasie wracał Pan do Lwowa?**

Po raz pierwszy byłem tam w 1994 roku. Namówił mnie do tego wyjazdu Adam Macedoński, który przewodniczy Stowarzyszeniu Rodzin Katyńskich



i wiozł do Lwowa wystawę o Katyniu. Już na dworcu w Płaszowie, gdzie wsiadaliśmy do pociągu, przeżywaliśmy pierwsze zdumienia... Do pociągu wsiadały kobiety objuzczone różnymi torbami i pakunkami. Odprawiali je młodzi, w czarnych skórkach, dobrze zbudowani Ukraińcy, którzy popychali te kobiety, pomagali je do wsiadania do tego pociągu. Żal mi się zrobiło tych kobiet i zmobilizowałem kolegów, aby im pomóc w tym wsiadaniu i załadunku bagaży... Kiedy pociąg ruszył, słyszę, jak w sąsiednim przedziale te kobiety rozmawiają między sobą i jedna mówi: *Ja dumала szczo Polaki to sobaki, a one dobryje ludzi!* Z kolei na granicy ukraiński pogranicznik oglądał nasze dokumenty, zaproszenia. I niby wszystko było w porządku, ale nie mieliśmy wbitej w paszportach pieczętki „A”, która mówiła o służbowym charakterze naszej podróży. *To ja was muszę odstawić z powrotem do granicy. Tam jest taki wagon, to się przesiądziecie.* Ktoś zapytał: *I kiedy pojedziemy? Jak się zapelni, to odstawimy do granicy* – odpowiedział. Nie brzmiało to dobrze... po jakimś czasie przyszedł po nas. Ja chwyciłem po plecak, a ten chyba zaskoczony, że nie protestujemy, nie stawiamy się, tylko tak potulnie... *Ja szutił. Żartowałem. Puszczę was bez tych pieczętek!* Już we Lwowie dowiedzieliśmy się, że poprzedniego dnia Gorbaczow wygłosił to słynne przemówienie, w którym przeproszał za Katyń... Domyślaliśmy się, że pewnie dlatego nas przepuścili bez tych pieczętek. O warunkach, jakie zastaliśmy w hotelu „Lwiv”, nie będziemy tu opowiadać, bo to się nie zmienia od lat... A szkoda! A z wystawą też mieliśmy perypetie! Zmieniły się władze w muzeum. Nikt z muzeum na nas nie czekał! Wszyscy wyjechali do Kamieńca Podolskiego – my też mieliśmy w tym wyjeździe uczestniczyć... Byliśmy załamani! Tam, gdzie miała zaistnieć nasza wystawa, wisiała jakaś ukraińska ekspozycja, którą bali się ruszać. I znowu zbiegi okoliczności i odwaga pewnej Polki w muzeum spowodowała, że wszystko dało się załatwić na czas. W Katyniu zginęło kilku oficerów pochodzenia ukraińskiego. Na tych planszach zawiesiliśmy szarfy niebiesko-żółte. Koło kamienicy Szprecherów odbywały się w tamtych czasach głośne nacjonalistyczne wiece. Kiedyś usłyszałem, jak ktoś przemawiał: *Słuchajcie Ukraińcy! Powinniśmy się uczyć miłości do Ojczyzny*

## UWAGA BYLI UCZNIOWIE SZKOŁY NR 30 WE LWOWIE

### APEL

Zwracamy się do Państwa z serdeczną prośbą o wzięcie czynnego udziału w przygotowaniu materiałów do pamiątkowego albumu uczniów uczęszczających do polskiej Szkoły nr 30 we Lwowie w całym okresie jej istnienia. Pragniemy w ten sposób pozostawić ślad w pamięci zbiorowej o tej garstce Polaków, którzy zostali po tzw. repatriacji 1946 roku we Lwowie.

Podajemy się redakcji, wydania oraz zdeponowania powstałego albumu w Ossolineum we Wrocławiu. Album zostanie opracowany według podanej niżej ankiety. Ponieważ podczas redagowania może pojawić się potrzeba uściślenia bądź uzupełnienia nadestanych informacji, prosimy o przesłanie aktualnych adresów, numerów telefonów, ewent. numerów fax.

Termin nadsyłania materiałów: 31 grudnia 2003 r.

Z poważaniem  
**doc. dr hab. med.**  
**Krystyna Węgier-Maksymowicz**

#### PROPONOWANA ANKIETA:

1. Dane osobowe: imię, nazwisko (u pań pannieńskie i po mężu), data i miejsce urodzenia, adres z czasów szkolnych (ulica i dzielnica zamieszkania) oraz adres obecny.
2. Data rozpoczęcia i ukończenia lub przerwania nauki w Szkole nr 30.
3. Przebieg (ewentualnej) dalszej edukacji, studiów i pracy zawodowej.
4. Prezentacja ciekawego, wzruszającego lub zabawnego epizodu z życia szkolnego w Szkole nr 30.
5. Opis innego istotnego wydarzenia z życia b. ucznia Szkoły nr 30, nie związanego ze szkołą.

Prosimy o dołączenie fotografii z czasów młodości i współczesnych lub, w razie braku takich, z dowolnego okresu życia.

#### Adres kontaktowy:

05-840 Brwinów k. Warszawy,  
ul. Kępińska 7A,  
tel. (022) 729-41-36

od Polaków! Oni przyjechali tu do Lwowa, żeby swoją wystawę zrobić! Sytuacja była tak napięta, że na wernisaż nie przybył ani lwowski biskup rzymskokatolicki, nawet żaden z księży się nie pofatygował, ani Konsul RP! Ale przyszedł mer Lwowa. Otwierając wystawę zaczął bardzo ostro, twierdząc, że tu do Lwowa to nie z wystawą katyńską powinniśmy przyjechać, ale z wystawą poświęconą akcji „Wisła”. *Powinniście za tę akcję przeprosić!* – grzmiał. Macedoński bardzo trzeźwo wystąpił: *Przyjechaliśmy tu jak bracia... Moja babka była Rusinką, to znaczy była Ukrainką, czyli ja jestem jakby dwóch narodowości. Proszę zobaczyć, że w Katyniu zginęli też wasi ludzie. Ukraińcy...* Atmosfera jakoś się rozładowała. W pewnej chwili jakiś staruszek o lasce, podtrzymywany przez dwie kobiety, chyba nie wytrzymał tego napięcia i atmosfery stworzonej przez wystąpienie mera Lwowa, zaczęła wymachiwać laską i krzyczeć: *Ja jestem byłym polskim generałem! Do tej chwili się ukrywałem! Ja wam nigdy mordów na Wołyniu nie zapomnę!* Wystawa była zauważona przez Polaków. Odwiedziło ją dużo młodzieży. Zostaliśmy też zaproszeni do polskiej szkoły Marii Magdaleny. Byłem za czasów okupacji niemieckiej przez jakieś pół roku uczniem tej szkoły...

#### Dlaczego tak krótko?

Stałem się ofiarą swego talentu twórczego! Nasza klasa była bardzo rozwydzona. Wystarczyło, że któryś z nas spóźnił się na lekcję, a został od razu ostrzelany przez kolegów papierowymi kulkami wypuszczanymi z procy. Klasa знаła moje plastyczne zdolności. Podpuścili mnie, żebym narysował naszego wychowawcę zupełnie nagiego... Cóż, mnie dwa razy nie trzeba było powtarzać! Oczywiście ktoś doniósł. Nauczyciel wyrwał mi kartkę z rysunkiem. A w konsekwencji z hukiem wyleciałem ze szkoły.

**A powiada się, że tylko dzisiejsza młodzież psoci! Serdecznie dziękuję Panu za rozmowę.**

---

Stefan Berdak ur. 1927 r. we Lwowie. Ukończył w 1955 Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie. Kilkanaście wystaw indywidualnych i zbiorowych w kraju i za granicą. Jego prace znajdują się m.in. w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie i Krakowie oraz licznych kolekcjach prywatnych.

---

Jacek Walczewski

## PRZYGODA

### Z KSIĄŻKĄ I LWOWEM

Wypadło tak, że trzeba było w porze wakacji wyjechać do małego miasta, by robić pilny remont domu, który po wojnie był ostoją części rodziny, wysiedlonej w roku 1945 ze Lwowa. Choć później siedzibą rodzinną stał się Kraków, wyjazdy w różnych porach roku do małego domku w małym miasteczku są wciąż potrzebą myśli i uczuć.

Exodus ze Lwowa przed przeszło pół wiekiem oznaczał utratę większości materialnego dorobku życiowego, zwłaszcza gdy wyjeżdżały rodziny okaleczone, których najbliżsi spoczywali już w masowych grobach, a cały trud tułaczki spadał na ramiona kobiet. Cóż więc zabierano ze sobą, jadąc w nieznaną? Raczej skarby ducha niż materii – pamiątki rodzinne i – jak było w opisywanym wypadku – książki, książki, książki. I oto spora część tego serdecznego dziedzictwa znalazła się w małym domku, który teraz potrzebował remontu i związanego zwykle z tą operacją opróżniania jednych pomieszczeń, z przemieszczaniem wszelkich ruchomości do innych.

Ta translokacja dotyczyła również książek. A przecież książek nie można przenosić jak cegły, trzeba zajrzeć pod okładkę, dotknąć pożąłtego papieru, przeczytać podpisy i notatki na marginesach, spojrzeć na daty wydania, nieraz przeczytać nocą parę rozdziałów, może znanych, a jednak... W ten sposób zwykła czynność porządkowa otwiera nagle widok na pasjonujące obszary czasu i myśli, a także przestrzeni, w której książki te kiedyś zaspokajały czyjaś żądzę wiedzy i piękna. Przestrzenia tą – w tym wypadku – był Lwów, tak tedy nieoczekiwana przygoda z książką stała się przygodą ze Lwowem.

Szczególnie interesującą częścią zbioru były książki, wydane w okresie od lat 80. XIX wieku do lat 20. wieku XX, a więc w okresie zaborów, I wojny światowej i początków okresu niepodległości Polski. Jest rzeczą uderzającą, iż książki wydane we

Lwowie za czasów *nieboszczki Austrii* niosą w sobie taki ładunek polskości, że niewiele różnią się pod tym względem od publikacji w Polsce Niepodległej. Na przykład w podręczniku szkolnym *Wypisy polskie dla klas wyższych szkół średnich*, opracowanym przez Ignacego Chrzanowskiego i Konstantego Wojciechowskiego (Lwów 1913), znajdujemy przegląd historii literatury polskiej, prezentujący wartości artystyczne i patriotyczne tej literatury. To samo można powiedzieć o książce Józefa Bałtabana *Dzieje Polski – książka pogładowa dla dojrzałej młodzieży i dorosłych*, wprawdzie wydanej w roku 1922, ale jako wydanie IV, gdy wydanie II, jak się dowiadujemy ze wstępu, miało miejsce w roku 1905. Płomiennym patriotyzmem promieniuje książka *100-letnia walka Narodu Polskiego o niepodległość* (wyd. 1884), której autor ukrywa się wprawdzie pod inicjałami „XY”, ale wydana została jawnie (Wydawnictwo Feliks Niederreiter). Pracownik naukowy Uniwersytetu Lwowskiego dr Antoni Jakubski w swojej książce *W krainach słońca – kartki z podróży do Afryki Środkowej w latach 1909 i 1910* (Lwów 1914) akcentuje swoją podróż jako polskie osiągnięcie naukowe. Książka ukazała się nakładem Towarzystwa Nauczycieli Szkół Wyższych. Tak więc w okresie, w którym Polski nie było na mapie Europy, w Galicji i jej stolicy – Lwowie – polska kultura, nauka i świadomość narodowa rozwijały się, a polskie życie znajdowało swój wyraz w całym wachlarzu dziedzin, od kuchni polskiej (L. Cwierciakiewiczowa: *365 obiadów*, Lwów 1883) po wspomniane wyprawy naukowe do Afryki.

**W** tym samym czasie w zaborze rosyjskim wychodziła również literatura polska – w badanym zbiorze są trzy książki wydane w Warszawie: *Starożytna Litwa* A. Brucknera

(1903), *Historia literatury powszechnej* – tom *Literatura arabska* Adolfa Święcickiego (1901) i *Biblioteka Warszawska* (zbiór periodyków pod tym tytułem, 1891). Jednak w każdej z tych książek, na odwrocie strony tytułowej, znajdujemy wydruk cyrylicą: *Dozwoleno cenzuroju*, z odpowiednią datą. Oko carskiego cenzora czuwało nad treścią publikacji.

We Lwowie, w tak sprzyjającym dla kultury polskiej klimacie, rozwijała się działalność edytorska. Znajdujemy tu takie wydawnictwa, jak Towarzystwo Nauczycieli Szkół Wyższych, Wydawnictwo Kultura i Sztuka, Wydawnictwo Polskie, Spółka Nakładowa „Odrodzenie”, Zakład im. Ossolińskich, Wydawnictwo Feliks Niederreiter. Natychmiast po odzyskaniu niepodległości pojawiają się liczne dalsze oficyny.

Na kartach starych książek, uratowanych przed zagładą przez jadących w nieznane wysiedleńców, spotyka się wzruszające pamiątki życia codziennego Lwowa: pieczątki o różnej treści, jak: *Księgarnia antykwarska Szymon Bogan – Lwów, Sykstuska 2*, albo: *Na składzie w księgarni antykwarskiej A. Bardacha – Lwów, ul. Krakowska 7 (róg ul. Trybunalskiej)*; *ALFA – Wypożyczalnia książek, Lwów, Kopernika 5*.

Osobnym zagadnieniem jest to, jak życie Lwowa znalazło odbicie w literaturze beletrystycznej i wspomnieniowej różnych epok, od czasów galicyjskich po czasy najnowsze. Jest to temat wart specjalnego studium. Piszący te słowa pozwoli sobie tylko na wymienienie literatury najwyższej klasy: dzieł Jana Parandowskiego, w tym – promieniujących nieprzepartym urokiem *Nieba w płomieniach* i *Akacji*. Tam, poprzez labirynty lwowskich uliczek i zaułków, znajdujemy drogę do żywych ludzi z różnych środowisk, do ich codzienności i odświętności, a poprzez nie – do wiecznie aktualnych spraw, sporów i olśnień ludzkiego życia wszystkich czasów.

## **APEL**

Nazywam się **Dawid Robak**, jestem studentem SGH w Warszawie. W związku z realizowanym w toku studiów przedmiotem Historia Gospodarcza podjąłem pracę na temat: **TOWARZYSTWO EKSPLOATACJI SOLI POTASOWYCH SA – działalność w okresie międzywojennym**. Siedzibą TESP był Lwów, w związku z czym zwracam się z prośbą o udzielenie mi możliwych informacji lub odniesienia do bibliografii, gdzie mógłbym dane informacje uzyskać. Za udzielone informacje z góry dziękuję.

**Adres:** Dawid Robak, ul. Gdańska 81/4, 07-100 Węgrów, albo: <dr28902@sgh.waw.pl>

Jerzy Nalepa

# LĘDZIANIE

*W poprzednim numerze (CL 1/03) zamieściliśmy skrót pierwszej części artykułu prof. Jerzego Nalepy pt. „Prapolski bastion”, traktujący o najdawniejszych śladach toponimicznych na obszarze Małopolski Wschodniej. W tym numerze przedstawiamy zapowiedziane dokończenie – również ze skrótami i streszczeniami – poświęcone Lędzianom, plemieniu, które wraz z Polanami, Wiślanami i kilkoma innymi, utworzyło naród polski.*

*W tomie pt. „Początki sąsiedztwa...”, z którego zaczerpnęliśmy oba teksty (patrz wyjaśnienie w CL 1/03), znalazł się również artykuł czołowego dziś polskiego mediewisty, prof. Gerarda Labudy, oparty na analizie badań wielu uczonych zainteresowanych dyscyplin – historyków, archeologów, językoznawców. Z artykułu tego przepisujemy poniżej jego część końcową: wnioski.*

Pierwszą wiadomość o Lędzianach<sup>1</sup> przynosi tzw. Geograf Bawarski z (prawdopodobnie) połowy IX wieku. Jednak podana przezeń nazwa *Lendizi* nie zawiera żadnych elementów lokalizujących. Dane umożliwiające umiejscowienie tego plemienia podaje

o stulecie później dzieło cesarza bizantyjskiego Konstantyna Porfirogenety *De administrando imperio*. Píše on, że Lędzianie płacą daninę Rusi i jej podlegają, oraz że sąsiadują z Pieczyngami.

W Polsce współczesnej zupełnie inną hipotezę głosił prof. Henryk Łowmiański, który Lędzian widział w Sandomierszczyźnie, koncepcji tej jednak brakowało głębszego uzasadnienia (spotkała się ze sprzeciwem m.in. prof. T. Lehra-Splawińskiego, G. Labudy i kilku innych), a sam jej autor zmieniał kilkakrotnie swoje wersje lokalizacyjne. Sprawę przesądził prof. Gerard Labuda na podstawie wytrawnej analizy źródeł pisanych, a jego konstatacje zostały poparte danymi językoznawczymi (wnioski prof. Labudy podajemy obok).

Tak więc stwierdzono, że plemię, a raczej zespół plemion Lędzian zamieszkiwał obszary między górnym Bugiem i Styrem<sup>2</sup>, górnym Dniestrem i górnym Sanem. Prapolskość tego terytorium zostało zresztą poświadczane przez źródło ruskie: *Iatopis Nestora*, czyli *Powieść lat doczesnych*, gdzie znalazło się słynne zdanie o tym, że *poszedł Włodzimierz ku Lachom i zajął grody ich Przemyśl, Czerwień i inne grody...*

Jest więc logiczne, że skoro książę kijowski zajął dwa ważne grody, to i związane z nimi terytorium, czyli kraj Lędzian. Zasięg tego obszaru poświadczają *toponimy*, opisane w powołanym wyżej artykule, omówio-

Gerard Labuda

## Narodziny polsko-ukraińskiej granicy etnicznej. Wnioski

**Z analizy „faktów źródłowych” wynikają właściwe „fakty historyczne”, które jako takie powinny być uwzględniane przez archeologów i językoznawców-onomastów w ich własnych badaniach:**

a) Najpóźniej w połowie X wieku ziemie między Odrą i górną Wisłą, a także ziemie Wiślan (Kraków, Sandomierz) oraz dalej ziemie aż po Bug i Styr na wschodzie, dostały się pod panowanie Czechów; wcześniej były one rządzone przez miejscowych książąt plemiennych. Jednym z nich był książę Wiślan, który w latach siedemdziesiątych IX wieku został wzięty w niewolę przez księcia morawskiego Świętopełka (870?–894) i na cudzej ziemi ochrzczony; ewentualny pod-

bój ziemi Wiślan przez Morawian nie zostawił w Polsce południowej trwałszych śladów. Zawłaszczenie tych ziem przez Czechy wyrażało się zapewne zmuszeniem miejscowych plemion do uiszczania trybutu. W latach 973–976 podczas tworzenia diecezjalnej organizacji Kościoła czeskiego Śląsk dostał się pod jurysdykcję biskupstwa praskiego, natomiast Kraków i ziemie położone dalej na wschód pod jurysdykcję biskupstwa morawskiego (ołomunieckiego). W latach 988/9–990 najpierw Kraków, a następnie Śląsk, dostały się pod panowanie księcia gnieźnieńskiego (polskiego) Mieszka I, który w Krakowie osadził swego syna pierworodnego Bolesława jako udzielnego księcia, natomiast pozostała, główną część swego państwa (państwo gnieźnieńskie) oddał pod opiekę Stolicy

nym w CL 1/03. Ziemia ta po 981 r. przechodziła parokrotnie z rąk do rąk, a dowodem polskiej tam obecności jest m.in. rotunda i *palatium* w Przemyślu, o czym pisał w CL 1/03 prof. A. Żaki.

Warto nadmienić, że związek tej krainy aż po Bug i Styr z pozostałą Polską południową poświadcza też wczesnośredniowieczny dokument biskupstwa praskiego, w którym jego granice na wschodzie określone są Styrem i Bugiem. Dokument ten pochodzi z roku 1086, lecz – jak się przyjmuje – dotyczy stanu z lat 973–974, a może nawet z drugiej połowy IX wieku (*tu trzeba wyjaśnić, że w owym czasie cała południowa część tworzącej się Polski, tzn. ziemie Wiślan i ziemie łędziańskie były podporządkowane pod względem kościelnym biskupowi w Pradze*). Wymaga też wyjaśnienia sytuacja geograficzna: najbardziej górny odcinek Bugu biegnie tu nie południkowo, lecz skośnie – z pld. wsch. ku ptn. zach., a źródła Styru są nieco na północ. Tym samym górny Bug stanowił północno-wschodnie ograniczenie biskupstwa czeskiego.

Trzeba dalej przypomnieć, że nazwa Łędzian (Łędziców, Łęchów) stała się podstawą nazwania Polaków w językach naszych północno-wschodnich, wschodnich i południowych sąsiadów: *Lenkas* u Litwinów, *Lengyel* u Węgrów i *Lachy* u Rusinów, gdy od strony zachodniej utrwaliła się nazwa *Polan*, *Polonii*, *Polski*. Na ten temat nie



zwrócono dotąd należytej uwagi i z faktu tego nie wysnuto narzucających się wniosków i pytań. Chodzi o to, że podobnie jak Polanie, na zachodzie, w dorzeczu Warty byli twórcami państwowości, która spowodowała ustalenie się nazwy etnicznej<sup>3</sup> dla Słowian północno-zachodnich w dorzeczu Odry i Wisły, tak też i u wschodniej ściany tego terytorium formowała się druga forma nazwy etnicznej: *Łędzicy* albo *Łędzianie*. Wynikałoby z tego, że zręby państwowości na naszych ziemiach wznoszone były nie tylko na zachodzie, ale i na wschodzie, widocznie dla obrony tak przed Rusią, jak i stepowymi koczownikami. Przypomnijmy, że zręby takie wznoszono też u *Wiślan* z funkcją obrony przed m.in. państwem wielkomorawskim. Trzeba również przyjąć, że dzia-

Apostolskiej, zabezpieczając w ten sposób dziedzictwo dla swoich dwu synów: Mieszka i Lamberta (z drugiego swego małżeństwa z Odą).

b) Z ziemią Wiślan od wschodu sąsiadowały plemiona Łędzian-Łędziczian, obejmujące na zachodzie dorzecze Sanu, a na wschodzie dorzecze górnego Bugu, dzielące się na dwa ośrodki, które umownie nazywamy ■ Grodami Czerwieńskimi (od grodu Czerwień, dotąd tylko hipotezytycznie identyfikowanego z Czermnem nad rz. Huczwą) i ■ Grodami Przemyjskimi (od grodu Przemyśl nad Sanem). Od rdzenia nazwy plemienia: Łęd-Łęch Ruś utworzyła nazwę plemienia: Ljęch, Ljach, którą z czasem w XI–XII w. ogarnięto wszystkie plemiona polskie aż po Odre.

c) Łędzianie-Lachowie już w pierwszej połowie X wieku uchodzili za plemię ujarzmione przez Ruś Kijowską, zapewne za czasów księcia Igora Rurykowicza (913–945), i obarczone dani-

ną na rzecz książąt kijowskich. Wyprawa księcia Włodzimierza I ku Lachom w r. 981 miała z pewnością charakter rewindykacyjny; jej celem było przywrócenie zwierzchnictwa trybutarnego nad plemionami łędziańskimi. Występująca w odnośnej zapisce *Powieści minionych lat* nazwa Lachów, zaczerpnięta z ówczesnej zapiski rocznikarskiej, odnosiła się z pewnością do tego zespołu plemion; z pewnością nie odnosiła się do ówczesnego zespołu plemion polańskich z ośrodkiem politycznym w Gnieźnie.

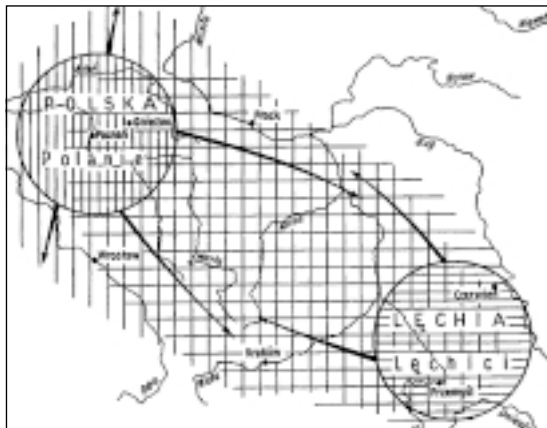
W innym miejscu powołanego artykułu prof. Labuda wyjaśnia jednoznacznie:

Wszystkie „fakty źródłowe” zgodnie wskazują, że siedziby Łędzian-Łęchów-Lachów rozciągały się wzdłuż Podkarpacia od górnego Powiśla aż do górnego Pobuża, z dwoma głównymi okręgami grodowymi: Przemyślem i Czermnem, jako ich ośrodkami.

łałość zjednoczeniową podjęli także Ślężanie, skoro zdolali narzucić swój *etnonim*<sup>4</sup> całej rozległej krainie w dorzeczu górnej Odry – tu w grę wchodziła głównie obrona przed Czechami i Niemcami. Zawiązki państwowości na Pomorzu są bardzo dobrze udokumentowane – tę wspólnotę kształtował odrębny w swej specyfice region bałtycki i potrzeba wspólnej osłony, pierwotnie od strony Skandynawów. Podobnie też możemy przyjąć formowanie się nadplemiennego państwa na Mazowszu (przeciw Jaćwiegom i Litwinom), skoro ustaliła się jednolita nazwa dla tej rozległej krainy. Wszystko to były *membra*<sup>5</sup> najdawniejszego państwa polskiego.

Było więc jeszcze jedno takie *membrum*, niestety rychło utracone i zapomniane. Tym członem formującej się Polski najdawniejszej była niewątpliwie również kraina Lędzian z macecznikiem w południowo-wschodniej części dorzecza Wisły – nad górnym Sanem i Bugiem oraz nad górnym Dniestrem. Zniszczenie tego członu i odcięcie go na trzy i pół wieku od Polski (nie licząc kilkunastoletnich okresów, kiedy królowie polscy go odzyskiwali i znów tracili) spowodował najazd księcia kijowskiego Włodzimierza w 981 r.

**Podsumowując: zarówno źródła piśmienne w formie zapisów kronikarskich i dokumentów, jak i zestawione z nimi zaletki toponimiczne występujące na omawianym terenie między górnym Sanem**



Mateczniki nazw. Oba plany wg prof. G. Labudy

**oraz najbardziej górnymi odcinkami Dniestru i Bugu, a także logiczna analiza pewnych faktów archeologicznych i językowych oraz analogii historycznych prowadzą do odtworzenia obszaru zachodniosłowiańskiego, prapolskiego plemienia Lędzian.**

#### PRZYPISY

- 1 Prof. Nalepa używa nazwy *Lędzanie*, a prof. Labuda – *Lędzianie*. Dla jednoznaczności stosujemy tę drugą, jako częściej spotykaną.
- 2 Styr ma źródła w rejonie Oleska i płynie ku północy, na Wołyń, wpada do Prypeci na Polesiu.
- 3 Autor używa tu określenia *denominacja etniczna*.
- 4 Etonim – nazwa geograficzna, która pochodzi od grupy etnicznej.
- 5 *Membrum*, *membra* = członek, członki.

## Naszym zdaniem

### AKOWCOM Z KRAKOWA I WADOWIC KU PAMIĘCI

W Krakowie zmarł 78-letni kombatant II wojny światowej, członek ZWZ i AK, związany z Ziemią Wadowicką, Bronisław Sekuła. Po wojnie był skazany przez UB na karę śmierci, więziony do 1956 r. w Rawiczu. ZG Stowarzyszenia AK i Więźniów Politycznych w Krakowie wraz z Kombatantami AK Ziemi Wadowickiej zamieściły nekrolog B. Sekuły, w którym miejsce jego urodzenia określono tak: Augustówka k. Tarnopola na Ukrainie. Chcielibyśmy zwrócić uwagę AK-owców z Krakowa i Wa-

dowic, że zmarły bojownik o polskość, urodzony w latach 20., przyszedł na świat w Odrodzonej Polsce w pobliżu miasteczka-twierdzy Rzeczypospolitej, założonego w XVI wieku przez wielkiego hetmana Jana Tarnowskiego ku obronie Polski przed najazdami ze wschodu. Także ku obronie Krakowa i Wadowic. A w półtora wieku później syn Ziemi Tarnopolskiej Jan III Sobieski rozgromił Turków pod Wiedniem, ratując Europę i Polskę przed zalewem islamskim. Do szeregu dzielnych tarnopolan w naszym wieku XX dołączył Bronisław Sekuła i legion innych.

Uważajcie na to, co piszecie, panowie z Krakowa i Ziemi Wadowickiej, bo i wielu w a s z y c h ziomków broniło Lwowa i Ziemi Wschodnich.

# O PEWNYM ALBUMIE DUŻĄ I MAŁĄ LITERĄ

Piśmiennictwo kresowe nie wykazuje żadnych oznak wyczerpania tematu, przeciwnie – literatura ta rozrasta się. Dotyczy to nie tylko tej wspomnieniowo-nostalgicznej, której nie sposób już się doliczyć, ale pojawiają się nowe pozycje naukowe i popularne obok wydawnictw albumowych i przewodników, a w momentach szczególnych wydarzeń na Kresach – jak np. papieskiej pielgrzymki czy skandali na cmentarzu Obrońców Lwowa – zagęszcza się też publicystyka.

Wydawnictwa albumowe merytorycznie i artystycznie mają różny poziom, bo nie każdy ma talent Adama Bujaka. Zależy z jakim zasobem wiedzy i artystycznej wrażliwości wędrują w czasie i przestrzeni kresowej autorzy tych wydawnictw. Coraz bardziej czas, który staje się tylko rzeczywistością historyczną, oddala się od Kresów, a ich widoki podsuwa nam pamięć, z której wyłaniają się domy, fragmenty ulic, kościoły, wyłania się miasto. To miasto – które było sobą, było żywe i autentyczne, a którego już w tym kształcie nie ma – opisał pewien zdolny ukraiński pisarz, lecz obdarł go z polskiej tożsamości. Bo o Lwowie wspominać i pisać będą stale – ostatnio Stanisław Lem określił, że Lwów jest s i e r o t ą po Polsce (Tygodnik Powszechny z 3 XI 02). O tym ukraińskim pisarzu będzie mowa później, bo oto *cum laude* powitać należy album pt. **Kresy, śladami naszych przodków** (zdjęcia i komentarz **Jędrzej Majka**. Lwów wspomina **ks. Mieczysław Maliński**). Książd Maliński wspomina ważne miasto swego dzieciństwa językiem esencjonalnym, oszczędnym, ale główny walor leży w treści, kiedy np. odpowiada na zadane sobie pytanie: *Co takiego miał Lwów? Można powiedzieć: niepowtarzalną atmosferę*. I dalej wnioski Książdy, których najwyklesza prawda jest nie do przyjęcia dla wspomnianego ukraińskiego pi-

sarza: *Można zmienić nazwę ulicy czy parku, ale zawsze będzie to ulica czy park stworzony przez polskich architektów, przez polską myśl twórczą* (s. 14). Wreszcie wnioski na zakończenie tych wspomnień: *Lwów jest polski. Nie chcę tu upierać się przy tym, że powinien należeć do Polski, że musimy przesunąć granicę. Nie, my nie przesuniemy granicy. Ale mówię uczciwie, że Lwów jest polski* (s. 31).

Sądzę natomiast, że dyskusyjne mogą być opinie Książdy Malińskiego dotyczące malarstwa polskiego w Lwowskiej Galerii Sztuki. Książd napisał, że Polacy nie zdołali ich wywieźć, ale po co mieliby je wywozić ze swojego miasta, bo ta polska sztuka kształtuje ukraińską młodzież, tak jak klimat całego miasta. Chyba czcigodny Autor wspomnienia nie zechciał – *pro publico bono* – zauważyć kontrowersji tego kształtowania. Sztuka polska w lwowskiej galerii ma zupełnie inne przesłanie ideowe niż obecny klimat miasta, nie mający nic wspólnego z tą niepowtarzalną atmosferą Lwowa przedwojennego, o którym Książd pisał.

Wspomnienia Książdy stanowią wdzięczną uverture do pozostałej zawartości albumu, na którą składają się komentarze w formie zwięzłych *biogramów* miast, miasteczek i zamków kresowych na tle dobranej, interesującej dokumentacji fotograficznej.

Autor tej części albumu, J. Majka, mimo że nie wymienił w bibliografii eseju o Lwowie wspomnianego ukraińskiego pisarza, tj. Jurija Andruchowycza, korzystał bardzo wiernie – na szczęście tylko w kilku miejscach – z jego tekstu, nie zmieniając szyku zdań (ss. 35, 54, 60). Szkoda, bo wpuścił kilka kropli dziegciu do beczki miodu, jaką jednak jest ten album.

Wykreślanie polskiego dziedzictwa kulturalnego we Lwowie i na Kresach zgrabnie – rzecz można: po europejsku – robi rodząca się lwowsko-galiczyjska inteligencja ukraińska. Nie brakuje wśród nich ludzi utalentowanych. Należy do nich właśnie Andruchowycz, jeden z najwybitniejszych współczesnych pisarzy





ukraińskich, urodzony w 1960 r. w Stanisławowie, autor błyskotliwego eseju o Lwowie pt. *Miasto-okręt* (druk w: „Literatura na świecie”, nr 10/95, s. 67–73). Miasto zostało metaforycznie przyrównane do statku, a jego pasażerami były rozmaite nacje. Elegancki styl tego eseju może uwieść czytelnika. Andruchowycze nie używa nigdy przymiotnika *polski* i pisze, że architektoniczna topografia Lwowa jest raczej łańciska, raczej romańska, raczej barokowa, i miasto przesycone jest kulturą śródziemnomorską. Wyliczył wszystkie historyczne narodowości zamieszkujące w ciągu wieków Lwów, dodając i te z fantazji, np. Etiopczyków i Etrusków. Wolno mu, bo jest też poetą. Ale nie zauważył w tej wielonarodowości Polaków. Czytając ten uwodzicielski esej, nie znający historii czytelnik wyciągnie wnioski, że Polaków aż do 1918 r. we Lwowie po prostu nie było. Nawet komentując lokalizację kościoła św. Elżbiety – że przesłoniła dawną dominantę miasta, cerkiew św. Jura – napisał, że denerwowało to rzymskich katolików, byleby nie użyć słowa Polaków, i pewnie dlatego nazwał ją kiczowatą św. Elżbietą. Czytając p o c z ą t k o w e partie eseju Andruchowycza ma się wrażenie, że pojawił się wreszcie ktoś kulturalny i obiektywny, uwolniony od niechęci do łańcisko-polskiej historii Lwowa, kto nie będzie zamazywał ukraińsko-austriacką mitologią jego dziejów. Niestety. Zauważając w końcu Polaków w 1918 r. Andruchowycze tak nas podsumował: *Ale kiedy po osiągniętych zwycięstwie (używam tego słowa z tak dużą względnością, na jaką mnie stać) polska administracja rozpoczęła historyczne wręcz represje wobec bezbronnych, przeprowadzając masowe aresztowania, pogromy, zachowała się jak obcy przybysz, zdobywca obcego miasta, jak ślepy barbarzyńca, nieczuły na prawdziwie lwowską polifonię* (s. 73).

Ale wracając do omawianego albumu, p. Majka okazał się dobrym przewodnikiem po kresowej czasoprzestrzeni. Mam jednak parę uwag oprócz tych, że niepotrzebnie korzystał z tekstu Andruchowycza (np. o Ormianach i Żydach). Oto one. W drugiej połowie XII w. nie mogło istnieć we Lwowie osiem cerkwi, dwa kościoły katolickie i dwie świątynie ormiańskie, bo gród Daniela Halickiego powstał dopiero w połowie XIII wieku. W pejzażu bogactwa architektonicznego Lwowa autor pominał znakomitą lwowską secesję, a historię polskiego miasta zamknął na 1919 r. Co prawda wszedł do wnętrza lwowskich rodzin publikując stare zdjęcia portretowe jego dawnych mieszkańców, w tym pyszne portrety lwowskich Ormian. Ale temat lwowski pozostawia pewien niedosyt – brak w albumie obecności kultu-

ralnej i naukowej Lwowa w 20-leciu międzywojennym i nie wypełnia tego braku kilka fotografii lwowskich ulic z tego czasu.

Mały format albumu (A5) przesądził, że tylko tak niewiele miast, miasteczek i zamków oraz świątyń znalazło w nim miejsce. Jest Drohobycz i Żółkiew, nie ma Stanisławowa i Tarnopola. Jest Podkamień, a nie ma Jazłowca itd. itd. Wybór był na pewno trudny dla autora, lecz informacja, że album przedstawia Kresy Południowo-Wschodnie i słynne miejsca kultowe, trochę nie przystaje do zawartości. Nasuwa się jeszcze jedna refleksja: zamieszczenie zestawu standardowych zdjęć z pielgrzymki Jana Pawła II na zakończenie rozdziału *Lwów – wydarzenia o ogromnej wadze religijnej i politycznej* – wyznacza inne wymogi wydawnicze. W tym wypadku, gdy chodzi o Kresy i ślady przodków, te standardowe zdjęcia nie współgrają z *genrem* tego albumu. Gdyby jeszcze znalazł się tam wizerunek Ojca św. modlącego się we wnętrzu gotyckiej katedry lwowskiej, fundacji Kazimierza Wielkiego, byłoby to nawiązanie do przesłania albumu. W sumie album przedstawia miłe dla oka i serca, poręczne popularne wydawnictwo na dobrym papierze z interesującą dokumentacją fotograficzną i pełnym dobrego smaku opracowaniem graficznym autorstwa Krystyny i Piotra Dylików.

Danuta Nespiak

## ERRATA

Przykre – bo rzeczowe – błędy powstały w numerze S/2000, dopiero teraz zauważone! Oto w rubryce *Archiwum*, dotyczącej „Wielkich z Wołynia” (str. 13 – pechowa trzynastka!) pomyłono osoby wprawdzie o tych samych nazwiskach, lecz całkiem różne.

Nie *Adam Mickiewicz*, lecz jego młodszy brat **Aleksander Mickiewicz** (1801–1871) był wykładowcą w Liceum Krzemienieckim. Wykładał prawo polskie od 1828 r. aż do likwidacji Liceum, potem prawo rzymskie na uniwersytetach w Kijowie i Char-kowie.

Malarz *Jacek Malczewski* nie był wykładowcą w Liceum Krzemienieckim. Błąd



## Archiwum

# Ze Stanisławowa na Sowiniec

12 maja mija kolejna rocznica śmierci Marszałka Józefa Piłsudskiego. Maj 1935 r. to zarazem początek budowy Jego największego i najważniejszego pomnika: Kopca na Sowincu w Krakowie. Do 1939 r. złożono tam 3600 urn z ziemią z miejsc walki Polaków o wolność i niepodległość Ojczyzny. Kopiec Marszałka stał się symbolem, który zyskał miano *M o g i ły M o g i ła*. Warto przypomnieć, że wśród tych grudek ziemi uświęconych polską krwią znalazły się także te ze Stanisławowa i z kilku innych miejsc walk II Brygady Legionów.

Po wielu latach przerwy, dopiero w 1981 r. wznowiono uroczystości składania ziemi z polskich pobojozwisk oraz z terenów kaźni okresu II wojny światowej na Wschodzie i Zachodzie. W ostatnich 20 latach złożono też w Kopcu Piłsudskiego symboliczne garstki ziemi ze stron stanisławowskich:

- ziemię z zabytkowego cmentarza w Stanisławowie, zlikwidowanego przez władze sowieckie w 1964 r.,

- ziemię z Dołów Śmierci inteligencji polskiej, zamordowanej w sierpniu 1941 r. w Czarnym Lesie pod Stanisławowem,

- ziemię z miejsca, w którym miała siedzibę XXIV Polska Drużyna Strzelecka przed wybuchem I wojny światowej,

- ziemię z grobu gen. Stanisława Sosabowskiego, b. komendanta XXIV Polskiej Drużyny Strzeleckiej (pochowanego na Powązkach w Warszawie),

- ziemię z terenu więzienia NKWD i Gestapo w Stanisławowie w czasie II wojny światowej,

- ziemię spod domu przy ul. Zarzewie, w którym zamieszkiwał Józef Piłsudski podczas swojego pobytu w Stanisławowie przed I wojną światową.

Kazimierz Międzybrodzki

powstał zapewne stąd, iż uczniem Gimnazjum Wołyńskiego w Krzemieńcu (późniejszego Liceum) był Antoni Malczewski (1793–1826), późniejszy autor poematu *Maria*. Nazwisko to należy więc wykreślić.

Czytelników przepraszamy.

Do artykułu p. Jadwigi Sibigi o związkach Jarosławia ze Lwowem, opublikowanego w CL 1/03, zakradło się – z winy redakcji – kilka przeinaczeń. Zwróciła nam na to uwagę Autorka, prosimy więc Czytelników o wprowadzenie następujących poprawek:

- na s. 21, po lewej, w wierszach 6/7 od dołu: skreślić zdanie w nawiasie. W klasztorze tym nadal przebywają **ss. Benedyktynki**, a nie *Niepokalanek*.

- na s. 21, po prawej, w wierszach 20/21 od góry: skreślić część zdania: ...ów-

*czesnego klasztoru ss. Benedyktynek...*, a napisać: **jezuickiego folwarku, w miejscu, gdzie obecnie znajduje się klasztor ss. Niepokalanek (założony w 1873 r.)**.

Na błąd w innym jeszcze miejscu zwróciła nam uwagę Pani Jadwiga:

- na s. 44, po lewej, na końcu pierwszego akapitu: nie ...oo. *Benedyktynów* (bo takich w Jarosławiu nie ma), lecz **ss. Benedyktynek**.

Panią Jadwigę Sibigę, życzliwą Czytelniczkę naszego kwartalnika, a także wszystkich Czytelników serdecznie przepraszamy.

I jeszcze jedna poprawka: różnie zdarza się nam pisać końcówkę nazwy miejscowości urodzenia wielkiego prezydenta Krakowa Józefa Dietla. Prawdopodobnie ma być: **Podbuż**.

# AZBUKA CZY ABECADŁO?

*W ukraińskim czasopiśmie „Arka” nr 4 (38) z lutego 2002 ukazał się artykuł Iwana Sliusarczuka pt. „O cerkwi, kalendarzu, alfabecie i nie tylko”. Cytujemy jego fragment (ze skrótami), przetłumaczony dla nas przez Romanę Żukową.*

[...] Dziesięciolecie istnienia Ukrainy jako państwa niezależnego niewiele zmieniło w dziedzinie społecznej duchowości. Na odwrót. Brak jakichkolwiek jasno określonych doktryn moralno-etycznych, politycznych i religijnych doprowadził do tego, że mamy dziś prawie 150 partii, mnóstwo rozmaitych sekt protestanckich, organizacji parareligijnych i aż cztery Cerkwie obrządku wschodniego: UPC-KP [Ukraińska Cerkiew Prawosławna Patriarchatu Kijowskiego], UAPC [Ukraińska Autokefaliczna Cerkiew Prawosławna], UPC-MP [Ukraińska Cerkiew Prawosławna Patriarchatu Moskiewskiego], UHKC [Ukraińska Cerkiew Grekokatolicka]. Wszystkie pochodzą od włodzimierzowego chrztu, wszystkie mają tę samą tradycję liturgiczną i w życiu cerkiewnym posługują się kalendarzem juliańskim. Trzy pierwsze, w których nazwach występuje przymiotnik prawosławna, nie mają między sobą różnic dogmatycznych, są jednak diametralnie przeciwstawne w kwestii narodowej świadomości i kanoniczności. UPC-KP i UAPC jako kijowocentryczne i jako te, które samowolnie odstąpiły od RPC [Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej], uważane są za niekanoniczne. Trzecia, UPC-MP, jest cerkwią rosyjską z ducha oraz języka liturgicznego i potocznego. Jest także w rękach Moskwy instrumentem i rzecznikiem jej imperialnej polityki wobec Ukrainy. Wszystkie te cerkwie są między sobą pokłócone w kwestiach kanoniczności, jednak łączy je wspólna ortodoksyjna nienawiść – przejęta przez dzisiejsze ukraińskie prawosławie w spadku po rosyjskim, które jest ich pochodną – do czwartej cerkwi na Ukrainie, UHKC [grekokatolickiej].

*Starokalendarzowość* czterech wymienionych cerkwi jest niby tradycją, wynikającą z okoliczności historycznych, ale faktycznie jest historycznym anachronizmem, ponieważ w życiu codziennym ich wierni korzystają z kalendarza gregoriańskiego. Obecnie najbardziej do zmiany kalendarza cerkiewnego z juliańskiego na gregoriański skłania się UHKC. Wśród jej wyznawców, zwłaszcza w środowi-

sku inteligencji, najczęściej słyszy się głosy i dyskutuje na temat reformy kalendarza. Jednak w realiach ukraińskich sprawa ta przenosi się od razu na płaszczyznę polityczną. Nasz wszechukraiński ortodoksyjny „triumwirat” – który w innych sprawach wykazuje między sobą wrogość – taką myśl, taką inicjatywę grekokatolików odrzuca *a priori*, insynuując im odstępstwo od pradawnych tradycji, a w dodatku polityczną zdradę na rzecz latinizacji i polonizacji narodu ukraińskiego, zdradę ukraińskiego obrządku i koniec-końców oderwanie Ukrainy od wspólnej kolebki trzech „bratnich” narodów – ukraińskiego, białoruskiego, a przede wszystkim rosyjskiego. Tego trzeciego, „starszego brata” ukraińscy ortodoksi najbardziej się krępują i boją. Problem kalendarza będzie się ciągnąć, dopóki nasz rząd nie zabierze się do jej uporządkowania. Jednak obecny komitet do spraw religii robi wszystko, by podtrzymać *status quo*, ponieważ, jak mówią – u nas Cerkiew jest odłączona od państwa. I właśnie takie fałszywe wypowiedzi urzędników od polityki religijnej (którzy bez wyjątku są ludźmi „wczorajszymi”, co oznacza – antypaństwowymi) świadczą o tym, że problem *sekularyzacji* cerkiewnego kalendarza nie będzie rozważany na Ukrainie jeszcze długo, ponieważ nie życzy sobie ani prawosławna, ani polityczna Moskwa. W takiej atmosferze media ukraińskie, zwłaszcza radio i telewizja, długo jeszcze nie będą zauważać jednej z czterech Cerkwi na Ukrainie (ukraińskich unitów), by nie robić jej „reklamy” w świątecznych programach i ogłoszeniach.

Prócz tego Ukraina, która uważa siebie za wielkie państwo europejskie i chciałaby znaleźć się wśród wolnych narodów kręgu na prawdę wolnej Europy (prawdę mówiąc, zawsze byliśmy w Europie, a książę Jarosław Mądry był *teściem* całej Europy), musi się w jakimś stopniu do niej upodobnić. Dlatego trzeba nie tylko uporządkować sprawy kalendarzowe, które dziś są *pobożnym archaizmem*, ale warto by zmienić – jak mówiono za czasów Szaszkiewicza – *azbukę na abecadło*.

Tego najprawdopodobniej wymagać będzie globalna komputeryzacja, internet i inne środki informatyki, które otwierają Ukrainie drzwi na szeroki świat. Oczywiście, takie myśli dziś mogą być uważane za reakcyjne, heretyckie itp. – wszystko w superlatywach ze znakiem minus. Lecz zobaczmy co robili i robią w tych sprawach nasi bliźsi i dalsi sąsiedzi. Prawosławna Rumunia, która zdobyła niezależność w połowie XIX wieku, od razu zamieniła cyrylicę\* na pismo łacińskie. Czy przestała być prawosławna? Nie. A sami Rumuni, czy stali się Polakami? Też nie. A właśnie tym polskim straszakiem raczą nas prawosławni bracia, gdy tylko zaczyna się rozmowa na temat ukraińskiej orientacji na Europę. Swego czasu historyczna Litwa też zmieniła ruską pisownię na łacińską. I co? Nic. Raz na zawsze duchowo i politycznie zwróciła się frontem ku Europie. I gdy naciskała ją Moskwa – carska i bolszewicka – nic z tego nie wyszło, bo wyrobiła w sobie europejską odporność na *pobożność* w rosyjsko-prawosławnym wydaniu. A Polacy, a Czesi ze Słowakami, a Chorwaci i inne narody – czy przestali być Słowianami, czy utracili swoją tożsamość, posługując się nie cyrylicą, tylko łacińskimi literami? Ba, nawet wielki reformator Atatürk nie bał się zamienić arabskiej fonicznej grafiki na łacińską, a Turcy nie przestali być Turkami i prawowiernymi dziećmi Allacha i jego Proroka Mahometa. Za nimi poszły wszystkie uniezależnione turkojęzyczne, środkowoazjatyckie republiki byłego ZSRR. Nawet taka biedna i zbolszewizowana Mołdawia zaczęła tworzenie swojego państwa od zmiany alfabetu. Takich przykładów można przytaczać sporo

Oczywiście, takie sprawy, jak zmiana cerkiewnego kalendarza i alfabetu, wymagają znacznych kosztów i tworzą w okresie przejściowym pewien duchowy dyskomfort.

Takie myśli zakradły się w moją duszę w Wigilię Bożego Narodzenia AD 2001 według kalendarza gregoriańskiego, kiedy słu chałem w radiu, jak kolęduje cały chrześcijański świat. Poddaję je pod rozważę obrońców *pradziadowych tradycji* i po wschodniemu rozumianej bogobojności, którymi tak zonglują ortodoksi w swojej walce z *heretykami*-katolikami.

\* *Cyrylicą* – alfabet wschodniosłowiański, oparty na greckiej majuskule; powstał na przełomie IX/X w. w Bułgarii i od imienia Cyryla-Konstantego,

apostola Słowian, został nazwany *cyrylicą*. Cyrylicą zastąpiła wcześniejszą *glagolicę*, a ją z kolei zastąpiła *graždanka* (potocznie nadal używa się nazwy *cyrylicą*).

*Głagolica* – pierwotny alfabet wschodniosłowiański; wywodzi się prawdopodobnie z minuskuły greckiej z IX w., uzupełnionej literami na oznaczenie głosek słowiańskich. Z czasem glagolica została zastąpiona przez *cyrylicę*.

*Grażdanka* – alfabet oparty na cyrylicy, ustalony w Rosji przez Piotra Wielkiego (1708), obecnie stosowany w Rosji, na Białorusi i Ukrainie, w niektórych niesłowiańskich państwach środkowoazjatyckich (narzucony im przez Rosję i Związek Sowiecki – część tych państw obecnie rezygnuje z cyrylicy-grażdanki, przyjmując pismo łacińskie) oraz w Bułgarii i Serbii.

*Do powyższego tekstu dołączamy informację znalezioną w internecie na temat katedry grekokatolickiej w Kijowie. O sprawie tej jedynie napomknęliśmy w poprzednim numerze (CL 1/03):*

W Kijowie zwierzchnik Ukraińskiego Kościoła Grekokatolickiego, arcybiskup większy Lwowa kard. Lubomyr Huzar poświęcił i wmurował kamień węgielny pod przyszłą katedrę patriarszą swego Kościoła. Zdaniem obserwatorów, inicjatywa budowy soboru w Kijowie jest kolejnym krokiem na drodze do ustanowienia patriarchatu grekokatolickiego na Ukrainie, o co hierarchia tego Kościoła zabiega w Watykanie od wielu lat.

Wraz z kard. Huzarem w obrzędach uczestniczyli numncjusz apostolski na Ukrainie abp. Nikola Eterović oraz pozostali biskupi Kościoła Grekokatolickiego z kraju i zagranicy. [...]

Przyszła katedra [...] będzie miała 58 m długości, 49 m szerokości i 61 m wysokości [!]. Po zakończeniu jej budowy przeniesie się do niej z katedry św. Jura we Lwowie kierownictwo UKGK. Zdaniem obserwatorów ukraińskiego życia religijnego [...], gdyby do tego doszło, byłby to siódmy patriarchat w katolickich Kościołach wschodnich, a pierwszy w Europie i zarazem największy. Dotychczas UKGK jest w randze *arcybiskupstwa większego* – jednej z dwóch jednostek terytorialnych tego rodzaju w Kościele katolickim.

Zapowiedź budowy i przeniesienia do stolicy Ukrainy władz Kościoła Grekokatolickiego wywołała gwałtowne sprzeciwy i oburzenie istniejących w tym kraju niezależnych od siebie i nie uznających się wzajemnie Kościołów prawosławnych, zwłaszcza patriarchatu moskiewskiego. Zarzucają one grekokatolikom ekspansję na te obszary Ukrainy, na których ich dawniej nie było, i uważają, że obecność katolików wschodnich w centrum i na wschodzie kraju zaszkodzi tam pozycji prawosławia. [...]

O n a s z y c h m i a s t a c h zaczęliśmy pisać już w CL 4/02. Zasygnalizowaliśmy tam (na III stronie okładki), że w tym roku będziemy w każdym numerze pokazywać i omawiać plany miast wschodniomałopolskich, a także przykłady średniowiecznych miast europejskich i polskich – dla porównania. Pokazaliśmy tam również prawzór takiego miasta – rzymski obóz wojskowy, oraz kilka planów miast w Europie (także w CL 1/03), z Włoch, Francji i Polski. Ponieważ poprzedni numer CL był poświęcony Ziemi Przemyskiej, dało nam to okazję do przedstawienia planów kilku miast o średniowiecznym rodowodzie z tego właśnie obszaru: Mościsk, Sambora, Drohobycza, Stryja.

Czytelnikom należy się jednak szersze wyjaśnienie na temat genezy miast europejskich, o tym więc poniżej.

Karol Odrycki

# NASZE MIASTA

wieku niektóre z nich rozrosły się niepomierne. W efekcie prastare jądra miast niemal zagubiły się w morzu nowej zabudowy, pozostając najczęściej – jako zbyt ciasne nawet na wymogi XIX wieku – na boku nowych śródmieść, powstałych w ciągu ostatnich dwóch stuleci, a nawet trochę wcześniej\*. Zauważyliśmy: w Warszawie malutka „Starówka” została całkiem na uboczu, a funkcję centrum przejął najpierw Nowy Świat (jeszcze przed rozbiorami), a potem ulica Marszałkowska i Aleje Jerozolimskie; centrum Lwowa od XIX wieku to nie stary Rynek, lecz Wały Hetmańskie, plac Mariacki, Akademicka. W Przemyślu podobną funkcję przejęła ulica Franciszkańska, w Tarnowie – Wałowa i Krakowska, w Stanisławowie – Sapieżyńska, w Bielsku 3 Maja itd. Tylko w małych i niektórych średnich miastach (np. w Nowym Sączu) stare centra zachowały swoją centralną funkcję.

Podobnie było w Krakowie, bo miasto to, z rozmachem założone w średniowieczu, było o wiele obszerniejsze niż w innych grodach (z rynkiem największym w Europie), ale – po utracie rangi stolicy – rozwijało się słabiej w owej epoce, gdy inne miasta przeżywały swój rozkwit. Dopiero na pomoc rozrostowi Krakowa przyszło w ciągu wieków pochłonięcie kolejno trzech sąsiednich miast, funkcjonujących wcześniej (albo tak pierwotnie pomyślanych) jako miasta osobne. Były to: XIV-wieczny Kazimierz, XIX-wieczne Podgórze i... XX-wieczna Nowa Huta. Poważny rozwój Krakowa właściwego datuje się atoli od przełomu XIX/XX wieku, poprzez okres 20-lecia międzywojennego oraz lata po II wojnie światowej. Jednak mimo tego Rynek krakowski ciągle pozostaje *pępkiem* 800-tysięcznego miasta! Już nie handlowym w skali masowej co prawda (tę funkcję wszędzie przejmują w naszych czasach supermarkety), lecz drobno-handlowym i elitarnym.

Wszyscy wiemy, jak wyglądają n a j s t a r s z e centra naszych miast, różnie nazywane: w większych to *stare miasto* lub *starówka* (w Warszawie!), w mniejszych po prostu *śródmieście* albo *centrum*. Każde z nich stało się zaczynem miasta współczesnego. Wszystkie prawie nasze miasta mają rodowód średniowieczny lub renesansowy, ale w XIX i XX

## Owe stare jądra miast

– obojętnie: zdegradowane czy nadal pełniące rolę centrów – mówią nam wiele o czymś bardzo ważnym: o rodowodzie miasta, oraz o ź r ó d ł a c h c y w i l i z a c j i całego kraju lub regionu. Dla nas w Polsce problem ten ma znaczenie szczególne, znaleźliśmy się bowiem – za sprawą naszych odległych przodków – przy granicy dwóch głównych kultur europejskich: Zachodu i Wschodu, Europy łacińskiej i bizantyjskiej. Nie ma wątpliwości, do której strony należy, ale granice kulturowe z samej swej natury nie mogą być ostre. To zjawisko jawi się ze szczególną ostrością na wschodniej rubieży historycznej ziemi Polaków. Zwłaszcza na ziemiach południowo-wschodnich, bo tam, na skutek określonych wydarzeń historycznych, nałożyły się na siebie dwie kultury\*\*.

Europa zna takie problemy. W wielu krajach tego kontynentu (i nie tylko tego) znaj-

dujemy obszary, gdzie spotkały się różne narody, tradycje, cywilizacje. W wielu miejscach nawet morza nie zdołały w pełni rozgraniczyć narodów i kultur. Czasem obywa się bez problemów: zainteresowane strony wspólnie korzystają ze swych historyczno-kulturowych dorobków. Bywa też inaczej: rozbieżne interesy takich stron albo – co gorsza – stron *trzecich* doprowadzają do kontrowersji, a nawet konfliktów. Ścierają się argumenty i racje historyczne, polityczne, ekonomiczne, etniczne, kulturowe. Tak się składa, że zazwyczaj strona, której racje są słabsze, staje się bardziej agresywna i krzykliwa, argumentacja coraz bardziej niewiarogodna, do zakłamania włącznie, a wreszcie użycia siły (celowała w tym zawsze Rosja na wszystkich granicach swego gigantycznego obszaru, a nawet daleko poza nimi).

Co więc interesuje nas najbardziej? Skoro mówimy o miastach, to zapytajmy: jakie one są? Uściślijmy pytanie: jakie były w chwili powstania, we wczesnym średniowieczu i parę wieków później – bo w dzisiejszej epoce wszystkie miasta świata świata są do siebie podobne albo starają się do siebie upodobnić. Na jakiej zasadzie zakładano polskie miasta, skąd i dlaczego czerpano inspiracje i wzory: z Zachodu czy ze Wschodu? Czy miasta na wschodnich rubieżach różniły się czymś od miast Polski zachodniej i centralnej? Odpowiedzmy od razu:

Wszystkie n a s z e m i a s t a o historycznym rodowodzie – od wieków średnich poczynając – były zakładane na tej samej zasadzie i posiadają podobne plany: szachownica ulic, pośrodku prostokątny rynek z ratuszem, a w narożnym kwartale przy rynku – kościół parafialny. Taki układ miasta został przyjęty w Polsce z cywilizacji zachodniej (za pośrednictwem najbliższego zachodniego sąsiada – Niemiec) i od czasów średniowiecznych świadczy o naszym związku z tamtą stroną – jako konsekwencji przyjęcia chrześcijaństwa z Europy łacińskiej. Na ziemiach południowo-wschodnich podobny plan miasta oraz gotycki kościół są znakami kultury polskiej, zakorzenionej w kulturze zachodniej.

### W sprawie założeń miast

europejskich zacznijmy *ab ovo*. Ludzkość już w starożytności stworzyła logiczne, funkcjonalne i piękne kompozycyjne układy

miast. Szczytowe osiągnięcia w tej dziedzinie należały w Europie do Hellady i Rzymu (a poza Europą np. w Chinach). Jednak upadek tych państw obrócił w niwecz ich kultury, w tym także dokonania urbanistyczne i architektoniczne. Przez paręset lat w ruinach starych miast gnieździł się pozostali tam ludzie, a gdy przyszedł czas wędrówek ludów, przychodzili inni, by też po czasie ustąpić miejsca następnym. Jedno ich wszakże łączyło: skutecznie niszczyli resztki miast, a to co z nich zostało – zwiedzamy dziś z zaciekawieniem jako turyści na terenie współczesnych Włoch, Grecji czy Turcji.

Po starożytnych Rzymianach, poza zrujnowanymi miastami, zostały o b o z y w o j s k o w e, zakładane przez nich w podbitych krajach. Budowano je wedle przemysłanej, prostej zasady: miały kształt regularny, prostokątny, a wewnątrz szachownicę ulic z dwiema głównymi, krzyżującymi się arteriami (zwanymi *cardo* i *decumanus* – plan *castrum romanum* pokazaliśmy w CL 4/02). Na gruzach tych opuszczonych obozów kielkowały nowe osiedla ludzkie, które niejako o d z i e d z i c z y ł y ów szachownicowy plan, co więcej – zaczął się on rozpowszechniać. Kiedy więc u schyłku pierwszego tysiąclecia (VIII/IX wiek) powstało na obszarach dawnych kolonii rzymskich cesarstwo Karola Wielkiego (prawie cała zachodnia Europa, bez Półwyspu Iberyjskiego, południowych Włoch i Anglii) i zaczęła się odradzać cywilizacja, wzorem dla nowych miast stały się owe osiedla, wyrosłe na *infrastrukturze* dawnych obozów wojskowych (wytyczonych ulicach, zaopatrzeniu w wodę itd.). Plan obozu rzymskiego, prosty





Plan średniowiecznego Krakowa. Zwraca uwagę plan Rynku, zniekształcony z jednej strony przez nietypowo wybiegającą zeń ul. Grodzką, oraz ukośnicę w stosunku do Rynku ustawionego kościoła parafialnego (Mariackiego) i kościoła św. Wojciecha. Wynikło to prawdopodobnie z przedlokacyjnej sieci dróg.

i logiczny, spodobał się w prowincjach i krakach, które w owym czasie rozpoczynały swój ucywilizowany byt. Należała do nich także Saksonia, przyłączona przez Karola Wielkiego do jego rozległego państwa.

### Z czasem,

w miarę rozwoju społecznego i cywilizacyjnego, zaczęto kodyfikować zasady prawno-organizacyjne dla miast, uwzględniano też wzorce co do przestrzennego kształtu miasta. Takie właśnie zasady przyjęło dla siebie w XII w. miasto Magdeburg w Saksonii (nad Łabą), stanowiące w Niemczech ośrodek handlu z krajami słowiańskimi. Nic więc dziwnego, że doskonale *prawo magdeburskie* zostało przyjęte nie tylko dla miast wschodnioniemieckich, ale i od XIII w. – polskich. Wrocław przyjął je w 1242 r., Kraków 1257, a Lwów niezwłocznie po odzyskaniu Ziemi Czerwieńskiej przez Kazimierza Wielkiego w r. 1356. Prawo magdeburskie, zwane tradycyjnie *niemieckim* – choć zostało zatwierdzone przez króla Zygmunta Starego jako *polskie prawo miejskie* – obowiązywało aż do rozbiorów.

Za głównymi miastami szły mniejsze. Nie ma więc w Polsce, na zachodzie czy wschodzie, historycznego miasta, w którym plan starego centrum nie ilustrowałby poprzez swoją urbanistykę – zasad, na których zostało założone, a tym samym cywilizacji, która legła u samych jego podstaw. Ciekawe: ostatnim takim miastem na południowym wschodzie jest Kamieniec Podolski (tuż za Zbruczem), ze swoim Rynkiem Polskim i gotyckim kościołem, który z czasem stał się katedrą. Dalej na wschodzie już tego nie ma, bo kultura Bizancjum, zwanego niegdyś Dru-

gim Rzymem – nie przejęła od Pierwszego takich wzorów. Fakt ów uczynił więc granicę między Zachodem a Wschodem. Zauważył to amerykański socjolog, prof. Samuel Huntington, który w swej słynnej książce *Wojna kultur*, wyróżniając siedem kręgów cywilizacyjnych na świecie, bezbłędnie wskazał granicę między kręgiem łaćwińsko-zachodnim a słowiańsko-prawosławnym. Ta trudna do zatarcia granica (nawet w dzisiejszej sytuacji geopolitycznej) przebiega tak, jak biegła odwieczna granica Korony, Galicji, II Rzeczypospolitej. Można się spierać, czy jest to Zbrucz, czy inna najbliższa rzeka w tę lub tamtą stronę, ale jest to ten właśnie rejon. Interesujący nas fragment mapy prof. Huntingtona pokazywaliśmy w CL 2/97.

Do historycznego więc wątku kultury i cywilizacji należą także dzieje budowy miast na obszarze Ziemi Czerwieńskiej, w obu swoich warstwach: urbanistycznej i architektonicznej. To, co przedstawiliśmy, nie należy do naszych odkryć naukowych – jest jedynie zebraniem dobrze znanych faktów, łatwych do sprawdzenia przez każdego. Tak się bowiem składa, że zagadnienia najbardziej oczywiste bez właściwego naświetlenia są mało uświadamiane. Są zbyt oczywiste, by ich znaczenie było doceniane.

Poznawajmy historyczne miasta Wschodniej Małopolski! Na planach i w rzeczywistości.

\* Nie byliśmy w tym oryginalni: tak samo stało się przecież, i to w kilku kolejnych etapach, w większości miast Europy – w Wiedniu, Paryżu, Londynie, Pradze czy Genewie.

\*\* Inny aspekt tego zagadnienia, językowy, przedstawia w tym numerze artykuł o Łędzianach.



# SYLWETKI

## Sztuka USKRZYDLONA

*Czytelnicy będą zapewne zdziwieni: przedstawiamy artykuł z czasopisma ukraińskiego (tytuł pisma brzmi „Homin woli”, nr 136–137/01. Kto przetłumaczy ten tytuł w sposób właściwy?), wydawanego w Stryju. Artykuł napisany kulturalnie (dlatego nie mieliśmy oporów), poświęcony jest osobie i twórczości plastyczki, Polki-stryjanki, Zofii Sadłowskiej.*

*Jej działalność artystyczna jest nam znana i już wcześniej zwracaliśmy się do pani prezes TKPZL w Stryju Tatiany Bojko z propozycją podjęcia wspólnych starań o zorganizowanie wystawy dzieła Z. Sadłowskiej w Krakowie, a może i w innych ośrodkach.*

*W artykule dokonaliśmy skrótów. Tekst tłumaczyła Romana Żukowa.*

Nazwisko artystki Zofii Sadłowskiej było dotąd stryjanom mało znane. Od czasu do czasu widywano jej prace na wystawach stryjskich malarzy, ale jakoś się one gubiły wśród dzieł innych twórców, bo nie narzucały się rozmiarami, a kolory nie od razu wpadały w oko. Obecnie jednak mamy wszelkie podstawy, aby o Sadłowskiej mówić jako o poważnej i oryginalnej artystce. Największa sala naszego Muzeum Regionalnego ledwo pomieściła licznych miłośników twórczości malarki – jej przyjaciół, przedstawicieli Towarzystwa Kultury Polskiej, nauczycieli, malarzy, pisarzy i przedstawicieli różnych zawodów, którzy spotkali się na otwarciu indywidualnej wystawy pani Zofii.

Jakie więc są te prace Zofii Sadłowskiej? Pokazano 48 prac w różnych technikach wykonania: malarstwo olejne, akwarele, pastele, rysunki piórkiem i ołówkiem.

Z. Sadłowska jest przede wszystkim graficzką. Ukończyła wydział *ilustracji i oprawy plastycznej książki* Ukraińskiego Instytutu Poligraficznego (obecnie Lwowska Akademia Drukarstwa). Z wdzięcznością wspomina [...] swoich nauczycieli, z którymi łączyła ją twórcza przyjaźń.

Wymagania w stosunku do siebie i swojej twórczości były oczywiście głównymi przy-

czynami, że malarka nie śpieszyła się z organizowaniem wystawy indywidualnej, zaś sytuacja materialna w ostatnich latach, która najdotkliwiej uderzyła w twórców, w ogóle utrudniła malowanie. I niespodziewanie przed rokiem otwarto wystawę prac Zofii Sadłowskiej w Przemyślu. Ekspozycja cieszyła się ogromnym powodzeniem. Po roku znów wystawa, tym razem w rodzinnym Stryju.

Wystawa ta pozostawiła najlepsze wrażenie. Z autoportretu z 1967 roku patrzy na nas sympatyczne, zadziorne oblicze dziewczyny. Odczuwa się w nim charakter i życiową energię. A życie dla niej nie było lekkie i łaskawe. Dzięki Bogu, nie widać tego w dziełach malarki. Elegijnie spokojna martwa natura z cytrynami na tle wyszywanki. Rozwiczrzone słoneczniki, w których malarz jakby walczył z grafikiem. Wspaniałe pastele z fachowo narysowanymi szczegółami (*Koguciki*). Intymny kącik podwórka, które kipi życiem i radością (*Na podwórzu* i *U pani Teodory*). Z wielką sympatią namalowane są niewielkie obrazki portretowe: *Moja Hala* i dziecięcy portret *Życie – bajka, napisana ręką Boga*.

Charakterystyczny cykl stanowi sześć akwarel Sadłowskiej pod wspólnym tytułem *Moje rodzinne miasto*. Malarka z miłością przedstawia zakątki starego Stryja, ułatwia spostrzeżenie, jakie ładne jest nasze miasto. Gdzieś – stara budowla, gdzie indziej zaledwie szczegół architektury, część ogrodzenia, płaskorzeźba nad oknem, odrzwia, balkon...

Obrazy wykonane tuszem i piórkiem pozostawiają po obejrzeniu niezapomniane wrażenie. Zachwyca nas ich wyszukana kompozycja.

Ośrodkiem całej wystawy – w sensie odbioru wizualnego i duchowego – są prace o tematyce religijnej. Tę serię łączy nie tylko wirtuozeria wykonania – w tak prostej z pozoru technice, jak rysunek piórkiem – ale jej ogólny nastrój, jaki stwarza przedstawienie Jezusa Chrystusa. A obok – plansze graficzne, wyobrażające postacie świętych ewangelistów, apostołów Piotra i Pawła, Andrzeja, świętych Józefa, Jerzego, Kazimierza, Marię Magdalenę, Katarzynę lub Zwiastowania Pańskiego. A wreszcie liryczno-nastrojowa praca *Święty Franciszek*.



Zofia Sadłowska, rodowita stryjanka, kocha swoje miasto wielką miłością, tak jak ojczyznę swoich przodków – Polskę. Prace malarki przemawiają do naszych serc językiem ogólnoludzkim, językiem miłości. Dlatego tak bardzo pragniemy, by można było spotkać się w ciągu najbliższych lat z jej nowymi pracami.

Dobrze, że znaleźli się szlachetni i szczerzy ludzie, którzy pomogli malarce w urzą-

dzeniu wystawy. Dziś kosztuje to niemało, dlatego wielkie dzięki za to.

Zofia Sadłowska to natura delikatna i szlachetna. Odczucia duchowe przelała na swoje prace. A z nich i przez nie – przekazuje nam wszystkim, abyśmy byli mocni duchem, utwierdzeni w wierze i pełni nadziei na lepszą przyszłość naszej rodzinnej ziemi.

M. Nesterczuk

## ZE LWOWA DO KRAKOWA

**Mówiąc o prezydentach Krakowa, wymienia się zwykle trzech wywodzących się z Małopolski Wschodniej: Józefa Dietla, Mikołaja Zyblikiewicza i Juliusza Leo – o nich wszystkich pisaliśmy w CL 1/03, ponieważ wszyscy trzej urodzili się w odciętej jałtańskim kordonem części Ziemi Przemyskiej (Podbuż, Stary Sambor, Stebnik). Dziś o czwartym, urodzonym lwowianinie.**

Feliks Szlachtowski urodził się we Lwowie w 1820 roku. Ukończywszy studia prawnicze przeniósł się do Krakowa, gdzie otworzył kancelarię adwokacką oraz prowadził wykłady z prawa na Uniwersytecie jako profesor honorowy. Po piętnastu latach pracy w Krakowie został członkiem Rady Miejskiej, a niedługo potem wybrano go na wiceprezydenta miasta za prezydentury Józefa Dietla. Pełnił tę funkcję także przy prezydencie



Mikołaju Zyblikiewiczu. Zajmował się sprawami prawno-administracyjnymi w zakresie architektonicznego rozwoju Krakowa. Interesował się też dziedziną kultury, nawet przewodniczył Towarzystwu Muzycznemu.

Uznanie dla działalności Feliksa Szlachtowskiego wyrażono wyborem jego osoby na prezydenta Krakowa w roku 1884, ponieważ uważano go za człowieka doświadczonego, pomysłowego, kontynuującego dzieło J. Dietla. Spośród kilku obietnic, jakie wyraził obejmując to stanowisko, udało mu się zrealizować jedynie dwie, a to z powodu trudności finansowych. Jedną z obietnic dotyczyła wykupienia gazowni od austriackich właścicieli i w konsekwencji rozszerzenia sieci gazociągów na wszystkie części miasta, a także na przedmieścia. Drugą obietnicą to realizacja marzeń wielu krakowian, czyli wybudowanie teatru, który powstał na placu św. Ducha.

Za rządów F. Szlachtowskiego, wybranego ponownie na prezydenta w r. 1890, wybudowano wiele obiektów mieszkalnych, a także okazałe budowle, takie jak Collegium Novum, Collegium Medicum, Poczta Główna, Kasyno Oficerskie, nowe kliniki przy ul. Kopernika, most Dębnicki. Wykonano wedle projektów zagranicznych dwupasmo- wą arterię nazwaną ulicą J. Dietla. Henryk Jordan uzyskał zgodę na utworzenie parku ćwiczeń gimnastycznych na Błoniach, co wzbudziło zainteresowanie. Podobne parki zorganizowano we Lwowie, Tarnopolu, Nowym Sączu, Warszawie.

Swoją postawę patriotyczną objawiał F. Szlachtowski organizując ważne dla Polaków uroczystości. Do największych zaliczana jest uroczystość sprowadzenia na Wawel zwłok Adama Mickiewicza. Otwarcie Teatru nastąpiło w roku 1893, tuż po rezygnacji Szlachtowskiego ze stanowiska prezydenta Krakowa.

Irena Suchanek



# Z TAMTEJ STRONY

## Wydarzenia

◆ Z Internetu dowiedzieliśmy się o toczącej się sprawie wokół **własności obiektów Kościoła** łacińskiego we Lwowie i w archidiecezji. Problem wynikł po ogłoszeniu przez państwo prawa do odzysku przez dawnych właścicieli nieruchomości znacjonalizowanych przez sowietów. Po 1989 r. Cerkiew grekokatolicka przejęła nie tylko swoje świątynie, ale także 12 kościołów rzymskokatolickich. Stało się to niezgodnie z prawem kościelnym.

Kardynał L. Huzar poinformował, iż ks. kardynał M. Jaworski zapewnił go o braku zainteresowania tymi obiektami ze strony Kościoła rzymskokatolickiego, bo ich nie potrzebuje. Jest tylko jeden wyjątek: kościół MB Gromnicznej przy ul. Czarnieckiego, obok odzyskanego pałacu arcybiskupiego (zamieniony na cerkiew grekokatolicką, a wcześniej użytkowany jako magazyn). Msze św. w tym kościele odbywają się na razie na zmianę w obu obrządkach.

W ub. roku kard. Jaworski podobno wystąpił do władz z prośbą o zwrot m.in. trzech świątyń we Lwowie i ok. 30 obiektów w *obwodzie* lwowskim (kościół, plebanie, klasztor). Bp M. Buczek wyjaśnił, że Kościół domaga się zwrotu tylko tych obiektów, które są potrzebne do pracy duszpasterskiej, czyli znajdujących się tam, gdzie są wierni. Nie wiemy, o jakie kościoły we Lwowie chodzi i czy należą one do tamtych dwunastu. Inne świątynie łacińskie zostały zajęte przez trzy konkurencyjne Cerkwie prawosławne (przykładem kościół św. Mikołaja).

◆ Ekspatrianci z rejonu Bełża i Sokala, żyjący dziś głównie w Ustrzykach Dolnych (o wysiedleniach z tamtych stron w r. 1951, czyli o tzw. akcji HT-51 pisaliśmy w CL 4/01), podjęli kilka chwalebnych prac na terenie swej utraconej *małej ojczyzny*: w Bełzie wyremontowano kaplicę cmentarną, pełniącą rolę miejscowego kościoła, wstawiono

## SŁOWNIK GEOGRAFICZNO- HISTORYCZNY

### BALICE

**Położenie.** Wieś w pow. mościskim, woj. lwowskim, położona na płd. od drogi i linii kolejowej z Przemyśla do Lwowa, w odległości ok. 11 km na płd. zach. od Mościsk.

**Historia.** Wieś miała powstać w XIII w., gdy jakoby osadzono tu grupę Jaćwingów, Madziarów lub Pieczyngów. Pierwszym znanym właścicielem był Jan Czech, mieszczanin przemyski, a w r. 1400 nabył ją wójt przemyski Wańka h. Zadora. Jego rodzina przyjęła nazwisko Balickich. Przez następne 450 lat części dóbr należały kolejno do wielu różnych właścicieli. Od 2. poł. XVIII w. jedynymi posiadaczami stali się Baworowscy, potem Drohojowscy, a od r. 1874 Skibniewscy, którzy gospodarowali w Balicach do II wojny światowej.

Balice należały pierwotnie do parafii rzym.-kat. w Hussakowie. Miejscowa parafia została utworzona w r. 1927, staraniem najpierw ks. Dominika Skibniewskiego, a później jego brata, dziedzica Balic, Władysława, w oparciu o kaplicę dworską, zbudowaną ok. r. 1892 przez Bronisława i Olgę z Dzieduszyckich Skibniewskich. W latach 1924–27 zbudowano plebanię, a w 1939 r. zamierzano wznieść nowy, większy kościół, plany te jednak udaremniła II wojna.

Wedle miejscowych przekazów w Balicach istniało fortalicjum z XV–XVI w., którego część murów przetrwała do XX w. w strukturze pałacu, zbudowanego w stylu klasycystycznym z pocz. XIX w. przez Baworowskich. W 1874 r. pałac ten uległ pożarowi, przy czym ucierpiały głównie partie XIX-wieczne. Przebudowano go na nowo i w takiej postaci dotrwał do ostatnich czasów. Była to budowla murowana, prostokątna, jednopiętrowa, z czterokolumnowym portykiem na osi, z dachem czterospadowym. Na parterze znajdował się obszerny westybul z dębowymi schodami na piętro oraz paradne sale na parterze i piętrze. Przed 1874 r. wnętrza były bogato wyposażone we wzorzyste posadzki, stylowe obicia, ozdobne piece i kominki oraz zabytkowe meble i zbiory dzieł

okna i drzwi, odnowiono ściany i dach. Na mogile żołnierzy I wojny światowej postawiono żelazny krzyż w miejscu drewnianego, który został wyrzucony przez sowietów. Odtworzono figurę MB, zniszczoną w 1951 r. W Sokalu zostanie odnowiony pomnik żołnierzy polskich poległych w I wojnie.

◆ 12 stycznia odprawiona została w lwowskiej Katedrze **msza św. w intencji nauczycieli polskich placówek oświatowych**, celebrowana przez ks. kard. Mariana Jaworskiego. Po mszy w Rezydencji Arcybiskupów Lwowskich odbyło się spotkanie oplatkowe. Przybyło sto kilkadziesiąt osób z całego obszaru Metropolii Lwowskiej.

◆ O praktykach stosowanych na **Cmentarzu Łyczakowskim** – oto fragmenty listu, jaki nadszedł ze Lwowa: *Pewna Polka ze Lwowa [...] kupiła stary polski grobowiec i za sam paszport (podkreślenie nasze – red.) zapłaciła 1500 dolarów, a gdzie remont? Tutaj każdy grobowiec musi być zarejestrowany i mieć paszport. Jeżeli nie, to sprzedają temu, kto zapłaci. Rodzina [...] ma trzy grobowce. Kiedy zmarł ich wujko, [...] wzięła klucz od grobowca, bo zamknięty jest na żelazne drzwi, klepsydry od 1800-któregoś roku i poszła do dyrektora cmentarza. Powiedział, że grobowiec nie ma paszportu, a że minęło już 60 lat od ostatniego pochówku, to można grobowiec sprzedać. I musieli pochować wujka do ziemi na [innym cmentarzu].*

A przecież Cmentarz Łyczakowski ma status *m u z e u m*. Co to znaczy? To znaczy, że jego zawartość została uznana jako *z a b y t k o w a*. Z praktyk, takich jak opisana, bierze się to, że coraz więcej pięknych starych grobowców dostaje nowych właścicieli, a co za tym idzie – jest przez nich odnawiana, przeważnie przez pokrycie tandetnym lastrikiem. Niedawnym przykładem – choć to *kropła w morzu* – była afera związana z grobowcem ks. Wandy Czartoryskiej (pisaliśmy o niej w CL 3/99).

◆ Z początkiem marca odbyła się pod Polskim Konsulatem Generalnym we Lwowie pikietą **nacjonalistów UNA-UNSO** pod hasłem: *„Nie” polskiemu e k s t r e m i z m o w i i r e w a n z y z m o w i* (podkr. red.). Równocześnie przewodniczący Rady

Najwyższej państwa ukraińskiego (parlamentu) Wołodymyr Łytwyn zapowiedział, że władze Ukrainy *n i e p r z e p r o s z ą* za masakrę Polaków, ponieważ *w i n n y c h t e j t r a g e d i i n i e z n a j d z i e m y a n i w s ą d n y d z i e ń*.

Na marginesie: w „Gazecie Wyborczej” z 8–9 III '03 przeczytaliśmy rozmowę P. Smoleńskiego z ministrem *M a r k i e m S i w c e m*, który reprezentuje rząd polski w sprawie przygotowywanych obchodów 60-lecia rzezi ukraińskich na Wołyniu (i pomijanej wciąż Małopolsce Wschodniej). Siwec wypowiada się *s p r a w i e d l i w i e*, choć z dużą dozą dyplomacji, natomiast dziennikarz GW (już nam dobrze znany) wyraźnie i prowokująco prezentuje postawę ukraińską. Jego styl rozmowy dobrze ilustruje taka wypowiedź:

*Mam wielki kłopot – mówi do min. Siwca – jak odnaleźć się w projektowanych obchodach wołyńskiej rocznicy. Szanuję i doceniam proukraińską politykę prezydenta Kwaśniewskiego, lecz z drugiej strony mam nieodparte wrażenie, że przygotowując obchody, przyjęli Państwo optykę organizacji *k r e s o w y c h* [podkr. red.] zdominowaną przez antyukraińskie stereotypy.*

No, proszę.

## POLACY z POLAKAMI

### Spotkanie redaktorów

*W Konstancinie k. Warszawy odbyło się z końcem listopada '02 spotkanie szkoleniowo-konsultacyjne dla redaktorów naczelnych gazet polskojęzycznych, wydawanych za wschodnią granicą RP. Organizatorem była Fundacja „Pomoc Polakom na Wschodzie”, kierowana od niedawna (ponownie, po półrocznej przerwie) przez dra Tadeusza Samborskiego. Otrzymałą ze Lwowa relację przekazujemy w skrócie.*

[...] Trzydzieści osiem tytułów finansowanych, czy też dofinansowywanych przez

Senat RP świadczy o trosce, którą jesteśmy objęci my, Polacy za wschodnią granicą. Czternaście z nich to wydawnictwa ukazujące się na Ukrainie. Imponująca cyfra świadcząca o aktywizacji społeczeństwa polskiego. Pani Julia Konowrocka dokonała wnikliwej, obiektywnej analizy ukazujących się czasopism. Zatrzymując się na dwóch tytułach gazet, ukazujących się we Lwowie, nadzwyczaj trafnie określiła informacyjny charakter „Gazety Lwowskiej” oraz literacko-kulturalne ambicje „Lwowskich Spotkań”. Sądzimy, iż jest to poparcie dla inicjatywy Polaków Lwowa.

Lwów jest jednym z największych polskich ośrodków kulturalnych w zachodniej części Ukrainy. W powojennym Lwowie istniały dwie polskie szkoły (jako jedyne na Ukrainie), działał amatorski Teatr Polski (od lat 50. minionego wieku), szkolny teatr „Baj” (kontynuujący przedwojenne tradycje szkoły Marii Magdaleny), chór „Echo”. Od roku 1990 ponownie zaczęła się ukazywać „Gazeta Lwowska”, założona w 1811 r., a reanimowana przez ówczesnego prezesa TKPZL Leszka Mazepę i zawodową dziennikarkę Bożenę Rafalską, lwowiankę, zaproszoną z Wilna (gdzie osiadła po studiach).

W Wilnie ukazuje się sześć tytułów prasy polskiej. W latach 60. Wilno dla nas było swoistą Mekką. Przyjeżdżając do Wilna (do Kraju jeszcze nie było możliwości) na ulicach można było rozmawiać po polsku, odnosiło się wrażenie, że jesteśmy w Polsce. W owych czasach na Litwie czynnych było ponad 100 polskich szkół. Korzystaliśmy z podręczników tam wydawanych, prenumerowaliśmy tamtejsze polskie czasopisma. Czynna była wyższa uczelnia, gdzie studiowali Polacy z całej Ukrainy.

Dziś istnieją inne układy, inne warunki. Mamy możliwość wydawania dwóch tytułów czasopism we Lwowie, o wyraźnie zróżnicowanych ukierunkowaniach. Z pewnością mają rację bytu oraz zasługują na akceptację i poparcie ze strony rządu polskiego.

Jeśli chodzi o „Biuletyn” Federacji Organizacji Polskich nU., który redaguję, to pragnę zaznaczyć, iż jest to czasopismo o charakterze specjalnym. Federacja zrzesza ponad 138 ośrodków polskich stowarzyszeń kulturalnych. Do wszystkich „Biuletyn” jest wysyłany nieodpłatnie. Informacje tam zawarte są zwięzłe, krótkie. Społeczeństwo polskie

sztuki, strawione przez pożar. Po odbudowie zgromadzono ponownie meble, obrazy, bibliotekę, portrety, uległy one jednak w większości zniszczeniu w czasie I wojny światowej. Uratowano jedynie zbiór zabytkowej porcelany. Pałac otaczał 10-morgowy park z kilkusetletnim starodrzewiem. W r. 1945 pałac został w całości rozebrany, a park wycięty.

**Czasy obecne.** W Balicach czynna jest dawna kaplica pw. bł. Bronisławy, do której dojeżdża ksiądz z Trzcieńca. (AKS)

### **BENKOWA WISZNIA**

**Położenie.** Wieś w pow. rudeckim, woj. lwowskim, położona o 2 km na płn. od Rudek. Parafia rzym.-kat. w Rudkach, parafia gr.-kat. na miejscu.

**Historia.** Wieś Beńkowa (lub Bierńkowa) Wisznia miała przez kilka wieków wspólną historię z Rudkami, które stanowiły jej przysiółek, potem jednak role się odwróciły (zob. Rudki). W połowie XVIII w. była własnością Wojciecha Siemińskiego h. Leszczyca, który wybudował tu pałac jako swoją rezydencję. Pałac ten w spłonął w pożarze (rok nieznany), a jego ruiny istniały jeszcze w pocz. XIX w. Pod koniec XVIII w. Beńkowa Wisznia stała się dziedziczną siedzibą rodziny Fredrów. Nowy pałac wystawił w r. 1838 komediopisarz Aleksander Fredro, który spędzał w nim czas na zmianę z dworkiem na Chorążczyźnie we Lwowie. Wnuk Aleksandra, Andrzej Maksymilian, odnowił pałac gruntownie w r. 1896, ale w 1919 r. wdowa po nim sprzedała wieś Małopolskiemu Towarzystwu Rolniczemu.

**Zabytki.** Pałac hr. Fredrów na planie prostokąta, dwukondygnacyjny, z krótkim skrzydłem bocznym, dobudowanym później. Wnętrze wypełniały dzieła sztuki i pamiątki rodzinne, które z czasem zostały rozdzielone między wnuków komediopisarza, Szembeków i Szeptyckich. Przedmioty pozostałe na miejscu i biblioteka licząca 10 tys. tomów uległy zniszczeniu podczas I wojny światowej. Obecnie w pałacu mieści się szkoła.

Zachowała się ponadto oficyna, starsza od pałacu, tzw. Jaśkowy Dwór. (MT)

### **MIŻYNYEC**

**Położenie.** Wieś w pow. przemyskim (w części odciętej dziś granicą), woj. lwowskim, oddalona o ok. 16 km na płd. wsch. od Przemysła i 10 km od stacji kolejowej w Nizankowicach (linia Chyrow–Przemysł). Położona nad rzeczką Wyrwą, dopływem Wiaru (dorzecze Sanu).



na Ukrainie jest bardzo zróżnicowane pod względem zachowania języka ojczystego. Za Zbruczem stopień zukrainizowania i zrusyfikowania jest bardzo wysoki. Dlatego też drukując w „Biuletynie” dokumenty prawne w języku ukraińskim, pomagamy ludziom zorientować się odnośnie do praw im przysługujących, a także umożliwiamy korzystanie z nich.

Pisma dwujęzyczne ukazujące się na Wschodzie na razie są konieczne. Sądzę jednak, że należy zwiększać ilość materiałów w języku polskim. Przy dobrych chęciach język polski można opanować za rok – nawet jeśli nie jest to język ojczysty. Niedopuszczalne natomiast są czasopisma, gdzie tylko tytuł napisany jest po polsku – zakrawa to na kpinę z podatnika polskiego.

Henryk Banasiuk, wiceprezes Fundacji, słusznie mówił o potrzebie naświetlania pozytywnego wizerunku Polaka w naszych mediach, o niedopuszczalnej sytuacji, gdy dobre imię Polaka jest szargane. Niestety takie przypadki zdarzają się w prasie za wschodnią granicą. Miejmy nadzieję, że Zarząd Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie”, zgodnie ze swymi założeniami i autorytetem, wpłynie na redaktorów i wydawców, aby podobne ekscesy nie miały w przyszłości miejsca na łamach polskojęzycznych gazet i czasopism.

Senator Tadeusz Rzemiykowski wspominał m.in. o planowanych zmianach warunków studiowania młodzieży polskiej z za wschodniej granicy. A mianowicie: o ograniczeniu możliwości studiowania w RP z perspektywą wyeliminowania w przyszłości takich studiów, natomiast preferencji dla przyznawania stypendiów uczącej się młodzieży polskiej w kraju swojego zamieszkania – w celu zatrzymania procesu *odpływu inteligencji polskiej* z państw byłego ZSRR przede wszystkim.

Przed dziesięciu laty, kiedy otwarcie zaczęto mówić o *istnieniu Polaków* za wschodnią granicą, przedstawiciele Rządu Polskiego przyjeżdżając do nas, przepa-

sali za te ponad 50 lat milczenia oraz zapewniłi o chęci spłacenia długu względem nas i naszych dzieci. Podkreśla się wciąż, że będąc wolnymi ludźmi, mieszkając w wolnych krajach, możemy postępować zgodnie z własnym sumieniem. Pokolenie naszych dziadków i rodziców w swoim czasie dokonało swego wyboru, nie opuszczając Polski. To oni – na skutek zaistniałych zmian geopolitycznych, znaleźli się poza granicami Polski. Nie czarujmy się, my i nasze dzieci jesteśmy swoistymi zakładnikami historii i nimi pozostaniemy. Potrafiłiśmy jednak wychować nasze dzieci w duchu miłości do historycznej Ojczyzny i więzi z nią.

Czyż nie posiadają nasze dzieci moralnego prawa do dokonania wyboru po ukończonych studiach? Czyż nie zasilają one obecnie szeregów młodej inteligencji w Kraju? Młodzież polska urodzona w Kraju wyjeżdża na Zachód. Nasza wartościowa młodzież wypełnia w pewnym stopniu tę lukę. Marszałek Piłsudski słusznie twierdził, iż najpotężniejsze umysły wywodzą się z przysłowiowego obwarzanka, a więc z obrzeży Rzeczypospolitej.

Wiadomy jest powszechnie fakt, iż uwarunkowania ekonomiczne dla co najmniej dwóch pokoleń nie zapewnią pracy i godnego bytowania w kraju naszego zamieszkania (mam na myśli Ukrainę). Pomijam tu aspekt przynależności narodowej. Ograniczenie więc możliwości studiowania młodzieży polskiej z za wschodniej granicy w RP jest wielce problematyczne, wymagające prze-myślenia.

Kończąc, pragnę wrócić do spraw dziennikarskich. Wierzę, że mimo niełatwych warunków, w których pracujemy w zasadzie społecznie, a mimo to z oddaniem, nie zaistnieje w naszym zmaterializowanym świecie sytuacja, gdzie dziennikarza można będzie kupić, od dziennikarza będzie można wymagać, dziennikarzowi będzie się narzucać. Będziemy się starać by pracować dotrzymując kanonów etyki dziennikarskiej. Czego sobie i moim kolegom serdecznie życzę. [...]

Teresa Kulikowicz-Dutkiewicz

*Post scriptum od Redakcji.*

*Korzystając z okazji, ponownie apelujemy do Pana Prezesa Fundacji PPNW o pomoc dla „Gazety Lwowskiej” w kwestii wy-*

dawania periodycznych dodatków dla ludzi z wykłych, nie intelektualistów: na temat rolnictwa, hodowli, ogrodnictwa, sadownictwa. Dodatki takie nie tylko pomogłyby merytorycznie ludziom oderwanym przez trzy pokolenia od pracy na własny rachunek i wiedzy z tym związanej, ale i przywróciłyby autentyczny, praktyczny kontakt z polskim słowem. Dziś, jak wiemy, wygląda to różnie.

Jesteśmy przekonani, że któreś z krajowych profesjonalnych czasopism zgodziłoby się na nieodpłatne przedruki. Ale konieczne by było, żeby się tym zajął także właściwy fachowiec, znający naturalne i ekonomiczne uwarunkowania poszczególnych regionów. Najważniejsze, by nie stać w miejscu!

## KALIFORNIA I LWÓW

Wchodząc do prezbiterium Archikatedry lwowskiej i zbliżając się do głównego ołtarza, zauważamy przed nim posoborową mensę, pod nią zaś, w antepedium, trzy srebrzyste płaskorzeźby, tworzące tryptyk – patrz objaśnienie pod zdjęciem.

Dzieło to, ufundowane w 1936 r. dla głównego ołtarza przez Arcybractwo Najświętszej Panny Marii Łaskawej, Królowej Korony Polski, wykonał znany lwowski rzeźbiarz prof. Józef Starzyński. W 1946 r. antepedium zostało ze Lwowa wywiezione i złożone w Lubaczowie, gdzie na prawie pół wieku ustanowiono zastępczą stolicę Archidiecezji lwowskiej. W tamtejszym kościele, który przez te lata pełnił rolę konkatedry Archidiecezji, zbudowano ołtarz, w którym umieszczono lwowskie antepedium – i pozostaje ono tam do dziś. Natomiast dla Katedry we



**Historia.** W 1392 r. wieś znajdowała się prawdopodobnie w rękach Michała Wapowskiego, w połowie XV w. właścicielem był niejaki Jaśko. Później majątek należał do Derśniaków z Rokietnicy, a w 1589 r. został odnotowany jako własność Abrahama Herburta. Pod koniec XVI w. przeszedł w ręce Korniąków. Na przeł. XVII/XVIII w. wszedł w posiadanie rodziny Mniszków h. Poraj, stając się na kilkadziesiąt lat ich rezydencją, później przeniesioną do Krysowic (zob. CL 3–4/95). Pierwszym właścicielem z tego rodu był Zygmunt Konstancy, ostatnim Stanisław, po jego zaś śmierci w r. 1846 Miżyniec przypadł jego córce Felicji, żonie Jerzego Lubomirskiego. Wobec bezdzietności tych ostatnich Miżyniec przeszedł na brata Jerzego, Adama Lubomirskiego. Jego córki Jadwiga Świeżawska i Zofia Humnicka władają majątkiem do 1939 r.

Pałac w Miżyńcu, istniejący już w XVIII w., został prawdopodobnie rozbudowany przez A. Lubomirskiego, który tu urządził główny zarząd swych rozległych dóbr. Główny, dwukondygnacyjny korpus pałacu, zapewne starszy, był flankowany dwoma alkierzami, z których jeden był zwieńczony wieżą. W pałacu znajdowały się cenne meble, obrazy i dzieła sztuki oraz biblioteka, które całkowicie spłonęły w 1914 r. w czasie bitwy między wojskami austriackimi a Rosjanami oblegającymi Przemyśl. Po I wojnie pozostały ruiny, rozebrane z czasem na cegłę. Pozostał natomiast kilkunastohektarowy park w stylu angielskim z cennym drzewostanem.

Parafia rzym.-kat. miała wg przekazów powstać ok. 1328 r. Odnowienie fundacji parafii nastąpiło w 1488 r. Nieznane są najdawniejsze dzieje kościoła drewnianego; w r. 1642 został ponownie poświęcony po odnowieniu, a w tym samym roku wyremontowano plebanię, szkołę parafialną i szpital. W r. 1696 kościół ten spłonął, a nowy, również drewniany, został ufundowany w r. 1700 przez Annę Baranowską, cześnikową lwowską. W ciągu XVIII w. był parokrotnie odnawiany i wzbogacany, wystawiono dzwonnice.

Murowany kościół powstał w Miżyńcu ok. 1770–72 z fundacji Adama Mniszka. W czasie I wojny światowej doznał uszkodzeń, usuwanych sukcesywnie w latach międzywojennych. Po II wojnie do r. 1959 pozostawał czynny, a ksiądz dojeżdżał z Nowego Miasta. Po zamknięciu przez 30 lat stał nieużytkowany, a przywrócony do kultu w 1989 r. Przeprowadzono wówczas generalny remont.



Antependium w soborowym ołtarzu. Lewa kwarta: król Kazimierz Wielki zakłada kamień węgielny pod katedrę lwowską; środkowa kwarta: Śluby Jana Kazimierza w 1656 r. przed obrazem MB Łaskawej; prawa kwarta: poświęcenie sztandaru Orłąt Lwowskich przez abpa Bilczewskiego w 1920 r.

Lwowie wykonano i wbudowano w soborowy ołtarz – na przyjazd Ojca Świętego w 2000 r. – replikę oryginału.

Mało kto jednak wie, komu zawdzięcza Katedra nową zdobę czcigodnego wnętrza. Fundatorem jest Polonia Amerykańska Południowej Kalifornii (o czym świadczy mało widoczna plakietka), ale i ta informacja nie wyczerpuje tematu.

Inicjatorami fundacji są pp. Zofia z Cybulskich i Wiesław Adamowiczowie, którym wydarzyło się przed czterema laty przeżyć osobistą tragedię: śmierć syna. Pani Zofia pochodzi z Medyki, ale jej dalsze koleje życia to Kazachstan, potem Afryka, Anglia, Ameryka. Na jej prośbę uczestnicy pogrzebu

Marka Adamowicza złożyli – zamiast kwiatów – ofiary na nowy ołtarz we Lwowie, w miejsce tymczasowego, służącego posoborowej liturgii przez lat kilkanaście. Pani Zofia oglądała go w czasie swej pielgrzymki do Lwowa w latach dziewięćdziesiątych.

Na apel Matki odpowiedziało kilkadziesiąt osób, w większości kalifornijskich Polaków: zebrano 3275 dolarów USA. Jedynym akcentem ozdobnym w czasie żałobnej mszy św. i pogrzebu był zaś skromny wieńiec z sosnowych gałęzi i szyszek.

Pieniądże przekazano do Lwowa niezwłocznie, a antependium było gotowe na przyjazd Ojca Świętego do Lwowa w 2001 r.

Marek Adamowicz urodził się w 1953 r. w Anglii, ale już w dwa lata później rodzina przeniosła się do Stanów Zjednoczonych i osiadła koło Los Angeles. Tam też upłynęło całe jego życie. Oprócz szkoły anglojęzycznej ukończył polską szkołę sobotnią. W latach nauki uczestniczył w koloniach polskiej Macierzy Szkolnej, potem został jej instruktorem. Przez wiele lat był członkiem zespołu tanecznego „Krakusy”. Odwiedził Polskę.

Od dziecka miał szczególne zainteresowanie do natury, to też wybrał studia leśnicze. Potem jednak poświęcił się nowoczesnej dziedzinie nauki – komputerom. Ożenił się, na świat przyszły dwie córki.

Nieuleczalna choroba spadła nań gwałtownie. Zmarł w trzy miesiące po diagnozie, w styczniu 1999 r.

## W Krakowie i dalej

### Notatki

◆ Tuż przed Nowym Rokiem **zmarł Kazimierz Dejmek**, aktor, reżyser, dyrektor teatrów. Napisano o nim, że *był jednym z filarów polskiego teatru drugiej połowy XX wieku*.

Urodził się oczywiście na Ziemiach Wschodnich, w Kowlu na Wołyniu, przed 79 laty (1924). Ukończył Wyższą Szkołę Aktorską w Łodzi, grał jako aktor w wielu miastach, najbliżej związał się z Łodzią i Warszawą. Ze stanowiska dyrektora Teatru Narodowego w Warszawie usunięto go

Wieniec z portretem Marka Adamowicza







w 1968 r. po pamiętnej sprawie „Dziadów” Mickiewicza, których inscenizacja nie spodobała się PZPR-owskiej władzy. Po upadku komunizmu był dwukrotnie ministrem kultury i sztuki.

W „Rzeczpospolitej” 9/03 zamieszczono rozmowę z synem Kazimierza Dejmka (J. Cieślak: *Musiał żyć samotnie*). Piotr Dejmek wspomina m.in. przełom lat 60/70.:

*Ojciec już wcześniej miał kontakt z opozycją demokratyczną. Potwornie bał się sowytyzacji. [...] A banda, która jest przy władzy, świadomie czy nie, bierze w tym udział. W tym czasie były spotkania z Haliną Mikołajską, Wiktorem Woroszylskim, Zbigniewem Herbertem, Januszem Szpotańskim. Na tych forach potrafił powiedzieć, że towarzysz Wiesław towarzyszem Wiesławem, towarzysz Moczar towarzyszem Moczarem, towarzysz Gierek towarzyszem Gierkiem, ale do prawdziwego dramatu w kraju dojdzie, gdy Jacek Kuroń zostanie pierwszym sekretarzem partii, a Adam Michnik premierem rządu PRL. Wtedy dopiero dostaniemy do wiwatu. [...]*

◆ **Krystyna Stafińska**, przewodnicząca Koła Stanisławowian w Oddziale Krakowskim TMLiKPW została odznaczona przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa *Medalem Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej*. Jej zasługą jest doprowadzenie do uporządkowania miejsc rozstrzelania przez Niemców w 1941 r. i pogrzebania w Czarnym Lesie k. Stanisławowa kilkuset przedstawicieli tamtejszej polskiej inteligencji.

◆ W krakowskim Instytucie Fizyki Jądrowej obchodzono w marcu 70. urodziny jego obecnego dyrektora, **prof. Andrzeja Budzanowskiego**. Urodził się w 1933 r. we Lwowie, a jego rodzina osiadła po II wojnie w Krakowie. A. Budzanowski w czasie studiów na UJ był uczniem znakomitego fizyka, prof. Henryka Niewodniczańskiego, twórcy krakowskiego ośrodka fizyki, a przybyłego tu w 1946 r. z Wilna. Budzanowski jest profesorem od r. 1973, a od 1990 dyrektorem IFJ. Jest członkiem PAN i PAU oraz towarzystw europejskich i amerykańskich.

**Zabytki.** Kościół parafialny z lat 70. XVIII w., jednonawowy, nakryty sklepieniem kolebkowym. Na dachu sygnaturka. Wnętrze kościoła jest w całości pokryte późnobarokowymi malowidłami o charakterze iluzjonistycznym z ok. 1772 r., z bogatą ornamentyką. Kościół posiada cenne wyposażenie: ołtarze, chrzcielnicę, ambonę, konfesjonały, ławę kolatorską, feretrony, dzwony – głównie z XVIII w. (także z XVII i XIX w.), naczynia i szaty liturgiczne z XVIII–XIX w. Do kościoła przylega kaplica grobowa Lubomirskich z kryptą. Kościół odnawiano po 1989 r., przy czym niektóre części starych polichromii przemaalowano.

**Czasy obecne.** Kościół jest czynny, parafia na miejscu. (AKS)

## RUDKI

**Położenie.** Miasteczko powiatowe w woj. lwowskim, położone w dolinie rzeki Wiszni (dopływ Sanu), na wys. 282 m n.p.m. Oddalone o 51 km na płd. zach. od Lwowa, przy linii kolejowej Lwów–Sambor. W okresie przed I wojną liczyło 3800 mieszkańców, w tym 1450 Polaków, 350 Rusinów i 2000 Żydów. W latach międzywojennych liczba ludności spadła do ok. 3500. Czynne były tu gorzelnia i fabryka likierów, ożywiony handel zbożem i bydłem.

**Historia.** W XIV w. Rudki stanowiły przysiółek Beńkowej Wiszni (zob.). W I poł. następnego stulecia należały do Ścibora, który ufundował pierwszy drewniany kościół parafialny pw. św. Wojciecha, konsekrowany w 1435 r. Już w 1450 r. kościół został podobno spalony przez Tatarów. W latach 1472–96 Rudki były własnością Tartłów. Kościół, odbudowany zapewne ich sumptem, został w poł. XVI w. przejęty przez protestantów i pozostawał w ich użytkowaniu do końca stulecia. W r. 1600 jako właściciel Rudek występuje Jerzy Madaliński, a po jego śmierci majątek przeszedł do Curyłów.

W 1612 r. Jerzy Curyło umieścił w kościele cudowną ikonę Matki Boskiej, pochodzącą ze spalonej przez Tatarów cerkwi w Żeleźnicy na Podolu. Kult ikony został potwierdzony oficjalnie w latach 1600–45, a kościół rudecki stał się jednym z najważniejszych sanktuariów maryjnych na ziemiach wschodnich. Ściągali do niego liczni pielgrzymi ze wszystkich warstw społecznych, a w ich liczbie król Jan III Sobieski, który po zwycięstwie pod Wiedniem złożył tu w darze kapę i zegar. W latach 1620 i 1648–55 Rudki kilkakrotnie uległy zniszczeniu. W 1655 r. Jędrzej Stano h. Gozdawa zaczął budować nowy, mурowany kościół, ale rychło



# KULTURA NAUKA

## O IV FESTIWALU SZERZEJ

W poprzednim numerze zamieściliśmy krótką notatkę o IV Festiwalu Kultury Polskiej, który odbył się we Lwowie i w kilku miastach Ukrainy. Dziś szersza relacja nadana specjalnie dla nas przez współorganizatorkę imprez z ramienia Federacji Organizacji Polskich nU. oraz ich bezpośrednią obserwatorkę.

**IV Festiwal Kultury Polskiej na Ukrainie przeszedł już do historii. Pozyskał wysoką ocenę u znawców sztuki, cieszył się ogromnym zainteresowaniem mieszkańców miast, w których kultura polska reprezentowana była pełnym głosem – ta przywieziona z Polski i ta tubylcza, mająca również wiele do powiedzenia.**

Dwuletni okres między Festiwalami – to okres dużej, żmudnej pracy głównie entuzjastów-amatorów, dla których każda forma artystycznej aktywności jest wyrazem k o n t y n u a c j i dziedzictwa narodowego i naturalną promocją kultury polskiej w miejscach swego zamieszkania. Umiejętność zainteresowania swych współobywateli kulturą polską w każdej postaci jest osiągnięciem nie byle jakim. W liście do uczestników Festiwalu prezydent Ukrainy Leonid Kuczma zauważył: *...Sztuka – to nieodłączna część rozwoju społeczeństwa, sposób wdrażania humanizmu, dobra i piękna. Właśnie tym ideałom służy festiwal, który stał się tradycją i zajął zauważalne miejsce w przyjaznych stosunkach ukraińsko-polskich...* Już podczas inauguracyjnego koncertu muzyki operowej Stanisława Moniuszki dali temu wyraz soliści Opery Lwowskiej wykonując swoje partie wyłącznie po polsku.

Znamienne były słowa ministra kultury RP Waldemara Dąbrowskiego, które odczytał obecny na uroczystości otwarcia Festiwalu wiceminister Rafał Skąpski: *Nie po raz*

*pierwszy w tym teatrze, perle architektury i malarstwa, odbywają się w ostatnim okresie nasze wspólne spotkania – spotkania kultur polskiej i ukraińskiej. Urasta tym samym ten gmach w jakimś sensie do rangi symbolu naszych kontaktów... Chcę zapewnić, że będziemy czynić wszystko, by kultura polska i ukraińska mogły się bliżej poznać, jeszcze lepiej współpracować, jeszcze lepiej wzajemnie się zapładniać i wzbogacać. I serdecznie i z głębi serca dziękuję wszystkim tym, którzy na rzecz tego działają – w tym i wszystkim organizatorom festiwalu, który dziś otwieramy.*

Gubernator Myron Jankiw dokonując oficjalnego otwarcia Festiwalu zaznaczył: *...Rozwijając się na skrzyżowaniu różnych historycznych, narodowościowych i religijnych dróg, różnych polityczno-ekonomicznych systemów, Lwów jest najbardziej jaskrawym uosobieniem otwartości Ukrainy, a przede wszystkim – jej zachodniego, przygranicznego regionu. Przeprowadzenie we Lwowie czwartego Festiwalu Kultury Polskiej przekonywująco zaświadcza, iż Lwów jest nadal ważnym ośrodkiem kultury europejskiej, sprzyja rozwojowi tradycji narodów, które wspólnie wzbogacają kulturę i sztukę Ukrainy.*

Tak było rzeczywiście. Wśród 29 imprez zaplanowanych i urzeczywistnionych podczas Festiwalu – 14 z nich odbyło się we Lwowie. Pomysł pokazania teatralnego Lwowa nie był przypadkowy. Dawne, piękne tradycje teatralne naszego miasta stały się inspiracją do pokazania dorobku dnia dzisiejszego, który – chociaż w skromniejszym wymiarze – jest w kontakcie z dramaturgią polską.

Zrealizowaliśmy go. Dwa najbardziej znaczące ukraińskie teatry w tym państwie uczestniczyły w Festiwalu. Narodowy Teatr Dramatyczny im. Zańkowieckiej przygotował spektakl W. Gombrowicza *Iwona, księżniczka Burgunda* w reżyserii prof. Wiesława Rudzkiego z Warszawy, natomiast Narodowy Ukraiński Teatr Dramatyczny im. I. Franki wystąpił ze spektaklem *Matka St.I.* Witkiewicza, w reżyserii i opracowaniu muzycznym Zbigniewa Najmoły z Krakowa.

Miłośnicy sztuki teatralnej Kijowa również mieli możliwość obejrzenia przedstawień:

Polski Teatr Ludowy wystawił *Kartotekę* T. Różewicza w adaptacji, reżyserii i wyko-

naniu roli Bohatera przez Zbigniewa Chrzanowskiego. Teatr gościnnie wystąpił w Odessie, gdzie *Zemsta* A. Fredry w reżyserii Walerego Bortiakowa cieszyła się gorącym przyjęciem.

*Farsa, farsa, farsa...* był spektaklem premierowym Sceny Studium Galiciana, przygotowanym z okazji pierwszego jubileuszu – pięćciolecia działalności. Realizatorami i wykonawcami ról byli Zofia Iwanowa i Aleksander Owerczuk, muzykę napisał znany tu kompozytor Aleksander Kozarenko. Zespół wystąpił również gościnnie w Charkowie.

Młodzieżowy teatr „Baj” (ze Szkoły nr 10 – dawniej św. Marii Magdaleny) wystąpił ze spektaklem wg Antoine’a de Saint-Exupery *Podróż Małego Księcia* – przedstawieniem ciekawym, którego celem jest kształtowanie wartości moralnych u młodzieży. Obecni na sali reżyserzy Wiesław Rudzki i Filip Bajon pochlebnie wyrazili się o tym przedstawieniu, szczególnie dziękując jego reżyserowi, prof. Marii Iwanowej. Obecna też była 40-osobowa grupa uczniów polskiej szkoły w Mościskach, która specjalnie przyjechała do Lwowa.

Wieczór poezji Zbigniewa Herberta w polskim wykonaniu Zbigniewa Chrzanowskiego, i ukraińskim znanego aktora Bohdana Kozaka, był swoistym majstersztykiem. W sumie więc lwowski widz, nadzwyczaj wymagający i wrażliwy na piękno, miał możliwość kontaktu z utworami polskich i niepolskich klasyków dramaturgii światowej.

Lwowianie zapoznali się z prezentacją całego szeregu tutejszych renomowanych wydawnictw: uczestniczyli w otwarciu wystawy *Polski plakat kulturalny* z kolekcji Muzeum Plakatu w Wilanowie, byli na projekcji filmu *Przedwiośnie* w reżyserii F. Bajona, a także na koncercie *Ballada* w wykonaniu zespołu „Ars Nova” z Warszawy, który wystąpił również w Kijowie.

Mieszkańcy Kijowa obejrzeni też *Przedwiośnie*. Wystawa Mirosława Maszłanki pt. *Rzeźba* cieszyła się ogromnym powodzeniem. Uczeń Stefana Gierowskiego jest artystą ukrywającym się, skromnym. W swych pracach jest pełen pokory dla tego, co piękne, ulotne i kruche – dlatego tak bardzo wymowny.

Mieszkańcy Charkowa i Odessy zobaczyli natomiast *Quo vadis* w reżyserii J. Kawalerowicza, wystawę polskiego plakatu

prace zostały przerwane przez najazd szwedzki. Na przełomie XVII/XVIII w. Rudki należały do Jana Sobieskiego, cześnika koronnego, krewnego króla Jana III. W 1710 r. zobowiązał się on doprowadzić do końca budowę kościoła, który jednak został dokończony dopiero w r. 1728, gdy właścicielami byli Urbańscy. W 1787 r. w związku z reorganizacją archidiecezji lwowskiej, parafia rudecka znalazła się w granicach diecezji przemyskiej. W 1867 r. Rudki stały się stolicą powiatu.

W 1792 r. majątek sprzedano Franciszkowi Debolemu. Wkrótce potem Jacek Fredro, ojciec komediopisarza, wykupił cały klucz rudecki. Od tej chwili aż do II wojny światowej były Rudki majątkiem Fredrów, przechodząc kolejno na Aleksandra, następnie na jego syna Jana Aleksandra i wnuka Andrzeja Maksymiliana. Jan Aleksander przekształcił kaplicę boczną kościoła parafialnego na mauzoleum rodzinne. Po śmierci ostatniego z rodu, Andrzeja Maksymiliana, właścicielką została wdowa, Felicja ze Szczepańskich. Jej drugi mąż, Aleksander Skarbek, zajął się administracją majątku, przyczynił się do wybudowania w Rudkach cegielni parowej „Felicja” (1903) i Mleczarni Związkowej (1907).

**Zabytki.** Kościół parafialny pw. Wniebowzięcia NP Marii, konsekrowany w 1741 r. Bazylikowy, ceglany, tynkowany, z wolnostojącą dzwonnica z XVIII w. W kaplicy na przedłużeniu nawy płn. mauzoleum grobowe Fredrów, z kryptą w podziemiu. W niej m.in. sarkofag ze szczątkami Aleksandra Fredy, zrekonstruowany na przełomie lat 1980/90. Podczas I i II wojny kościół nie poniósł większych szkód. W latach 30. był stopniowo remontowany. W 1946 r. został zamknięty i zamieniony na magazyn nawozów, co doprowadziło do zawilgocenia murów, trudnego do usunięcia.

Cudowna ikona z 1. poł. XVI w. przedstawiająca MB z Dzieciątkiem, koronowana w r. 1921, została po II wojnie przewieziona do Przemysła, a w 1968 r. umieszczona w kościele parafialnym w Jasieniu k. Ustrzyk Dolnych, Tam ją skradziono w 1992 r. Od tej pory ślad po niej zaginął.

**Czasy obecne.** Wspólnota parafialna odzyskała kościół w 1988 r., z zachowaną częścią wyposażenia wnętrza, z neobarokowym ołtarzem głównym i ołtarzem w kaplicy Fredrów. W następnych latach przeprowadzono remont. W 1990 r. szczątki rodziny Fredrów złożono w nowych sarkofagach. (MT)

Hasła opracowały:  
dr Maria Taszycka, Anna Kostecka-Sadowy



oraz nadwyzczaj gościnnie podejmowali polskie teatry amatorskie ze Lwowa. W Charkowie niezwykle ciekawa była wystawa *Echa polskiej kultury* z kolekcji Charkowskiego Muzeum Sztuki, na którą złożyły się prace D. Chodowieckiego (XVIII w.) – 240 rycin, oraz płótna Jerzego Kossaka, J. Malczewskiego i J. Stanisławskiego. Ekspozowane były również prace H. Siemiradzkiego. Natomiast w Odessie podczas koncertu kameralnego pod batutą Łukasza Borowicza, młodego dyrygenta z Warszawy, wykonane zostały utwory M. Karłowicza, W. Lutosławskiego, G. Bacewiczówny, W. Kilara. *Koncert fortepianowy* Góreckiego wykonała miejscowa pianistka Tatiana Krawczenko.

W dniu 9 listopada w Narodowym Teatrze Opery i Baletu w Kijowie, z udziałem ministrów kultury Ukrainy Jurija Bohuckiego i RP Waldemara Dąbrowskiego oraz przedstawicieli rządu Ukrainy, przy wypełnionej po brzegi widowni, nastąpiło uroczyste zakończenia Festiwalu.

Podczas koncertu symfonicznego *Uwerturę do opery Halka* St. Moniuszki oraz *Koncert na orkiestrę* W. Lutosławskiego wykonała orkiestra Opery Narodowej pod batutą Wołodymyra Kożuchowa. W drugiej części koncertu wystąpił Jan Krzysztof Broja, młody polski pianista, zwycięzca konkursu im. Ciurłonisa w Wilnie w 1999 r. Wykonał *Koncert fortepianowy e-moll* F. Chopina. Publiczność entuzjastycznie, na stojąco, oklaskiwała występ młodego pianisty.

W tym samym dniu we Lwowie w koncercie galowym wystąpiły amatorskie zespoły artystyczne. W założeniach programowych koncert ten miał się odbyć w Żytomierzu, a koncert pieśni chóralnej w Kijowie. Niestety zamiarów tych nie udało się zrealizować. Jak zwykle przyczyną tego były „cięcia finansowe” ze strony ukraińskiej. Nie chcąc całkowicie zrezygnować z tak ważnych dla nas punktów programu, organizatorzy zdecydowali się na przeprowadzenie ich we Lwowie. Mimo trudności wytrzymałość artystów – choreografa Witolda Kopy z Rzeszowa, reżysera koncertu Z. Chrzanowskiego (który od pierwszego Festiwalu opracowuje koncert galowy) oraz moralne wsparcie pani prezes Emilii Chmielowej sprawiły, że koncert był udany.

Koncert pieśni chóralnej w Sali Organowej (w kościele św. Marii Magdaleny) 10 listopada, w wykonaniu dziewięciu zespołów z różnych zakątków Ukrainy, był końcowym pięknym akordem Festiwalu.

O koncertach ciepło pisała prasa ukraińska podkreślając różnorodność stylów, ciekawą manierę wykonawczą, twórczą indywidualność oraz wysoki poziom występujących zespołów artystycznych i chórów.

Koncert został zorganizowany przy wsparciu Ministerstwa Kultury RP, Ministerstwa Kultury Ukrainy, Ambasady RP w Kijowie, Konsulatów RP we Lwowie i Charkowie, Administracji Państwowych Kijowa, Lwowa, Charkowa, Odessy. Realizatorami i organizatorami Festiwalu były: Federacja Organizacji Polskich na Ukrainie, Stowarzyszenie Kultury Polskiej w Charkowie, Związek Polaków na Ukrainie (oddział w Odessie), Fundacja „Pro Musica Viva” (Warszawa) oraz wiele instytucji kulturalnych każdego z wymienionych miast.

Z perspektywy minionego czasu zapomina się o trudnościach piętrzących się w okresie przygotowywania Festiwalu. Festiwal z całą pewnością był udaną, wszechstronną i ciekawą imprezą. Nasi współobywatele, ludzie sztuki, okazali duże zainteresowanie kulturą polską, uczestnicząc w jej promocji, jak również w jej poznawaniu.

W liście Prezydenta RP A. Kwaśniewskiego do uczestników i organizatorów Festiwalu jest zapewnienie: *...Jestem przekonany, że wspólnym wysiłkiem rozwijać będziemy naszą współpracę kulturalną, tak istotną dla kształtowania przyjaznych stosunków między naszymi narodami i pań-*

stwami. Dla wszystkich podejmowanych na tym polu działań i inicjatyw deklaruję swoje szczerze poparcie i pomoc...

Federacja Organizacji Polskich nU. otrzymała również list z Ministerstwa Kultury RP, w którym m.in. czytamy: *...następne Festiwale odbywać się będą pod stałym patronatem ministrów kultury obu państw, a odnośnie do ich organizacji ma być podpisane odrębne porozumienie.*

Owe zapewnienia pozwalają mieć nadzieję na pewne zmiany w systemie realizacji następnych festiwali – na możliwość rozszerzenia zarówno geografii miast nimi objętych, jak i zwiększenia liczby uczestników i zespołów – które w tym systemie będą w przyszłości dokonane.

Teresa Kulikowicz-Dutkiewicz (Lwów)

## X LAT RADIA LWÓW

*Wesoła Fala żyje,  
Jej humor ciągle trwa.  
Gdzie polskie serce bije,  
Tam Radio Lwów głos ma!*

Pod takim hasłem Radio Lwów pracowało w ciągu ubiegłych dziesięciu lat. 10 listopada 2002 r. odbyła się we Lwowie uroczystość jego jubileuszu.

29 października 1992 roku po raz pierwszy od 53 lat Lwów usłyszał nasz głos na falach ukraińskiego radia komercyjnego „Lwowska Chwila”. Było to niezwykle wydarzenie zarówno dla Polaków mieszkających we Lwowie, jak i poza nim. Radiowy zespół redakcyjny tworzyli amatorzy, młodzi ludzie – zapaleńcy i entuzjaści. Z dumą możemy powiedzieć, że wytrzymaliśmy 10 lat, trwając uparcie przy swoim celu – utrzymania tożsamości narodowej i krzewienia kultury polskiej.

Jubileuszowe uroczystości X-lecia Radia Lwów rozpoczęły się solenną mszą św. w katedrze lwowskiej, celebrowaną przez ks. arcybiskupa kardynała Mariana Jaworskiego. Kolejnym punktem programu była konferencja prasowa, na którą licznie przybyli przedstawiciele polskich organizacji we Lwowie, goście oficjalni, sponsorzy, dzien-

nikarze, słuchacze i sympatycy naszego Radia – słowem ci, bez których wsparcia Radio Lwów nie mogło by istnieć.

Jest to więc przede wszystkim Fundacja „Pomoc Polakom na Wschodzie” z Warszawy, która w ciągu wielu lat wspomaga nas finansowo, m.in. kupując czas antenowy w ukraińskim radiu „Niezależni”, sprzęt dziennikarski i in.; a dalej Przedstawicielstwo Polskich Linii Lotniczych „Lot” we Lwowie, Konsulat Generalny RP we Lwowie, przedstawiciele PNOŚ z Ożarowa Mazowieckiego, sponsorujący nagrody konkursowe dla słuchaczy, prezes FOPnU Emilia Chmielowa, prezes TKPZL Emil Legowicz, przedstawiciele Polskiego Stowarzyszenia Lekarzy, Polskiego Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi, Uniwersytetu Trzeciego Wieku, Lwowskiego Towarzystwa Miłośników Sztuk Pięknych, polskich Szkół nr 10 i 24, „Gazety Lwowskiej” oraz mediów ukraińskich.

Uroczystą konferencję uświetnił występ zespołu śpiewaków „Polskie Sokoty” z Żytomierza, który sprawił nam taką niespodziankę, a przez cały czas przygrywał kwartet orkiestry smyczkowej z Konserwatorium Lwowskiego pod dyrekcją Artura Mykitki. Spotkanie odbyło się w miłej atmosferze wzruszeń i życzeń na dalsze lata. Zespół Radia Lwów, ceniąc sobie każdą pomoc od wszystkich ludzi dobrej woli, nagroził ponad 50 dyplomami organizacje i osoby z całego świata, dziękując tym samym za współpracę i wsparcie. Nie zapomnieliśmy również o naszych amerykańskich przyjaciółach – Polskim Radiu w Chicago w osobie Idalii Błaszczuk, współpracującej z nami już od czterech lat, o prezesie Waldemarze Geslaku z Fundacji „Semper Fidelis” w New Jersey, o koledze dziennikarzu z „Nowego Dziennika” w Nowym Jorku, Januszu Szlechcie.

Po zakończeniu konferencji wszyscy obecni na sali mogli obejrzeć wystawę fotograficzną specjalnie przygotowaną na tę okazję przez Zespół Radia Lwów oraz obejrzeć film Macieja Zamorskiego z Chicago pt. *Lwowskie spotkania*.

Serdecznie dziękujemy wszystkim, którzy nas w ciągu tych 10 lat wspierali i okazali swoje **d o b r e s e r c e**.

Dziesięć lat dla historii to niewiele, dziesięć lat dla Radia Lwów – to sporo. Walcząc o przetrwanie zastanawiamy się, co nam przyniosą kolejne lata?

Anna Gordyjewska

*Post scriptum redakcji CL: Z dumą donosimy, że i my dostaliśmy Dyplom 10-lecia Radia Lwów.*

# LWÓW I KRAKÓW W CYWILIZACJI EUROPEJSKIEJ

W połowie listopada '02 odbyła się w Międzynarodowym Centrum Kultury w Krakowie konferencja pt. *Kraków i Lwów w cywilizacji europejskiej*. Podobne sesje mają w tej instytucji tradycję, ponieważ MCK od szeregu lat traktuje je jako jeden z podstawowych kierunków działalności Centrum, dotyczący naszych relacji z innymi narodami. Na tej też podstawie uznaje się, że *dzieje Krakowa i Lwowa to ważny rozdział historii Polski i Ukrainy*. Dla nas jednak ciekawsza jest intencja ukazania wzajemnych relacji Lwowa i Krakowa, wydobyć ich wspólnego dziedzictwa oraz uwypuklenie podobieństw i różnic w rozwoju obydwu miast, a także wywołanie dyskusji na temat ich znaczenia dla kultury i cywilizacji europejskiej.

W konferencji wzięło udział kilkanaście osób, w tym referaty o różnej treści, wydzwięku i warto-

ści wygłosiło 10 osób. Wśród nich trzeba wymienić przede wszystkim profesorów Zdzisława Żygulskiego, Jana K. Małeckiego (obaj Kraków), Adama Miłobędzkiego (W-wa) oraz Aleksandrę Matiuchinę przybyłą ze Lwowa. Ze strony ukraińskiej zjawili się m.in. prof. Jarosław Hrycak i Mykoła Riabczuk, natomiast mniej nas satysfakcjonowała obecność i wypowiedzi Jarosława Isajewicza (ze Lwowa). Po przedpołudniowych sesjach plenarnych (przez 2 dni) odbywały się *dyskusje panelowe*. Tu na uwagę zasłużyły wypowiedzi „starych lwowiaków” (co prawda teoretycznych, zwłaszcza drugiego, zaledwie urodzonego we Lwowie): Leopolda Ungera (Bruksela) i Adama Zagajewskiego (Kraków).

Nie wszystkie referaty dane nam było wysłuchać. Przedstawiamy więc niektóre fragmenty wypowiedzi (według własnego wyboru) z notatki dra K. Brońskiego z MCK – za którą składamy podziękowanie, z artykułu A. Sabor i J. Strzałki („Tyg. Powsz.”) oraz relacji uczestników. Komentarze pochodzą od redakcji.

W pierwszym dniu konferencji skupiono się na problemach rozwoju Lwowa i Krakowa w średniowieczu i czasach nowożytnych. Wśród tematów prezentacji znalazły się najbardziej istotne wątki historyczne, arty-

## LWOWSCY REFORMACJI

(dokończenie ze s. 15)

- zawiera praca A. Strojnego (zob. A. Strojny, *Lwów. Miasto wschodu i zachodu*. Kraków 2000, s. 59).
- Po II wojnie światowej zniszczeniu uległo wnętrze kościoła z witrażami i freskami autorstwa Tadeusza Popiela (*Lwów – ilustrowany przewodnik*, Lwów–Wrocław 2001, s. 149). T. Popiel (1863–1913) był uczniem Jana Matejki, twórcą m.in. słynnego obrazu *Gołgota*, który – przywieziony po II wojnie światowej ze Lwowa – obecnie znajduje się w kościele oo. Bernardynów w Krakowie i stanowi tło dla Eucharystii przy Grobie Pańskim w okresie wielkanocnym.
  - Główna siedziba tej prowincji znajduje się w Kato-wicach.
  - Prowadzony przez siostry Szarytki zakład istniał do końca II wojny światowej. W 1880 r. wybudowano tu również nowy duży budynek dla założonego tu jeszcze w XVIII w. Szpitala św. Wincentego a Paulo. Po II wojnie w zabudowaniach urządzono szkołę polityczną NKWD, która mieściła się tam jeszcze w 1990 r. Obecnie w zabudowaniach znajduje się szkoła milicji (za: *Lwów – ilustrowany przewodnik*, Lwów–Wrocław 2001, s. 49; J. Nowak, S. Sroka, R. Terlecki, *Historyczny Lwów. Przewodnik*, Kraków 1990, s. 29).

- O. Modest Pasiecznik, *Rys historyczny kościoła i klasztoru św. Rodziny Franciszkanów-Reformatów we Lwowie* (w oparciu o źródło znajdujące się w Archiwum Prowincji Franciszkanów-Reformatów w Krakowie, s. 1).
- Wg o. Jacka Kościa abp Józef Bilczewski chciał ofiarować Reformatom wybudowany już i będący w stanie surowym kościół pw. św. Elżbiety, ale o. Joachim Maciejczyk odmówił motywując to względami ubóstwa (za: *Wspomnienia o. Jacka Kościa o o. Walerianie Gawędzińskim*, spisane 18 III 1970 r.).
- O. Modest Pasiecznik, *Rys historyczny...*, s. 2.
- Kolegium Serafickie św. Antoniego rozpoczęło swą działalność we wrześniu 1913 r. i z niewielką przerwą w czasie I wojny światowej funkcjonowało aż do wybuchu wojny w 1939 r.
- „Postanieniec św. Antoniego” ukazywał się w latach 1912–1939. Zanim wydawnictwo w 1913 r. zostało przeniesione do Lwowa, jego siedziba znajdowała się w Krakowie przy ul. Reformackiej 4.
- Od 1909 r., kiedy stał się on ekspozyturą parafialną jako filia kościoła św. Anny we Lwowie, jeden ojciec mieszkał stale na miejscu. Ekspozytura liczyła ponad 5 tys. wiernych. Administratorami ekspozytury byli ojcowie: Justyn Magierowski (1913–24), Atanazy Maltak (1924–30), Wojciech Kucab (1930–38). W 1938 r. Kuria Metropolitalna zwolniła ojców z pracy duszpasterskiej.
- Chodzi tu o „Siostry Domu Pracy”.

styczne, gospodarcze i polityczne, kształtujące wyjątkowy charakter obydwu środkowo-europejskich metropolii. Swój pogląd na temat Lwowa w Europie Środka przedstawił historyk prof. Jarosław Hrycak. Podkreślił, że badanie przeszłości Lwowa *nie jest zwykłym zajęciem akademickim, lecz przyczynia się do kształtowania tożsamości ukraińskiej* [?]. *Historyk nie może zapomnieć – uważa Hrycak – iż Lwów był polietniczny, wielokulturowy i wielowyznaniowy. Pamiętając, iż w tym mieście kształtowała się świadomość ukraińska, nie powinien przeoczyć, że w tym samym czasie – czyli w XIX w. – zwyciężył we Lwowie duch polskości, bo nawet Niemcy czy Austriacy opuszczali szeregi „partii Schillera”, by zasilić „partię Mickiewicza” [a jaki inny duch mógłby zwyciężyć w polskim mieście? Nie jest więc dziwna szybka polonizacja napływowej ludności, i wcale nie tylko od XIX w. Dodajmy, że od założenia miasta kazimierzowskiego do rozbiorów było Rusinów we Lwowie niewiele. Pisaliśmy o tym wielokrotnie – przyp. red.]*

Prof. Jerzy Wyrozumski przedstawił narodziły, rozwój i wzajemne relacje ekonomiczne i kulturalne Lwowa i Krakowa w okresie średniowiecza. W podsumowaniu zazna-

czył, że Lwów i Kraków przedstawiały się np. w XV w. jako dwa różne światy. Oba na swój sposób wieloetniczne, choć o różnej etnicznej strukturze, oba wielokulturowe, choć wielość ta była znacznie bogatsza we Lwowie. Kraków przedstawiał się jako przyczółek kultury zachodniej, Lwów wybijał się jako miasto o obliczu kulturalnym przede wszystkim wschodnim [*my sądzimy, że Lwów w istocie był – biorąc pod uwagę jego położenie – jeszcze bardziej „przyczółkiem kultury zachodniej”, o czym dobitnie świadczą architektura tego regionu, od gotyku poczynając, nawet wielu najważniejszych cerkwi (nie mówiąc o urbanistyce, także w całym regionie). Napływ kupców i rzemieślników z południowego wschodu (Ormian, Wołochów, Węgrów, Serbów) miał swoją analogię w napływie Niemców czy Holendrów na przeciwległym końcu szlaku bałtycko-czarnomorskiego: Gdańsku, Toruniu lub Poznaniu. Niezależnie od tego we Lwowie mieliśmy także spory odsetek przybyszów z zachodu: Niemców, Włochów, nie inaczej niż w Krakowie. Trzeba też zwrócić uwagę, że wielowiekowe związki tej ziemi – jako części Polski – z kulturą Zachodu, doprowadziły do prozachodniej orientacji*

<sup>15</sup> Opracowanie o. Modesta Pasiecznika, rozdział 5, *Lata pierwszej wojny światowej*, s. 17, w zbiorach oo.Reformatów.  
<sup>16</sup> Byli to Karol Giessing i Józef Lewicki, obaj w podszłym wieku. Ten ostatni zmarł w marcu 1915 r.  
<sup>17</sup> *Księga Pamiątkowa Prowincji Zakonu Braci Mniejszych oo. Reformatów 1911–1961*, s. 73.  
<sup>18</sup> Tadeusz Rutowski (1853–1918), wiceprezydent miasta Lwowa. 22 VI 1915 został wywieziony z miasta przez wycofujących się Rosjan. Wrócił do Lwowa w 1917 r. W jego obronie stanął m.in. abp Józef Teodorowicz, metropolita lwowski obrz. ormiańskiego (za: S.S. Nicieja, *Cmentarz Obrońców Lwowa, Wrocław–Warszawa–Kraków* 1990, s. 299).  
<sup>19</sup> J. Kresowiak, *Leopolis Semper Fidelis*, Kraków 1985, s. 28. O działalności T. Rutowskiego na rzecz zwalczania głodu i nędzy tak napisał Fryderyk Papee: *To, co się na tem polu działo, wyrzyło się niezatartemi głoskami w pamięci mieszkańców. Rozwinął szeroką i owocną działalność. Szereg kuchni ludowych i dla inteligencji, miesięczne zapomogi w towarach spożywczych, tanie herbacianie – umożliwiły ludności przetrwanie trudnego okresu* (za: F. Papee, *Historia m. Lwowa*, Kraków 1922, s. 266).  
<sup>20</sup> J. Kresowiak, *Leopolis...*, s. 28.  
<sup>21</sup> S.S. Nicieja, *Cmentarz Obrońców Lwowa...*, s. 298–299.  
<sup>22</sup> J. Kresowiak, *Leopolis...*, s. 28.  
<sup>23</sup> Opracowanie o. Modesta Pasiecznika, s. 18.  
<sup>24</sup> Tamże, s. 18.

<sup>25</sup> APR, *Chronica Conventus Ordinis Fratrum Minorum ad S. Familian Leopoldi ad plateam Janovianam*, s. 124 (za: Opracowanie o. Modesta Pasiecznika, s. 18).  
<sup>26</sup> Opracowanie o. Modesta Pasiecznika, s. 7.  
<sup>27</sup> „Posłaniec św. Antoniego”, R. IV, 1916, nr 5, s. 154–155.  
<sup>28</sup> Opracowanie o. Modesta Pasiecznika, s. 17.  
<sup>29</sup> Tamże, s. 18. Rekwizycje austriackie objęły również żywność, odzież, metale i miedziane dachy. W całym Lwowie zarekwirovano ok. 100 dzwonów i dachów (za: F. Papee, *Historia m. Lwowa...*, s. 267).  
<sup>30</sup> J. Kresowiak, *Leopolis...*, s. 28.  
<sup>31</sup> Rudolf Pfeffer – generał austriacki, komendant garnizonu miasta Lwowa.  
<sup>32</sup> APR, *Chronica...*, s. 18.  
<sup>33</sup> *Księga Pamiątkowa...*, s. 73.  
<sup>34</sup> Liczbę zakonników biorących udział w pogrzebie podano na podstawie Opracowania o. Modesta Pasiecznika, s. 18. Wspomniana już *Księga Pamiątkowa Prowincji (...)*, s. 73, podaje, że w pogrzebie wzięło udział 7 zakonników. W omawianym okresie mieszkało w klasztorze 4 ojców z gwardianem Beniaminem Rzyzińskim na czele i 4 braci. Istniejąca rozbieżność wynika zapewne stąd, że jeden z braci, Feliks Sobeńko, przebywał jakiś czas w niewoli ukraińskiej.  
<sup>35</sup> Opracowanie o. Modesta Pasiecznika, s. 20.  
<sup>36</sup> Tamże, s. 20.  
<sup>37</sup> APR, *Chronica...*, s. 20.



*Rusinów-Ukraińców tego regionu, czego dobitne dowody zauważamy w naszej epoce (a niekoniecznie u Ukraińców z Ukrainy). Dodajmy, że Kraków z racji swojego położenia nie musiał być żadnym „przyczółkiem” – przyp. red.]*

Problemem rozwoju Lwowa i Krakowa w nowożytnej Europie poświęcił swoje wystąpienie prof. Jan M. Małecki. Zwrócił uwagę na różne aspekty kształtujące oblicze obu miast od XVI do XVIII wieku. Wyraźnie rysuje się duża rola Lwowa i Krakowa w XVI w. jako ważnych ośrodków życia gospodarczego i kulturalnego, pośredniczącego w handlu między śródziemnomorskim rejonem południowej Europy, a jej północną częścią, ciągnącą do Bałtyku (*no właśnie, o tym napisaliśmy wyżej!*). Wydarzenia wojenne połowy XVII wieku spowodowały regres ekonomiczny obu miast. Z upadku, jaki wówczas nastąpił, Kraków się już do końca XVIII w. nie podźwignął. Lwów próbował podnieść się z upadku, otrzymał nawet przywilej zrównujący go w prawach ze stolicami – Krakowem i Warszawą.

Architektura jako wyraz stołeczności Lwowa i Krakowa w dobie nowożytnej była przedmiotem wykładu prof. Adama Miłobędzkiego. Miasta te w epoce nowożytnej stanowiły jakby dwa odrębne regiony architektury, prezentowały własny stylowy charakter, stanowiły zindywidualizowane organizmy przestrzenne, o własnych regionalnych dziejach, sztuce i kulturze. To, że w obu metropoliach była to architektura wybitna, wynikało z geopolitycznej pozycji tych miast, jako rozkwitających centrów dużych krain Rzeczypospolitej – Małopolski Zachodniej i Wschodniej. Rzadko się zauważa, że były to jedyne dzielnice Rzeczypospolitej, które bezprzeczenie leżały na obszarze Europy Środkowej.

W drugim dniu konferencji z trudnym tematem życia obu miast pod okupacją hitlerowską zmierzył się prof. Zdzisław Żygulski. W swoim wystąpieniu nawiązał również do tradycji przedwojennego Lwowa, pokazując jego kulturowe bogactwo. Jego piękne wystąpienie wygłoszone z miłością i wzruszeniem zostało przyjęte owacyjnie – nie tylko przez lwowiaków obecnych na sali (zamierzamy zwrócić się do Profesora z prośbą o udostępnienie tego tekstu).

Dzieje *sowieckiego Lwowa* były tematem prezentacji doc. Aleksandry Matiuchiny

(o jej książce pisaliśmy w CL 1/01). Lwów po II wojnie światowej został z rozmysłem zniszczony przez sowiecki totalitaryzm, wyrwany z historii Europy i włączony do imperium euroazjatyckiego. Mieszkańcy Lwowa w połowie XX wieku to w znacznym stopniu społeczność napływowa, gdy większość rdzennych lwowian zginęła lub opuściła miasto. Pomimo tego i pomimo prób sowieetyzacji Lwów nie uległ tamtej ideologii. Zawsze skierowany w stronę Europy, a nie ku Wschodowi, niezależny, europejski i wyglądem, i duchem, był zaprzeczeniem sowieckiej propagandy. Władze komunistyczne celem sowieetyzacji Lwowa niszczyły pamięć rzeczywistej, prawdziwej historii miasta i świadomie tworzyły *radziecki mit* miasta zorientowanego na Rosję. Jednak nawet ów nowy, wielonarodowy Lwów bardzo wyraziście demonstrował, że jest częścią środkowej, a nie wschodniej Europy (*tu nasuwa się jednak refleksja: przecież dziś dzieje się podobnie, zmieniła się tylko platforma tego mitu: z sowieckiej na ukraińską – przyp. red.*).

Mykoła Riabczuk, eseista i krytyk literacki z Kijowa, podkreślił że młodzi *lwowianie* – skupieni np. wokół pisma kulturalnego „i” – wyrzekają się imperializmu i nacjonalizmu. Przyznał jednak, że wskrzeszenie wielokulturowej tradycji jest zadaniem arcytrudnym. Degradacja Lwowa jest o wiele głębsza niż degradacja miast w RP: w *sowieckim Lwowie* zmieniła się struktura narodowa, kulturowa, obyczajowa. Po wojnie zamieszkali w nim ukraińscy chłopci albo robotnicy z Rosji. Nie ogarnął ich duch Lwowa – wątpliwe nawet, czy mieli świadomość jego istnienia.

Wygłoszone referaty oraz dyskusje mają być opublikowane w formie książki.

## Kronika

◆ W 3. rocznicę niespodziewanej śmierci **wspaniałego śpiewaka Andrzeja Hiolskiego** – który zmarł w Krakowie w przeddzień zamierzonego koncertu z Capellą Cracoviensis – Stanisław Gałoński, jego przyjaciel, poświęcił specjalny koncert pamięci wielkiego artysty. Zagrano – ale tylko w wersji instrumentalnej – ten sam utwór T. Bairda do słów Szekspira, który wtedy, w lutym 2002 r. miał wykonać Hiolski, w 30. rocznicę

Capelli. Przedstawiono również utwór prof. Tadeusza Machla: *Tryptyk liryczny pamięci Andrzeja Hiolskiego*.

Oto Sonet 97 Wiliama Szekspira, którego Hiolski już nie zaśpiewał:

*Jakże podobna zimie jest rozłąka  
z tobą, radości przelotnego roku,  
jakiż chłód czułem, w jakich mrokach  
jaka grudniowa pustka była wokół.*

*A przecież właśnie przechodziło lato  
i jesień płodna, cała w drogich plonach,  
niosąc wiosny urodzaj bogaty,  
jak owdowiała i brzemienista żona.*

*Lecz dla mnie były te plony dojrzałe  
gorzkim owocem mego smutku tylko,  
bo czym bez ciebie jest lato wspaniałe,*

*gdy ciebie nie ma, nawet ptaki milkną,  
lub zaczynają z takim smutkiem śpiewać,  
że drżąc przed zimą, liść blednie na  
drzewach.*

(przekład Macieja Słomczyńskiego)

Przypomnijmy, że Hiolski, Gałoński i Machl to lwowianie. Nazwiska wszystkich trzech artystów wiążą się nam z pamiętnym koncertem *H o m a g i u m L e o p o l i*, zainicjowanym przez krakowski oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i KPW i wykonanym w sali Filharmonii Krakowskiej na zakończenie „Roku Lwowskiego” w listopadzie 1994 r. pod dyrekcją S. Gałońskiego. Wśród utworów skomponowanych przez siedmiu wybitnych kompozytorów polskich lwowskiego pochodzenia była też kompozycja T. Machla, a A. Hiolski zaśpiewał na otwarciu koncertu *Śliczną Gwiazdę Miasta Lwowa*.

◆ Na przełomie 2002/03 r. czynna była w krakowskim Muzeum Narodowym wielka **wystawa malarstwa Leona Wyczółkowskiego** (1852–1936) – w 150. rocznicę jego urodzin. Artysta urodził się na Podlasiu, studia malarskie odbywał w Warszawie, Monachium i Krakowie. Lata 1879–83 spędził w *L w o w i e* i Warszawie, potem przez 10 lat na Ukrainie, gdzie stworzył większość swych impresjonistycznych płócien. Wracał tam jeszcze parokrotnie. W roku 1910 spędził kilka miesięcy w Karpatach Wschodnich, tworząc tam *Tekę huculską* grafik. Przez kilkadziesiąt lat odwiedzał Tatry – powstało tam wiele znanych krajobrazów (szczególnie nad Morskim Okiem). W pierwszych latach XX w.



Jacek Malczewski, Autoportret z Muzyką (1905)

osiadł w Krakowie jako profesor ASP. Tworzył tu krajobrazy miejskie, obrazy kwiatów, portrety.

◆ W lutym dotarła wreszcie do Krakowa – na wystawę w Muzeum Czartoryskich – **kolekcja obrazów Jacka Malczewskiego**, będąca dziś w posiadaniu (prawem kaduka) Lwowskiej Galerii Obrazów. Składa się z kilkudziesięciu obrazów olejnych, akwarel i rysunków, obejmujących wszystkie okresy twórczości malarza, w tym jego 12 autoportretów, w tym takich, gdzie malarz przedstawia siebie jako jedną z postaci w fabule obrazu (np. parokrotnie jako Chrystus lub obok swej muzy, pani B. – tę wielką damę z majątku blisko Lwowa, pamiętamy jeszcze z wczesnych lat powojennych w Krakowie). Jest tam również wspaniały portret hr. Karola i Małgorzaty Lanckorońskich (rodziców niedawno zmarłej prof. Karoliny Lanckorońskiej), który reprodukowaliśmy w CL już w 1996 r. (nr 5). Był on uważany za zaginiony, ale w 1978 r. trafił do Galerii drogą zakupu. Ciekawe od kogo? – niewątpliwie musiał być u kogoś we Lwowie – piękne portrety Leona Pinińskiego, Tadeusza Baracza, Ludwika Żeleńskiego,

Kolekcja przeszła już przez kilka ośrodków w RP, poczynając od Sopotu, gdzie sporządzono b. staranny katalog – piszemy o nim w dziale *Nowe książki*.

Zwróćmy uwagę, że żadna prawie wystawa wielkiej sztuki polskiej nie może się obejść bez dużej – czasem przeważającej – części dzieł, przechowywanych we Lwowie. Członkowie krakowskiego oddziału TMLiKPW zwiedzili zbiorowo tę niezwykłą wystawę.

◆ W Niepołomicach k. Krakowa nadano ostatnio jednej z tamtejszych szkół imię **Włodzimierza Puchalskiego** (1909–1979), wybitnego fotografika, podróżnika, pioniera fotografii przyrody, autora wielu albumów i filmów. Przed szkołą odsłonięto jego popiersie. W Polsce istnieje już kilka szkół jego imienia.

Przypomnijmy, że żona i córka Puchalskiego ofiarowały muzeum w Zamku niepołomiczkim komplet pamiątek po nim, wraz z dorobkiem artystycznym. Utworzą one osobny dział muzealny. Pisałmy o tym w CL 3/96.

Pomnik Puchalskiego został też postawiony na Antarktydzie, blisko miejsca, gdzie zmarł i gdzie pozostało jego ciało.

◆ Znacomity artysta plastyk, scenograf, **Adam Kilian został laureatem** Nagrody Prezydenta RP za rok 2002, za twórczość i działalność artystyczną dla dzieci i młodzieży.

Adam Kilian pochodzi ze Lwowa, urodził się w 1923 r. (w tym roku obchodzi 80-lecie). 13/14 kwietnia 1940 został wraz z rodziną wywieziony (z ulicy Kadeckiej) na *nieładzką ziemię*. W Kazachstanie jego matka Janina Kilian Stanisławska stworzyła teatr lalek „Niebieskie Migdały”, który po powrocie prowadziła w Warszawie.

◆ W zabytkowym **sanktuarium w Kalwarii Paclawskiej** zakończono gruntowną konserwację unikatowego ołtarza, wykonane go w XVIII w. w warsztacie l w o w s k i m, na którym umieszczony jest późnobarokowy obraz św. Tekli. Prace konserwatorskie polegały na usunięciu wtórnych nawarstwień kolorystycznych i odsłonięciu pierwotnej kolorystyki oraz wymianie zniszczonych elementów konstrukcyjnych.

Kalwaria Paclawska leży na historycznej Ziemi Przemyskiej, a po odzyskaniu niepodległości (od 1918 r.) znalazła się w województwie lwowskim (obecnie podkarpackie). W ostatnich kilkunastu latach do sanktuarium docierają w uroczystości obchodzone święta piesze pielgrzymki zza kordonu, głównie z okolic Sambora, Dobromiła, Chyrowa, a nawet z dalsza.

◆ W Iwoniczu Zdroju zainaugurowano nową powtarzalną (oby!) imprezę: **Polonijne Spotkania Literacko-Artystyczne**, organizowane przez rzeszowską „Wspólnotę Polską”. W pierwszym spotkaniu na przełomie listopada i grudnia '02 wzięli udział poeci polscy spoza wschodniego kordonu oraz z Rumunii. Ze Lwowa przyjechały K. Angielska, S. Nowosad (ich wiersze już prezentowaliśmy) oraz Olga Sergijenko. Odbyły się spotkania poetyckie, seminaria literackie, a także wycieczki do okolicznych miejscowości, związanych z M. Konopnicką, A. Fredrą i I. Łukasiewiczem, czyli – po prostu ze Lwowem.

## Książki czasopisma internet


### Nowe książki

📖 Ukazał się album pt. **Kresy. Śladami naszych przodków**, złożony z około stu zdjęć ze słowem wiążącym i objaśnieniami **Jędrzeja Majki**. Istotny w swej wymowie jest wstęp, napisany przez ks. **Mieczysława Malińskiego** (wyd. „list'owa biblioteka”, tom IX. Wrocław 2002). Omówienie i swoje refleksje po lekturze wydawnictwa napisała dla nas p. Danuta Nespiak – jej obszerny tekst zamieszczamy w tym numerze i tam Czytelników odsyłamy.

Na marginesie: do uwag dr D. Nespiak dodamy jeszcze jedno drobne spostrzeżenie. Na s. 70–71 znajdujemy objaśnienie do ilustracji, w którym jest m.in. takie zdanie: *Barokowa cerkiew [św. Jura] łączy sztukę rokokową z planem kościoła wschodniego*. Autor się myli: katedra św. Jura ma plan barokowego kościoła zachodniego, na krzyżu *łacińskim*, a nie *greckim*. To, że ma kopułę, też nie świadczy o jego wschodniej formie, wszak kopuły ma w Europie większość dużych kościołów tego stylu (na czele z Bazyliką św. Piotra w Rzymie, kościołem św. Anny w Krakowie i Dominkanów we Lwowie). Jego związki

z bizantyńskim wschodem wykazuje natomiast szczególnie wystrój wnętrza. To samo zresztą dotyczy głównej cerkwi w Ławrze Począjowskiej. Pisaliśmy o tym w CL. Gdyby autor czytywał nasze *pisemko* (!), to by wiedział.

I jeszcze ciekawostka: w swojej *Rekomendacji* na temat omawianego wydawnictwa „Gazeta Wyborcza” (piórem MOL) napisała: *Trudno jednak uniknąć wrażenia zgrzytu, czytając zdanie [ks. Malińskiego]: „Lwów jest polski”. Może warto było dodać, że nie tylko.* Widocznie p. MOL niewiele wie o Lwowie, a zwłaszcza o „zgrzytach”.

 Album zatytułowany: **Polska – Kresy Wschodnie** (wyd. R. Kluszczyński, Kraków 2002) to książka w jakiś sposób niezwykła (z jednym zastrzeżeniem, ale o tym na końcu – przyp. red.): może przez to, że pokazuje wspólne cechy tego obszaru Europy, położonego pomiędzy Bugiem a Dniestrem, Dźwiną i Niemnem, i złączonego przez wieki przynależnością do Rzeczypospolitej wielu narodów, czy wręcz do Polski. Jak pisze autor – **Roman Marcinek**: *Bez poznania tych ziem, bez stanięcia oko w oko z ruinami Okopów Świętej Trójcy czy Żwańca, świątyniami Berdyczowa czy Począjowa, bez chwili zadumy w ostępach litewskiej puszczy czy na ukraińskim stepie – nie będziemy w stanie zrozumieć lwiej części naszej historii. I nie ma w tym żadnych wątków rewindykacyjnych, gdyż jest to wspólne przestrzeń cywilizacyjna: polsko-litewsko-ruska. Wszyscy bowiem jesteśmy dziedzicami tradycji wspaniałego państwa, ojczyzny wielu narodów, jakim przed wiekami była Rzeczpospolita.*


I dalej: *Bez ziemi dzisiejszej Ukrainy, Litwy czy Białorusi nie byłoby nie tylko Rzeczypospolitej, kresy były bowiem przedmurzem naszego państwa, ale zarazem całego chrześcijaństwa. Od dawna nadciągały tu ze wschodu, a potem także z południa, ludy poszukujące łupów i bogactw... Unia Lubelska stworzyła państwo budzące w krąg szacunek poszanowaniem praw i wolności obywatelskich, sejmowładztwem i tolerancją religijną. Do Zyguntowskich czasów przylgnęło określenie „Złoty Wiek”, a Lwów i Wilno wyrosły na najważniejsze obok Krakowa i Gdańska metropolie tej części Europy.* I w tej właśnie perspektywie stara się autor pokazać Kresy Wschodnie na 112 stronkach książki, ilustrowanych 220 zdjęciami, wykonanymi głównie przez Sergieja

W. Tarasowa, ale także przez R. Czerwińskiego, M. Grychowskiego, J. Kozina i J. Walczewskiego.

Książka podzielona jest na sześć części: *Ruś Czerwona, Podole i Braclawszczyzna, Na zielonej Ukrainie, Wołyń, Od Poleśia do Rusi Białej i Litwa.* Najwięcej podrozdziałów (bo aż 14, z tego 7 poświęconych Lwowowi) zawiera część pierwsza. W każdym rozdziale znajdujemy dane historyczne i odniesienia do problemów kultury, ilustrowane zdjęciami zabytków, krajobrazów, a także dzieł sztuki. W ten sposób sceneria geograficzna zostaje obficie nasycona historią i kulturą. Zapewne – jak w każdej książce – znaleźć można pewne braki i niedoskonałości, ale całość wywiera wspaniałe wrażenie i godna jest polecenia jako lektura dla wszystkich miłośników Kresów. (JW)

Jeden z tych *braków* czy *niedoskonałości* jest jednak trudny do zaakceptowania, stanowi bowiem – poprzez pominięcie istotnego fragmentu niedawnych dziejów – zafałszowanie historii. W bardzo pięknie napisanym (co przyznać trzeba) *Wstępie* autor pisze m.in. o zbrodniach sowieckich i hitlerowskich na Wschodzie, ale ani słowem nie wspominał o banderowskich rzeziach na Wołyniu i Małopolsce Wschodniej. Czy zatajenie wymordowania z najbardziej wyuzdanym okrucieństwem paruset tysięcy cywilnych Polaków z kobietami, dziećmi i starcami miało być ukłonem wobec autora zdjęć, który – jak można się domyśleć z brzmienia nazwiska – jest Ukraińcem (lub Rosjaninem)? To jednak zbyt wysoki koszt.

Dla pełnej jednoznaczności: na końcu tekstu autor u b o l e w a, że (między innymi) *na dźwięk słowa „Ukraińiec” wypełzają krwawe obrazy rzezi wołyńskich i postępków hajdamaków* [?]. Jest to wspomnienie całkiem oderwane, bo nie nawiązuje do niczego w treści powyżej. Jak to wszystko rozumieć? (Red.)

 W księgarniach znaleźliśmy nową krótką monografię Katedry lwowskiej, która może – w jakimś stopniu – pełnić rolę przewodnika po tym czołowym zabytku Miasta, choć nie jest do tego celu przeznaczona. Autorem bogato ilustrowanej książeczki jest **Tadeusz Czuba**, tytuł brzmi: **Gotycka Archikatedra łacińska we Lwowie**, a wydał ją Regionalny Ośrodek Kultury, Edukacji i Nauki w Przemyślu (2002).

Praca M. Czuby to chyba trzeci opis Katedry (osobny, nie licząc omówień w książ-

kach lub przewodnikach o szerszym zakresie rzeczowym). Pierwszym była chyba monografia Maurycego Dzieduszyckiego z r. 1872. W r. 1999 ukazał się obszerny, szczegółowy przewodnik Jerzego Petrusa (omawialiśmy go w CL 2/2000), jednak jest już chyba wyczerpany. Obecnie wydana książeczka, zawierająca historię Katedry i opis jej stanu obecnego oraz planiki i liczne fotografie, okazuje się częścią (pierwszą? – innych nie znamy) serii wydawnictw, zatytułowanej: *Zabytki Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej* – tak przynajmniej wynika ze znaczka, który figuruje na okładce. Jeżeli tak jest – czekamy niecierpliwie na następne.

📖 Wystawie lwowskiej kolekcji obrazów J. Malczewskiego, o której piszemy w dziale *Kultura* w tym numerze, towarzyszy luksusowo wydany (i drogi!) katalog pt. **Jacek Malczewski w zbiorach Lwowskiej Galerii Sztuki** (wyd. Państwowa Galeria Sztuki, Sopot 2002), będący w istocie pięknym albumem sztuki. Na ponad stu stronach

dużego formatu (B4) zreproduковано ok. 60 obrazów olejnych, akwarel i rysunków. Większość z nich pokazano nie tylko w całości, ale i ich wybrane fragmenty, które przybliżają ciekawe szczegóły (niejeden z nich mógłby być obrazem samym dla siebie) i manierę malowania.



📖 Pisaliśmy kilkakrotnie o urządzanych w krakowskiej Akademii Pedagogicznej Ogólnopolskich Konferencjach Naukowych poświęconych książkom, czasopiśmom i bibliotekom Krakowa i Lwowa w ostatnich dwóch stuleciach. Organizuje je Instytut Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej AP, kierowany przez prof. J. Jarowieckiego. Każdorazowo wydawany jest zbiór materiałów pokonferencyjnych i właśnie ostatnio dotarł do naszych rąk tom, stanowiący dorobek

V Konferencji z listopada 1999. Tytuł brzmi: **Kraków–Lwów. Książki, czasopiśma, biblioteki XIX i XX wieku** pod redakcją **Jerzego Jarowieckiego** (Wydawnictwo Naukowe Akademii Pedagogicznej, Kraków 2001).

Opasły tom obejmuje ponad 750 stron i zawiera 51 referatów (w tym dwa po ukraińsku). Warto zwrócić uwagę na geograficzne ukierunkowanie tekstów: 16 artykułów dotyczy tylko Lwowa, 18 – Krakowa, dalszych 8 łącznie o b u ośrodków i całej Małopolski. Po jednym referacie poświęcono Wołyniowi, Bukowinie i Wilnu. Dwa kolejne tematy dotyczą czasów po II wojnie, a trzy – spraw niepolitycznych.

Tak więc o kulturze Lwowa możemy przeczytać w 24 artykułach. Z tych najszerszą problematykę poruszają: E. Wójcik, *Ruch wydawniczy we Lwowie w okresie dwudziestolecia międzywojennego*; A. Aleksiewicz, *Twórcy naukowej książki w Galicji drugiej połowy XIX wieku*; Cz. Michalski, *Prasa sportowa Lwowa*. Pozostałe, nie mniej ciekawe, omawiają zagadnienia szczegółowe, w tym rozmaite tytuły, osoby, wydarzenia. O rozpiętości tematycznej świadczą np.: Z. Sokół *Tomasz Kulczycki, krawiec – redaktor i wydawca lwowski (1803–1883)* albo A. Głowackiego *Reorganizacja i zadania bibliotek na tzw. Zachodniej Ukrainie pod okupacją radziecką 1939–1941*.

📖 Przed sześciu laty omawialiśmy książkę napisaną przez prof. dra **Tadeusza Riedla** pt. *We Lwowie. Relacje* (CL 4/96). Teraz wyszła następna: **Lwów w pamięci i fotografii** (wyd. „Sudety”, Wrocław 2002). Obie są ciekawe i mają oryginalną konstrukcję, bo składają się z różnorodnych materiałów: własnych wspomnień, wspomaganych przedwojennymi fotografiami; wiadomości nabytych zapewne od starszego pokolenia, ale starannie sprawdzonych i wzbogaconych poprzez autopsję; a wreszcie zebrane rozmaite informacje, zazwyczaj rozproszone w okolicznościowych wydawnictwach. Zainteresowany osobiście dawnym Lwowem, a zwłaszcza coś-niecoś pamiętający z własnego dzieciństwa, odkryje tu materiał dla siebie pasjonujący. Nie znający Lwowa znajdzie mnóstwo informacji uzupełniających oficjalne przewodniki.

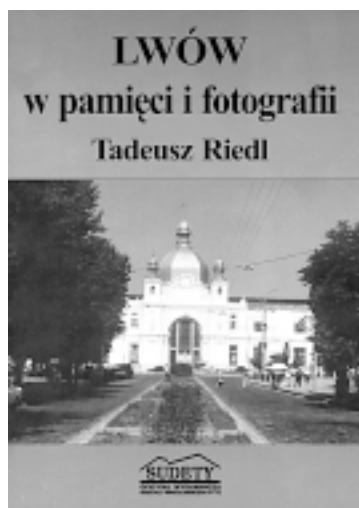
Nowa książka T. Riedla ma – jak i poprzednia – dwie zasadnicze części. Pierwsza (pomijając dość szerokie *Wprowadzenie* oraz *Krótki przegląd piśmiennictwa* (z lat po 1996 r.) nosi tytuł: *Ulicami miasta wśród jego obiektów i ludzi z nimi związanych*. Część ta o ponad 150 stronach to swego rodzaju przewodnik po mieście, ale przewodnik szczególny. Opowiada bowiem – prowadząc czytelnika przez całe miasto poczynając od Wysokiego Zamku, kończąc na Cmentarzu Janowskim – o wszystkich (albo prawie wszystkich) ważniejszych gmachach, opisuje instytucje i lokale, kościoły i pałace, a przy ich okazji wspomina setki postaci ważnych dla Miasta i Kraju. Pomija informacje dostępne w profesjonalnych przewodnikach – o dziełach sztuki i artystach (a jeśli ich wymienia, to po to, by dopowiedzieć ciekawą historyjkę). W zamian więc podaje takie dane i ciekawostki, których próżno by szukać w tamtych przewodnikach, a i zapytać nie ma już kogo. Najlepiej więc zwiedzać Lwów z dwoma podręcznikami: oficjalnym przewodnikiem i tomem Tadeusza Riedla. Jesteśmy przekonani, że nasi lwowscy *ciceroni* powinni tę książkę przeczytać (choć i bez tego są naprawdę kompetentni i sympatyczni).

Część druga pt. *Ulicami Miasta z ich mieszkańcami* sprowadza nas na poziom *p r y w a t n y*. Znowu wędrując przez miasto poznajemy ponad 100 miejsc zamieszkania znakomitych lwowian, prawie każde udokumentowane fotografią (85 stron).

Tu parę uwag: w domu przy ul. Nabelaka 55 mieszkało *t r z e c h* znakomitych profesorów: na parterze wspomniany przez autora W. Stożek, na I p. Zygmunt Klemensiewicz, a na II p. Zygmunt Ciechanowski. Natomiast nie mieszkał tam prof. R. Witkiewicz.

W kamienicy przy Senatorskiej 11a mieszkał nie tylko dr Artur Chwalibogowski, ale także dr Jerzy Chwalibogowski, dwa ostatnie piętra zajmowała zaś rodzina znanego architekta lwowskiego (wcześniej zmarłego) Eugeniusza Czerwińskiego, budowniczego i właściciela tego domu. Po ekspatriacji rodzina osiadła we Wrocławiu.

Szkoda, że pominięci zostali wspomniani w książce profesorowie Wincenty Czernecki, którego mieszkanie przy Bielowskiego 1 było miejscem spotkań inteligencji lwowskiej przez wiele lat po II wojnie (rodzina Czerneckich miała też willę w Brzuchowicach), a także Eugeniusz Romer, zamieszkały przy ul. Długosza 25. Ciśnie się




moc innych jeszcze nazwisk, zrozumiałe jednak, że nie da się wymienić wszystkich.

Potem mamy jeszcze rozdział o Uniwersytecie Jana Kazimierza z dokładnymi spisami katedr oraz profesorów i pracowników naukowych oraz opis Dworca Głównego z jego historią i rozkładem jazdy.

Na koniec ciekawostka szczególna: prof. T. Riedl jest entomologiem (wyjaśniliśmy to w CL 4/96 – proszę odszukać), nie pominął więc charakterystycznych dla Lwowa chrząszczy i motyli (10 gatunków), dając ich charakterystyki i fotografie.

Śpieszmy się tę książkę zakupić. Przy okazji propozycja nie do odrzucenia: we Lwowie działa grono wspomnianych już doskonałych przewodników. Warto by im zafundować parę egzemplarzy książki T. Riedla. Może uczyni to Wydawnictwo?


 **Ks. Paweł Heintsch**, którego wiersze i omówienie autobiograficznej książki zamieściliśmy w CL 2/02, nadesłał nam tomik swoich – jak je nazwał – lwowskich minnowelek, zatytułowany *Przedmioty* (wyd. Krajowa Agencja Wydawnicza, Lublin 1998). Tytuły każdego z pięciu opowiadań to nazwy przedmiotów, które miały szczególne znaczenie w latach dziecięcych i młodzieńczych autora i które obdarzał szczególnym sentymentem. Ich opisy na tle historycznych okresów i występujących wówczas wydarzeń to wspomnienia wyrażające nostalgiczne uczucia, towarzyszące wyjazdowi z ukochanego Lwowa oraz jego ciepły, życzliwy



stosunek do rodziców, kolegów i znajomych osób. Opisanie szczegółów mają charakter uniwersalny, a więc czyta się je jakby wspomnienia własne.

Autorka posłowia, M. Wełna, porównuje literackie opisy przedmiotów Księdza Pawła z malarskimi obrazami *martwych natur*, które kojarzą się z wyborem pięknych i z sentymentem traktowanych przedmiotów, będących treścią prac artystycznych wielkich malarzy. (IS)


Bardzo chcielibyśmy – jeśli Książd wyrazi zgodę – przedrukować jedno z opowiadań na naszych łamach.

 Bardzo aktywny oddział krakowski Związku Sybiraków wydaje od roku 1995 kolejne tomy dokumentów i wspomnień, związanych z deportacjami Polaków na Syberię, do Kazachstanu i w inne rejony *nie-ludzkiej ziemi* – przede wszystkim z czasów II wojny światowej. Główna seria wydawnictw, przygotowywanych przez Komisję Historyczną, nosi nadtytuł *Tak było... Sybiracy*, a ukazało się ich dotąd osiem tomów (plus kilka poza tą serią).

Tom 8. nosi tytuł: **Wyszli z Andersem** i zawiera m.in. wspomnienie **Janiny Soleckiej** pt. *Losy rodziny. Podole-Lwów-Kazachstan-Afryka (1939-1947)*. We wstępie do książki czytamy: Janina Solecka [...] napisała wspomnienia (z myślą o swoich bliskich), które są przekazem szkicowym, bardzo osobistym, chwilami też emocjonalnym, oddają dramatyzm doświadczeń. Deportowana ze Lwowa do Kazachstanu, z dwójkiem swoich małych dzieci, rodzicami i siostrą, przeżyła dwa lata ciężkiej pracy i skrajnej nędzy w kołchozach. W Kazachstanie umarł jej ojciec. Po amnestii przedostała się na południe, tam przeżyła tragiczną śmierć swojej siostry. Z dziećmi i matką wydostała się z ZSRR wraz z Armią gen. Andersa do Iranu, skąd przez Indie dotarła do Afryki. W afrykańskich obozach dla polskich uchodźców spędziła kilka lat. Wróciła do Kraju w 1947 roku.

Dodajmy, że autorka (ur. 1908 we Lwowie) była córką Stanisława Postępskiego, dyrektora Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie (mieszkała przy ul. Długosza 27). Ukończyła Gimnazjum im. Królowej Jadwigi oraz Wyższą Szkołę Gospodarczą na Snopkowie (ogrodnictwo), a także


kursy jęz. francuskiego w Grenoble. Wyszła za mąż za Adama Soleckiego, właściciela majątku Mszaniec na Podolu. Ma troje dzieci. Od II wojny mieszka w Krakowie.

 W związku z wyniesieniem na ołtarze Józefa Bilczewskiego ukazało się wiele okolicznościowych wydawnictw, nie zdołaliśmy jednak ich wszystkich omówić we właściwym czasie. W Jego rodzinnych Wilamowicach w 1. rocznicę beatyfikacji wyszły następne, a jednym z nich jest specjalne wydanie miesięcznika diecezjalnego (diecezja bielsko-żywiecka) „A propos kultury i sportu” pt. **Błogosławiony abp. Józef Bilczewski** (2002). Znalazło się tam sporo bogato ilustrowanych artykułów (na 30 stronach formatu A4) o Błogosławionym, o Jego duchowej sylwetce i działalności we Lwowie, a także o Wilamowicach. Imieniem bł. Józefa została nazwana tamtejsza szkoła podstawowa oraz Parafialne Kluby Sportowe całej diecezji.

Warto wspomnieć, że Wilamowice założyli w XIII w. osadnicy z Flandrii, którzy stamtąd uciekli przed prześladowaniami, zaś wiele okolic w Polsce opustoszało w tym czasie na skutek najazdów tatarskich. Przez kilka wieków, aż do ubiegłego, w Wilamowicach żywy był język o korzeniach flamandzko-niemieckich. Dziś zna go niewiele osób. Oto jego próbka – piosenka przepisana z omawianego wydawnictwa:


*H kannt ae moll mackija śyjn  
An inda must yh eu num gyjn  
An ufys zann an mytum zaejn,  
Bo skunt ae muł sun taha cy faejn.*

(znałem raz dziewczynę,  
z którą zawsze chciałem być  
i patrzeć na nią,  
bo tak pięknie i powabnie uśmiechała się  
do mnie.)

 Wydawnictwo „Wołanie z Wołynia” (Biały Dunajec–Ostróg 2002) wydało już drugą – tego samego autora i o tej samej postaci (pierwszą omawialiśmy w CL S/2000) – książkę pt. **Apostof Kościoła milczenia o. Serafin Kaszuba OFM Cap.**, autorstwa **o. Hieronima Warachima**. Obie książki są dwujęzyczne.

Autor przybliżył postać niezwykłego kapłana, urodzonego w 1910 r. we Lwowie. Ojciec Serafin mimo wątłego zdrowia udał się w 1940 r. na Wołyń, aby tam służyć lu-

dziom posługą duszpasterską. Władze sowieckie ścigały go za „nielegalną” pracę kapłańską. W 1963 r. udał się dalej na wschód. Stał się wędrownym duszpasterzem katolików, rozsianych na terenach Ukrainy, Syberii i Kazachstanu. Ufając bezgranicznie Boskiej Opatrzności znosił wygnanie, zsyłki i więzienia. Swym życiem realizował wolę Chrystusa, który powiedział: *Idźcie na cały świat i nauczajcie wszystkie narody*. Umarł we Lwowie 20 września 1977 r., pochowano go na Cmentarzu Janowskim. W grudniu 1992 r. krakowska Prowincja Kapucynów rozpoczęła jego proces beatyfikacyjny. (MW)

 Zawsze z zainteresowaniem sięgam do tomików poetyckich **Krzysztofa Kołtuna**. Tym bardziej, iż jego poetycką pielgrzymkę śledzę od debiutu książkowego w 1984 roku. Był to tomik *Powrót*. W tamtych latach istniała jeszcze cenzura i tak dosłownie nie można było publikować tekstów, również wierszy, poświęconych Kresom. Był to temat oficjalnie zakazany. I choć wspomniany tomik Kołtuna nie traktował dosłownie o Kresach, to na pewno zapowiadał tęsknotę, powrót do – jak to modnie dzisiaj się nazywa – *małej ojczyzny*. Dla Krzysztofa – choć on zalicza się do powojennego pokolenia pochodzącego z Chełma – tą mityczną, wyteńskioną krainą marzeń są okolice Lubomla na Wołyniu. Tak więc poeta Krzysztof Kołtun swymi dotychczasowymi tomikami – nolens volens – *zaszuffadkował się* jako piewca i dla wielu odkrywca – Kresów. Obawiam się, że poeta z tej szuffadki już się nie wysmyknie. Ale dobrze mu z tym – wszak kresowych tematów poetyckich nigdy mu nie zabraknie!


Z dużą uwagą zabrałem się za ostatni tomik ***Wołyńska Litania*** (wyd. Ośrodek „Wołanie z Wołynia”, Biały Dunajec–Ostróg 2001). Przeczytałem – wszak to litania! – stwierdziłem ze zdumieniem. I czytałem ponownie, ze szczególną uwagą i nabożeństwem – wszak to modlitwa. Ale czego się spodziewałem, skoro taki tytuł nosi książka? Nie zdziwię się, gdy kiedyś w jakimś kościółku nagle usłyszę wołanie do Boga słowami *Wołyńskiej Litanii* według Krzysztofa Kołtuna. I być może to będzie sukces, i to o wymiarze ponadpoetyckim, gdy Krzysztofowa litania wejdzie do kanonu modlitw.

Bo to jest przecież niezwykła modlitwa zwracająca się do Madonn i Chrystusów Kresowych, czy to egzystujących – jak ta Matka Boska Poczajowska królująca na Wołyniu, czy do tych, co wygnano wraz z wiernymi na zachód – jak ta z Klewania, co trafiła aż pod Gorzów, czy też inne zaginione w czas pożogi wojennej. I tylko czekać, by do tych słów – już tak dźwięcznie, samoistnie brzmiących w uszach – ktoś napisał muzykę, która doda dramatyzmu i jeszcze większej dostojności tej modlitwie, temu poetyckiemu utworowi.

Skoro już zdecydowałem się na omówienie tej książki, to nie mogę jej tylko zachwalać, ale i braki pewne wskazać. Ale to już przytyk nie tyle do autora, co wydawcy, czyli Ośrodka „Wołanie z Wołynia” w Białym Dunajcu. Można było bowiem opatrzyć pozycję przypisami, z których jasno by wynikało, czy wymieniony cudowny obraz istnieje i gdzie się obecnie znajduje. Fakt, że książka wtedy znacznie by się rozrosła, ale jakże wtedy jej wartość dokumentarna by wzrosła. Wprowadźcie autor posłowia ks. Witold J. Kowalów przywołuje wydaną przez Ośrodek książkę autorstwa Tadeusza Kukiza *Wołyńskie Madonny i inne obrazy sakralne w diecezji łuckiej*, gdzie dzieje wspomnianych przez Kołtuna obrazów są zapewne opisane, to przecież nie każdy, kto zetknie się z modlitwą Kołtuna, trafi na książkę Kukiza.

Zachęcając do lektury tomiku Krzysztofa Kołtuna *Wołyńska Litania*, życzę autorowi, by ta jego modlitwa przetrwała na ustach rozmodlonych wiernych, jak pieśni *Chwalcie łąki umajone* czy *Nie opuszczaj nas*, napisane przez lwowianina, ks. Karola Antoniewicza, w kanonie polskiej pieśni kościelnej od XIX wieku. (JP)

Książkę można zamawiać w Ośrodku „Wołanie z Wołynia”, 34-520 Poronin, skr. poczt. 9.

 Nie czytaliśmy:

**Shimon Redlich, *Razem i osobno. Polacy, Żydzi, Ukraińcy w Brzeżanach 1919–1945*** (wyd. „Pogranicze”, Sejny 2002). Autor, profesor historii w Izraelu, rodem z Brzeżan.

Janusz M. Paluch (JP), Irena Suchanek (IS), Danuta Trylska-Siekańska (DTS), Jacek Walczewski (JW), Marek Wenecki (MW)

## Krakowskie Sokóły pamiętają o Macierzy

W krajobrazie kultury Krakowa przed pięcioma laty pojawiło się na nowo czasopismo Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” pod tradycyjnym tytułem „Przegląd Sokoli”. Takie bowiem pismo – choć w całkiem innym formacie i objętości oraz częstotliwości ukazywania się – wydawało krakowskie Gniazdo w latach 1909–14 i 1921–24. Miesięcznik ten był organem I Okręgu (krakowskiego) Związku Gimnastycznych Towarzystw Sokolich. Natomiast w 1924 r. wprowadzono ogólnopolskie pismo sokolskie „Przewodnik Gimnastyczny «Sokół»”, który przeniesiono wtedy do Warszawy – z e l w o w a (gdzie ukazywał się od 1881 r. jako organ Związku Towarzystw Gimnastycznych „Sokół”).

Przypomnijmy, że Gniazdo „Sokoła” zawiązało się w Krakowie osiemnaście lat po lwowskim „Sokole-Macierzy” – w roku 1885. Niebawem wzniesiono piękny gmach na ówczesnych rubieżach miasta, przy ulicy Wolskiej\*. Działalność „Sokoła” w całej Polsce przerwała II wojna. Gniazdo krakowskie reaktywowało w 1945 r., ale tylko na dwa lata. Nastąpiła parodzieścioletnia przerwa pod komunistycznym reżimem, a nową próbę podjęto w r. 1981, jednak stan wojenny znowu przekreślił szanse. Bezskuteczna była kolejna próba w r. 1983. Dopiero rok 1989 przyniósł wyzwolenie – także dla polskiego „Sokoła”. Prezesem został,

i do dziś nim pozostaje – druh Konrad Firlej.

Nielatwe warunki ekonomiczne w Kraju, i w konsekwencji w krakowskim „Sokole”, nie pozwoliły od razu na przywrócenie wydawania periodyku. Nastąpiło to dopiero w r. 1998, a pewną rolę odegrał tu kwartalnik krakowskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i KPW, które – dzięki przychyl-

ności prezesa Firleja znalazło w gmachu „Sokoła” swoją siedzibę. „Cracovia-Leopolis” stał się więc na samym wstępie wzorem i *akuszerem* „Przeglądu Sokolego” – pierwszy numer sokolskiego pisma, wydany z końcem 1998 r. jako *Zwiastun*, ukazał się w formie dodatku do CL, pod jego międzynarodowym symbolem ISSN\*\*. Okładka *Zwiastuna* PS miała jako tło okładkę „Cracovia-Leopolis”. Kolejny, drugi numer PS pojawił się już jako pismo w pełni niezależne.

W ciągu czterech i pół lat wydano 12 numerów „Przeglądu Sokolego”. Oznacza to, że ukazuje się średnio co 4 1/2 miesiąca, zmierza jednak do częstotliwości kwartalnika. Naczelnym redaktorem jest obecnie mgr Małgorzata Szewczyk, a w redagowaniu biorą udział prezes Konrad Firlej oraz redaktor bratniego CL – Andrzej Chlipalski. Format pisma – B5, objętość 24–32 stron. Swoje artykuły zamieszcza często lwowianin z urodzenia, wychowania i poczucia, druh Andrzej Pawłowski, naczelnik „Sokoła” w Krakowie.

W piśmie znajdujemy materiały o różnorodnym charakterze. Jest sporo artykułów i ilustracji historycznych. W każdym prawie numerze omawia się jedno z gniazd, współpracujących z krakowskim „Sokolem” – pisano już o Raciborzu i Ziemi Raciborskiej, Tarnowie, Zakopanem, Niepołomicach, Gorlicach, Wadowicach, a także o „Sokole” czeskim, z którym krakowskie Gniazdo łączy bliskie stosunki.

Nie zapomina się o opacowaniach fachowych na temat wychowania fizycznego, gimnastyki i sportów. W każdym numerze podaje się relacje z zawodów i turniejów, a także wycieczek – sporo zagranicznych. Rumieńców każdemu numerowi dodaje kolumna sokolej poezji oraz kolorowa wkładka z fotografiami (czasem sepiowa – ze starymi zdjęciami).

Pismo to omawiamy jednak nie ze względów *kumoterskich*, bowiem od samego początku, w każdym numerze znajdujemy tam *leopolitana* (szeroko rozumiane). Już w *Zwiastunie* omawiano obchody 130-lecia „Sokoła” lwowskiego w czerwcu 1997 r. w Krakowie i Lwowie, kiedy to pod Wysoki Zamek udała się kilkudziesięcioosobowa delegacja z Krakowa.

W nrze 2 A. Pawłowski obszernie opisał wizytę sokolej młodzieży z Krakowa na obchodzone we Lwowie Dni Krakowa. Ten sam autor w nrze 3 relacjonował konkurs wiedzy o Obronie Lwowa 1918 r., zorganizowany w karkowskiej Sokolni. W nrze 5



poświęcono wspomnienie lwowianinowi, druhowi Adamowi Majewskiemu (1921–1999), urodzonemu w Stryju.

W nrze 8 znalazło się wspomnienie druha dra Jana St. Dobruckiego z Kanady, czortkowiec (ur. 1921, z ojca tarnopolanina). Przy okazji zamieszczono artykuł o samym Czortkowie. W nrze 9 pisano o udziale krakowskich Sokółów w Legionie Wschodnim i w szlaku bojowym II Brygady Legionów Polskich oraz o pomnikach tam pozostałych...

Nr 10 przyniósł ponownie – w 135-lecie – nawiązanie do powstania „Sokoła-Macierzy” we Lwowie (artykuł wraz z kalendarium M. Szewczyk), a zaraz po nim artykuł D. Dudka: *A zaczęło się w Skolem* na temat pierwszych kursów instruktorów wychowania fizycznego, organizowanych tam przez lwowski „Sokół”. I jeszcze w tym samym numerze: relacja z pobytu w Krakowie w czerwcu 2002 r. na zaproszenie „Sokoła” młodzieży polskiej z Nadwórnej.

Numerzy 11 i 12 poświęcono w dużej części Wilnu, które w 2002 r. odwiedziła grupa z krakowskiego „Sokoła.

\* Od lat międzywojennych ulica ta nosi imię Marszałka Piłsudskiego (numer domu 27).

\*\* Oznaczenie ISSN dla czasopism (a dla książek ISBN) nadaje Biblioteka Narodowa w Warszawie.

## Wertując wydawnictwa

➔ W „Tygodniku Powszechnym” ukazały się w ostatnich miesiącach dwa wywiady *kardynalskie*: w listopadzie '02 (nr 46) K. Skowroński rozmawia z kard. Lubomirem Huzarem, w styczniu '03 (nr 1) J. Strzałka z kard. Marianem Jaworskim. Kardynał Huzar **wytacza dziesiątki pretensji** do Kościoła łacińskiego, działającego za jałtańskim kordonem, kard. Jaworski stara się zarzuty odeprzeć. Trudno dokładnie relacjonować oba długie i *interesujące* teksty, warto jednak parę problemów przytoczyć.

Zarzuty Huzara to: ● Kościół rzymskokatolicki nie deklaruje się, czy jest polski, czy ukraiński. ● *Schematyzm* (spis kościołów i księży) Kościoła rz.-kat. jest wydawany w jęz. polskim, a nie ukraińskim (!). ● Kościół rz.-kat. działa na całej Ukrainie, oni tylko

w „Galicji” (to ich denerwuje, ale kto im wienien? Przecież już budują sobie katedrę grekokatolicką w Kijowie). ● Kościół rz.-kat. dostaje pomoc finansową z Polski i z innych krajów, a oni nie (to oczywiście nonsens, bo oni dostają pomoc z całego świata, m.in. z Watykanu i *od swoich* w Ameryce, a także z Polski, bo ich klerycy kształcą się w naszych seminariach). ● Kościół rz.-kat. *zawłaszcza* młode małżeństwa, udzielając ślubów u siebie (a podobno ma być wedle obrotu narzeczonego. Nasze pytanie: Dlaczego? Przecież ludzie są wolni!). I tak dalej.

Kardynał Jaworski odpowiada na to spokojnie i rzeczowo. Przede wszystkim wyjaśnia, że Kościół łaciński nie jest ani polski, ani ukraiński – jest Kościołem *k a t o l i c k i m*, to znaczy powszechnym. Dalej deklaruje te i inne bezpodstawne zarzuty.

Chcielibyśmy jednak – naszym zwyczajem – postawić „kropkę nad i”. Podejrzewamy, że kard. Huzar chciałby nie bez powodu szybko zukrainizować Kościół łaciński i jego wiernych. O tym ciągle piszemy: wynarodowieni Polacy z czasem pójdą z natury *z a w i ę k s z o ś c i ą* w tamtym państwie – do cerkwi grekokatolickiej lub nawet do prawosławia, zależnie od środowiska, w jakim przyszło lub przyjdzie im żyć. Wtedy Kościół rzymskokatolicki zamknie swoje podwoje. Huzar dobrze o tym wie. I nie tylko on.

➔ Ostatnio więcej czytamy i oglądamy w publikacjach o **zbrodniach sowieckich i ukraińskich** na zajętych Ziemiach Wschodnich. W lutym omawiano i uczczono 63. rocznicę rozpoczęcia w lutym 1940 deportacji Polaków na *nieludzką ziemię* przez okupanta sowieckiego – dramatu, który w naszej zbiorowej pamięci przybrał miano *Golgoty Wschodu*.

Ku naszej satysfakcji aktywizuje się (oby nie jako *słomiany ogień*) informacja medialna na temat ukraińskiego ludobójstwa, nb. określanego w sposób niepełny (czy chodzi o celowe umniejszanie skali ze strony polityków i ignorancję dziennikarzy?) jako *mordy na Wołyniu* lub *rzezie wołyńskie*, podczas gdy to, co się działo na Wołyniu, to dopiero połowa. Druga połowa to zbrodnie w Małopolsce Wschodniej – głównie w województwie tarnopolskim – a jest już na ten temat ogromna literatura: dokumenty i relacje. Zastanawia nas, dlaczego to przekłamanie nie jest kwestionowane ani przez hi-



Jedną z tych licznych książek, które omawiają bezprzykładne zbrodnie ukraińskich nacjonalistów wobec Polaków

staryków, ani przez organizacje kresowe, z TMLiKPW oraz Federacją Organizacji Kresowych na czele?

„Rzeczpospolita” 8/03 zamieściła znakomity artykuł Ewy Siemaszko *Prawda przede wszystkim* (o fundamentalnej księdze napisanej przez Władysława i Ewę Siemaszków pisaliśmy w CL S/01).

W tym samym numerze „Rzeczpospolitej” ukazał się także artykuł Bogumili Berdychowskiej (! – patrz CL 4/02, s. 60) pt. *Spotkanie nad mogiłami*. Tekst ten traktuje oczywiście przede wszystkim o perspektywie tzw. pojednania, ale takie zdania – z p o z o r u słuszne – budzą nasze wątpliwości co do zachowania właściwych proporcji:

[...] oprócz środowisk ekstremistycznych po obu stronach granicy [!?] są ludzie, którzy uważają, że jeżeli zachowa się elementarny szacunek dla wrażliwości drugiej strony, to pomimo dramatycznych, a nawet tragicznych zaszczości historycznych można prowadzić dialog polsko-ukraiński.

Nie ulega wątpliwości, iż większość zgromadzonych [na Cmentarzu Łyczakowskim 1 listopada '02 w czasie wspólnej modlitwy kardynałów Jaworskiego i Huzara – przyp. red.] zdawała sobie sprawę, że nie będzie to dialog łatwy. A to przynajmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, ze względu na złożoność i dramatyzm polsko-ukraińskiej historii; po drugie zaś dlatego, że sami Ukraińcy nie odbyli jeszcze wielkiej debaty na temat swojej historii. Jeżeli Polacy nie wezmą pod uwagę zwłaszcza tego ostatniego faktu, skazani będą na postępującą frustrację, a dialog stanie pod znakiem zapytania. Dobrze to mieć na uwadze szczególnie w obliczu zbliżającej się 60. rocznicy antypolskiej akcji [...] OUN-UPA na Wołyniu. [...]

Czy to ostrzeżenie, żebyśmy się zanadto nie wychylali? Taki sens można też odnaleźć w publikacjach – w skądinąd s p r a w i e d l i w y c h – „Gazety Wyborczej”. Dziennikarz podpisujący się MAW przyta-

cza cytaty (bez krytycznego komentarza, a w innych artykułach w GW – już z pełnym podpisem jako Marcin Wojciechowski – wykazuje głębokie zrozumienie dla wrażliwości Ukraińców) z jakiegoś kijowskiego tygodnika, gdzie czytamy, że w Polsce, w przygotowaniach 60. rocznicy tragedii – [...] szczególną aktywność przejawiają organizacje społeczne skupiające „ofiary ukraińskiego nacjonalizmu”, weteranów Armii Krajowej, która walczyła z UPA w obronie polskiej ludności cywilnej Wołynia. Stworzony przez te środowiska społeczny komitet obchodów rocznicy swoje stanowisko formułuje jasno: „Chcemy włączyć się w prace komitetu państwowego pod warunkiem zachowania w wystąpieniach publicznych prawdy historycznej, a zwłaszcza: a) polska ludność cywilna na kresach południowo-wschodnich w latach 1939–47 była poddana zagładzie masowej; b) tego przestępstwa zgodnie z rozkazem dokonały regularne oddziały UPA kierowane przez Organizację Ukraińskich Nacjonalistów, w wielu przypadkach wspólnie z oddziałami policyjnymi SS Galizien...” Myślę, że większość poważnych polskich historyków wstrzymałoby się z podpisem pod takimi sformułowaniami. [...]

A niby dlaczego? Przecież to prawda obiektywna.

Berdychowska i publicysta GW piszą oczywiście o wołyńskiej tragedii. O Małopolsce Wschodniej nie słyszeli? (a może nazwa tego regionu przeszkadza? No to niech piszą o Galicji Wschodniej, też będzie zrozumiale). Na szczęście czytelnik w sposób pełny o sprawie może przeczytać w artykule Ewy Siemaszko.

➔ Wydawane w Wielkiej Brytanii polskie pismo zatytułowane **Głos Emigracji i Kwartalnik Kresowy** omówimy niebawem na naszych łamach w stałej rubryce *Jest co czytać*. Nim to jednak nastąpi, warto zacytować dwa celne komentarze, autorstwa Romana Mitruda, zawarte w tamtejszym dziele *Silva Rerum* w nrze 15 (X 2002).

■ W ukraińskim piśmie „Postęp” [Postęp] z 21 września, ukazującym się we Lwowie, przeczytaliśmy, że p. Zenobij Kryworuczka „posyłać [powołując się] na awtorytety Jurija Szuchewycza i Jarosława Daszkewycza” zaproponował radnym Lwowa, by umożliwili eksport Cmentarza Orłąt

na teren Polski. „Inicjatywa ta wynika – czytamy dalej w „Postupie” – gdy Jacek Kuroń zapewnił, że podobnego memoriału nie ma w Polsce. To dlaczego nie podarować go Polakom?” Czytałem i pomyślałem, co my możemy w zamian podarować ukraińskim lwowianom? Może Jacka Kuronia jako honorowego obywatela Lwowa? A może nasz żal, że tyle wieków strawiliśmy starając się przerobić wtedy Rusinów, a obecnie Ukraińców, na Europejczyków, i że się nam to nie udało?

■ Przewodniczący Komisji Europejskiej Romano Prodi powiedział [...], że jego zdaniem, pomimo możliwości ścisłej współpracy z Rosją i Ukrainą, te kraje n i g d y nie zostaną członkami UE. Byłoby to zgodne z poglądem wielu polityków europejskich, którzy uważają, że do UE powinny wejść tylko te państwa, które Europę budowały, wniosły wkład do jej kultury i należą do kultury łacińskiej. Echem słów Prodiego były słowa szefa dyplomacji UE, Javiero Solany, powiedziane 16 października na konferencji „Ukraina w Europie”, odbywającej się w Warszawie. „Musicie zacząć od budowy partii politycznych opartych na zasadach i ideałach – radził – a nie na interesach, co można odbierać jako korupcję. A tego nie da się zaprowadzić do europejskiego domu”.

➔ W „Gazecie Wyborczej” z 30 XII'02 znaleźliśmy wspomnienie Romana Szagały o **generale ukraińskim Włodzimierzu Salskim** (1885–1940). Artykuł ten ukazuje nieznaną szerzej fakty o pomocy władz polskich II Rzeczypospolitej dla szkolenia kadry oficerskiej przyszłej (!) armii Ukraińskiej Republiki Ludowej.

W. Salski urodził się w Ostrogu na Wołyniu. Był wybitnym działaczem wojskowym i politycznym. Najpierw służył w armii carskiej, potem był uczestnikiem naczelnych władz wojskowych (1917–20) URL, a w końcu znalazł się na e m i g r a c j i w Polsce i nadal działał na czele środowiska ukraińskiego za zgodą władz polskich, zwłaszcza J. Piłsudskiego. Oto kilka fragmentów z artykułu R. Szagały:

[...] Po powrocie do władzy Józefa Piłsudskiego w 1926 r. był współautorem raportu o stanie ukraińskiej emigracji politycznej, jej aspiracjach i dążeniach, zawierającego postulaty dotyczące wykorzystania

czynnika ukraińskiego w ostatecznym uporządkowaniu Wschodu.

W sierpniu 1926 r. złożył na ręce pułkownika Walerego Sławka obszerny memorandum, w którym postulował utworzenie sztabu ministra spraw wojskowych URL. Miał to być sztab zaprzyjaźnionej armii chwilowo przebywającej w gościnie na terenie polskim i korzystającej z pomocy technicznej i materialnej sztabu Wojska Polskiego. Gen. W. Salski rozwinął szeroką działalność mającą na celu wyszkolenie kadry oficerskiej dla przyszłej armii ukraińskiej. Dzięki jego staraniom przyjęto na służbę kontraktową [w WP] około 50 oficerów oraz kilkanaście osób do szkół podchorążych i szkół kadetów [...] Przyniósł się do zorganizowania oficerskich grup szkoleniowych przy ponad 70 [!] oddziałach Ukraińskiego Komitetu Centralnego. W latach 30. na służbę kontraktową w WP przyjęto 34 oficerów ukraińskich. [...] Jego sztab opracował plany mobilizacyjne przewidujące utworzenie w ciągu 30 dni stutysięcznej armii ukraińskiej. [...]

Generał [...] prosił dowództwo polskie, aby oficerowie kontraktowi w razie konfliktu zbrojnego [z Niemcami] nie brali w nim udziału z uwagi na inne ich przeznaczenie. [...] ale w praktyce wszyscy oni uczestniczyli w wojnie obronnej 1939 r. [...] W późniejszych latach wielu z żyjących zostało nagrodzonych. [...] Gen. Salski miał syna Jerzego, który uczył się w szkole lotniczej w Dęblinie, a w czasie wojny walczył w polskich jednostkach lotniczych w Anglii. (DTS)

➔ W Krakowie zaczęło wychodzić nowe pismo społeczno-kulturalne „Matecznik”, a jego tematyka obraca się głównie wokół problemów kultury i awansu wsi i miasteczek, ogólnie – prowincji. Pod tym kątem dobierane są teksty pisarzy i o pisarzach, bogaty wybór wierszy, materiały o sztuce ludowej i etnografii, o edukacji i recenzje z wydawnictw. Redaktorem naczelnym jest współredaktor naszego kwartalnika, Janusz M. Paluch, ale niniejsza notatka nie ma charakteru kumoterskiego, bo świeżo otrzymany nr 2 zawiera **sporo leopolitanów**. Znalazły się tam refleksje dwóch młodych pań z ich pierwszej podróży do Lwowa (ale nie ostatniej, jak zapowiadają). Tekst sympatyczny, jednak autorki zauroczone urodą miasta, jakby nie zauważyły jeszcze, że są

tam w istocie *dwa Lwowy*, które nie mają ze sobą wiele wspólnego. Może za następnym razem?

Jest też kilka wierszy młodych lwowskich poetek: Heleny Duniec, Ireny Masalskiej, Ireny Nuckowskiej, Barbary Zajdel. Parokrotnie pojawia się nazwisko znanego nam już w CL poety Krzysztofa Kołtuna: są wiersze i recenzja jego tomiku, a także napisany przezeń artykuł o kresowych studentach w Chelmie (gdzie mieszka) – ze Lwowa, Sambora, Wilna, Kazachstanu.

➔ 60. rocznicę tragicznej śmierci **wielkiego artysty Brunona Schulza** (1892–1942) uczczono w Drohobyczu w 2002 r. wmurowaniem tablicy pamiątkowej (o kontrowersjach z tym związanych pisaliśmy w CL), wystawą i okolicznościowym wydawnictwem pt. *Drohobycz i Schulz*. Kolorowy i dwujęzyczny album – przy udziale polskich konsultantów – wydało Polonistyczne Centrum Naukowo-Informacyjne przy Państwowym Uniwersytecie Pedagogicznym w Drohobyczu. W albumie znalazło się wiele archiwalnych i aktualnych zdjęć oraz teksty samego Schulza, a także Jerzego Ficowskiego i prof. Jerzego Jarzębskiego z Krakowa. Całość pod względem merytorycznym, graficznym i wydawniczym prezentuje się bez zarzutu.

Przy okazji: w „Rzeczypospolitej” 9/03 znalazł się artykuł W. Budzyńskiego (autora omawianej niedawno w CL książki). *Schulz ginie po raz drugi* przypomina dramat niewoli i śmierci wielkiego drohobyczanina oraz jego niezwykle ostatnie dzieło – malowidła ścienne – wykradzione do Izraela. Zauważmy, iż dramat polega na tym, że owa szczególna pamiątka po Brunonie Schulzu, z pochodzenia Żydzie, a z wyboru – w życiu i twórczości – Polaku, dostała się przed kilkudziesięciu laty – z całym Drohobyczem – w ręce najzupelniej nieodpowiedzialne, a fakt ten w sposób niecny wykorzystano (patrz CL 3/01).

➔ W „Gazecie Lwowskiej” 17–18 i 19–20 z ub. r. ukazał się ciekawy artykuł (w dwóch częściach) o **dziejach lwowskiej Filharmonii**, napisany przez prof. Leszka Mazepę.

➔ **Dość sprzeczne uczucia** budzi wydana przez zachodniopomorski oddział „Wspólnoty Polskiej” broszurka pt. *Poradnik dobrych manier w zarysie i krótki opis obyczajów*, napisana przez Tadeusza Kaweckiego (Szczecin 2000). Dobrze rozumie-

my potrzebę takiego poradnika dla *repatriantów*, przede wszystkim z b. Związku Sowieckiego, którzy poddawani od paru pokoleń wychowaniu w swoistych konwencjach życia społecznego (we wszystkich jego przejawach) mają trudności w przystosowaniu się do zasad oczywistych dla kultury europejskiej, niekoniecznie utożsamianych z *sa-voir-vivrem* (jako „wyższą szkołą jazdy”).

Poradnik napisany jest językiem dość skomplikowanym i porusza zagadnienia w sposób „przedwojenny”. Nie, to nie znaczy, że jesteśmy przeciwni dobremu wychowaniu w tradycyjnym znaczeniu. Tylko *nie czas żałować róż, gdy płoną lasy*. Repatrianci (chodzi przecież głównie o tych z Wschodu) to ludzie w większości wychowani w dość osobliwym (bo świadomym) lekceważeniu przyjętych – w naszej szerokości geograficznej – norm. Sformułowania zawarte w tej książeczce będą dla nich wręcz śmieszne (dla nas też). Trudno je wymieniać, bo trzeba by przepisać całą 30-stronicową broszurę! Ale dla przykładu (s. 17): *...patrzac na jakąś książkę lub przedmiot można powiedzieć: „O, widzę, że jest Pan/Pani w posiadaniu znanego dzieła literackiego” lub „...w posiadaniu niezwykle interesującej rzeczy”*. Albo (s. 18): *Jeśli w przyjęciu biorą udział zbyt głośno zachowujące się dzieci gospodarzy, nie czynimy uwag, że u nas dzieci mają swój pokój i swoje zajęcia, dając do zrozumienia, że dzieci powinny być uciszone lub odesłane do innych pomieszczeń* [a może należałoby przywołać bonę?].

A w teatrze (s. 25): *...Strój powinien mieć charakter wizytowy, tzn. dla kobiety może to być ciemna garsonka z jasną bluzką lub sukienka ze skromną biżuterią, dla mężczyzny ciemny garnitur z jasną koszulą i krawatem. Jeśli chodzi natomiast o uroczyste premiery, to dla obojga obowiązują stroje wieczorowe, dla pań wieczorowa sukienka i także dodatki, dla panów smoking... Po spektaklu mężczyzna powinien odprowadzić lub odwieźć zaproszoną kobietę do domu [tylko nie podano, do czego], chyba że kobieta stanowczo odmawia, wtedy odprowadza się ją do taksówki*.

I tak dalej. Taki więc dobór porad i ich treść są całkowicie chybione, a w dodatku przestarzała forma uniemożliwia przyswojenie sobie teoretycznie słusznych zasad.



Są też informacje mylące: jako *najważniejsze polskie święta kościelne* wymieniono m.in. karnawał (!), Andrzejki i św. Mikołaja. Przy omawianiu karnawału informuje się, że (s. 9): *...jada się w każdym niemal domu pączki i faworki, a także najróżniejsze racuszki smażone na tłuszczu*. Oto propozycja dla ludzi, którzy jeszcze przez wiele lat będą z trudem wiązać koniec z końcem (przynajmniej w grubej większości).

Opracowanie zostało zapewne zlecone osobie niezbyt zorientowanej w problematyce kulturowej repatriantów, ich przyniesionych ze sobą przyzwyczajeniach (czasem negatywnych, czasem pozytywnych, choć innych od przyjętych u nas), zawsze trudnych do całkowitej zmiany. A przede wszystkim w ich dramatycznej sytuacji materialnej. Szkoda, że nikt tego nie przemyślał i na końcu nie sprawdził.

➔ W „Naszej Polsce” 7/03 znajdujemy bardzo ważny i potrzebny artykuł pióra dr Danuty Nespiaik i Jerzego Biernackiego pt. **Zrabowane, przywłaszczone, zaginione**, a dotyczący dóbr kultury z Małopolski Wschodniej i dalszych Kresów. Autorzy porównują metody grabieży obu okupantów czasu II wojny światowej:

Niemcy [...] byli do tej grabieży lepiej przygotowani pod względem organizacyjnym niż Sowieci: dysponowali zespołem profesjonalistów, szczególnie listami polskich dzieł sztuki i zbiorów muzealnych. W zespole specjalistów niezwykle czynny był Dagobert Frey, historyk sztuki, profesor uniwersytetu we Wrocławiu [...]. W tzw. Generalnym Gubernatorstwie pierwszy wywóz dzieł sztuki jesienią 1939 roku organizował specjalny oddział untersturmfuehrera Petera Paulsena, który w cywilu był profesorem prehistorii na uniwersytecie berlińskim. [...] 1 grudnia 1939 r. reichsfuehrer SS Heinrich Himmler wydał rozporządzenie, na mocy którego wszystkie publiczne zbiory sztuki w archiwach i muzeach oraz prywatne zbiory polskie – malarstwo, rzeźba, meble, księgozbiory, artystyczna biżuteria – mają być skonfiskowane i przekazane do dyspozycji komisarza Rzeszy. [...]

Pierwszymi okupantami Lwowa byli Sowieci. Ich akcje niszczenia i rabunku miały charakter bardziej chaotyczny, po azjatycku barbarzyński, ale równie skuteczny. 29 września 1939 r. NKWD zarekwirowało w Ossolineum zdeponowane tam przez arystokrację i ziemiaństwo depozyty złotych i srebrnych przedmiotów. [...] W czasie drugiej okupacji sowieckiej (trwającej od lipca 1944 r.) m.in. prowadzono we Lwowie w latach 1949–1952

akcję „oczyszczania zbiorów muzealnych i bibliotecznych z dzieł szkodliwych”, kierowaną przez towarzysza L.O. Lubczyka z Muzeum Sztuki Ukraińskiej [...] Na żądanie centrali partii w Kijowie zapakowane do 70 skrzyń zbiory [...] miały być przetransportowane do stolicy sowieckiej Ukrainy. Jednakże nie dojechały tam, ponieważ Z.K. Litwin, sekretarz partii we Lwowie, polecił zniszczyć cały zasób na miejscu. Według świadectw rozbijano, cięto i niszczone wszelkimi sposobami owe zbiory przez 5 dni [...].

Autorzy artykułu wymieniają najważniejsze dzieła sztuki i ich zespoły – zrabowane, zniszczone i zaginione. Na końcu informują o zasobach ocalałej części polskiej sztuki, przetrzymywanej nieprawnie przez państwo ukraińskie. Ten fragment artykułu przedstawimy naszym Czytelnikom przy innej okazji.

➔ Przez parę lat ukazywały się w krakowskim „Dzienniku Polskim” kolejne odcinki (w sumie 46) niezwyklej opowieści zatytułowanej **Wielkie zwycięstwa Rzeczypospolitej**, pióra Jerzego Besali. W postwoju ostatniego odcinka (DP 32/03), poświęconego wiktorem pod Wiedniem i Parkanami, autor napisał, że jego *założeniem było przywrócenie dumy Polakom, że mają tak wielką historię na polach bitew, a nawet polityki*.

Oczywiście wojny i bitwy, zwycięstwa (rzadziej) i klęski (częściej) czasów Rzeczypospolitej szlacheckiej toczyły się na wschodzie, od zachodu był wtedy spokój. Była to więc obrona Polski, ale i Europy, bo to na naszych wschodnich rubieżach załamywały się nieustanne ataki tatarskie i tureckie (niezrządkiem wspomagane przez Kozaków i Wołochów). Ich celem była nie tylko Polska – wszak Tatarzy już w XIII w. doszli aż pod Legnicę (ale tylko raz!), a Turcy po czterech i pół wiekach najeżdżania Polski próbowali drogi do Europy przez Wiedeń. W obu wypadkach, i jeszcze w wielu innych, obroniliśmy Europę, co zyskało nam miano *przedmurza chrześcijaństwa* – tak wykpiwane za PRL-u, kiedy to nie nasze, a cudze interesy dyktowały oceny historii. Pisze też o tym autor:

[...] *Polska z podręcznika dziejów miała być, wedle założeń propagandy, co najwyżej niespokojnym kopciuszkim Europy, a nie mocarstwem, jakim de facto była. Szlachta zaś pyszałkowata, egoistyczna, anarchizująca, gubiąca państwo, a wojska – sobiepańskie i zdemoralizowane. Taki obraz*

*i wnioski można było wyczytać z wielu podręczników szkolnych [...]*

*W ten sposób w świadomości Polaków po II wojnie światowej powstała wielka dziura, wypełniona różnymi mniej lub bardziej bezsensownymi mitami [...]*

Dodajmy, że tę dziurę mamy do dziś – pisaliśmy o tym w *Słowie od Redakcji* w CL 2 i 4/02 – ale nasz największy niepokój budzi to, że rozciąga się ona na podręczniki szkolne, co utrwała ją – tę dziurę – na następne pokolenie. Czy to następne pokolenie Polaków potrafi wziąć się w garść?

➔ Na łamach „Rzeczypospolitej” (296/02) pan Andrzej W. (nasz szczególnie *ulubieniec*) snuje swoje rozmyślenia nad upadłą partią, w której z zapalem działał, i wróży jej cudowne zmartwychwstanie. To oczywiście jego zmartwienie, nas jednak ubawiło co innego. Oto na samym wstępie sążnistego artykułu napisał tak: *W imieniu tysięcy członków Unii dedykuję im wszystkim stary wiersz z czasów dawnych walk politycznych: Malinowski robi trumnę, a ja jemu g... umrę.*

Coś mu dzwoniło, nie wiedział jednak w jakim kościele. Nie każdy – tym bardziej, jeśli pochodzi z głębokiej centralno-polskiej prowincji (*Polska jest jak obwarzanek...*) – musi rozumieć słynne powiedzonko, gorzej, gdy mu się to miesza z *wielką polityką*, o której zapomniać ciężko (*Iza się w oku kręci...*).

Otóż, Wielmożny Panie, prawda jest o wiele bardziej przyziemna. To legendarne powiedzonko lwowskich batiarów brzmi: **Pan Krukowski robi trumny, a ja jemu gównu umry.** Pan Krukowski był właścicielem znanego zakładu pogrzebowego, a *u m r y*, to po lwowsku znaczy *umrę* (tłumaczymy na wszelki wypadek, gdyby Pan nie mógł pojąć). Niskie ukłony.

➔ Przeczytaliśmy w prasie, że gdzieś koło Gorlic czynna jest najmniejsza w RP, trzyklaszowa szkoła dla 9 łemkowskich dzieci. Gdy chciano ją – jak inne podobne (choć tak małych chyba nigdzie nie było) – zlikwidować, przyjechał tam zaraz z odsieczą Kuroń i – załatwił. W podzięce szkoła przyjęła imię *Jaceka* Kuronia. Trzeba zauważyć, że koszty tej kokieterii wobec mniejszości narodowych (szczególnie ruskich) ponoszą polscy podatnicy, to znaczy my wszyscy. W innych przypadkach władza jest bezlitosna.

Szkoda, że temu opiekunowi uciśnionych dzieci nie przyszło do głowy, by zainteresować wśród swoich przyjaciół, gdy przez wiele lat Ukraińcy blokowali budowę szkół dla polskich dzieci w Mościskach i Strzelczyskach, a nadal to czynią w wielu innych miejscowościach.

Elżbieta Mokrzyńska,  
Danuta Trylska-Siekańska (DTS)

## INTERNET

**Nadeszła nowa epoka. Cały świat korzysta z internetu jako niezwykłego medium porozumiewania się, przekazywania oraz zdobywania wiadomości na wszelkie tematy i z całego świata. Nie możemy więc i my nie zacząć korzystać z tej nowości medialno-technicznej. Dziś inauguracja!**

Nie informowaliśmy dotąd Czytelników, że artykuły z **CRACOVIA-LEOPOLIS** są od ponad roku dostępne są w internecie, chociaż nie mamy swojej strony internetowej. Dzieje się to natomiast za sprawą naszego Czytelnika z Gdańska, p. S. Kosiedowskiego. Ale już zgłaszają się następni entuzjaści naszego kwartalnika i też chcieliby nas w internecie spopularyzować (tu zastrzegamy – na wszelki wypadek – że nikt na tym nie zarabia, korzyść jest w i r t u a l n a, a dla nas propagandowa).

W niniejszej rubryce będziemy podawać wiadomości i materiały podobne do tych z rubryki *Wertując wydawnictwa*, ale pozyskane za pośrednictwem internetu.

Przy okazji informujemy, że najczęściej na stronie internetowej <polskiLwów@yahoogroups.com> zgłaszają się: Eugeniusz Flaszecki (Gienek), Stanisław Kosiedowski, S. i J. Szybalscy (USA), Anna Gordijewska (Lwów).

Znaleźliśmy na stronie internetowej „Polski Lwów” taki oto list (podajemy z niewielkimi skrótami):

*Jestem pochodzenia polskiego i mieszkam w Sao Paulo, Brazylia. Mój ojciec pochodził ze Lwowa, nazywał się Artur Tadeusz Müller, urodzony 20 X 1893, był muzykiem, kompozytorem i pianistą, i w swoim*

czasie wystawił we Lwowie operetkę własnej kompozycji pt. *Król kawy*.

*Artur Müller, jego ojciec i mój dziadek, urodził się w r. 1857, zmarł 15 III 1946. Wiktoria Feur, jego matka i moja babcia, urodziła się w r. 1865 i zmarła 19 X 1944. Dnie, miesiące i miejsca ich urodzin nie są mi znane. Pobrali się 4 IX 1887 we Lwowie. Zamieszkiwali na ul. Piekarskiej 19. Ciekaw jestem, czy ten adres jeszcze istnieje i co tam teraz stoi?*

*Ja piszę obecnie historię mojej rodziny, staram się odnaleźć wszystko co możliwe na jej temat. Wiem, że moi dziadkowie są pochowani na cmentarzu Łyczakowskim, chciałbym odnaleźć ich grób. I może też w jakiś sposób partyturę tego utworu, która może jeszcze znajduje się w jakimś zbiorze teatralnym. Załączam odpis ówczesnej recenzji na temat operetki (Wiadomości Teatralne):*

Najnowsza operetka polskiego pochodzenia „Król kawy” lwowskiego kompozytora Artura Tadeusza Müllera jest rzeczą mającą wszelkie widoki powodzenia za granicą. Jest to pierwsza znana mi operetka polska oparta na melodiach na wskroś modnych, co jest głównym warunkiem powodzenia każdej operetki. Jeżeli można mówić o wpływach, odczuć się w niej daje pewien wpływ genialnego Kalmana, od którego młody kompozytor nauczył się mistrzowskich wprost efektów, zwłaszcza w ustępach dramatycznych i sentymentalnych. Równocześnie jednak foxtrotty i bluesy utrzymane są w najnowszym stylu amerykańskiej muzyki dancinowej, o niezwykle dowcipnych przejściach harmonicznym, przerywane raz po raz pikantnymi synkopami, a walce śmiało mogą iść w zawody z najlepszymi walcami dzisiejszych kompozytorów wiedeńskich. Jest w tym „Królu kawy” tango i trzy foxtrotty i dwa bluesy i trzy walce i dwie pieśni i kilka dobrych małych piosenek oraz okazały, niemal operowy finał drugiego aktu, a nawet samodzielnie stworzona, z muzycznego punktu widzenia – czy raczej słyszenia – niezwykle ciekawa nowa forma, nazwana przez kompozytora „New step a la Valencia” o frazach pięciotaktowych.

Ale nie tylko pod względem stylu – również pod względem swej pierwszorzędnej klasy ma „Król kawy” znaczenie jako pierwsza polska operetka stojąca na poziomie prawdziwie europejskim. Po zwycięstwach polskiej ekipy w Ameryce, po tryumfach Kiepurzy i Syma, przyjdzie może raz kolej i na polskiego kompozytora operetkowego. „Le roi du café”, „Der Kaffeekönig”, „The King of Coffee” tytuł brzmi niezłe we wszystkich językach. No, no, daj mu Boże...

Libretto N. Maya i przedowcipne teksty śpiewane Harrymana (oczywiście pseudonimy) osnute po części na tle prohibicji alkoholu w Ameryce, rozgrywa się na pokładzie luksusowego parowca w drodze z Londynu do Nowego Yorku, na dachu drapacza chmur w Ameryce i na plantacji kawy na Hawaju.

Wszystkie akty pod względem środowiska barwnie pomyślane, dają wspaniałe pole do popisu dla dekoratora – można też zwiąć nadzieję iż – dzięki uznaniu i szczególnemu poparciu Dyrekcji Miejskich Teatrów i komisji teatralnej – wystawa zaćmi wszystkie dotychczasowe operetki. [...]

Batutę objął dyr. Leszczyński [...]. Sam fakt, że przyjął kierownictwo tej operetki, świadczy o wartości kompozycji. Na pewno wydobędzie on wszystkie instrumentacyjne walory partytury – bo instrumentacja to specjalny konik Mullera, który strawił całe lata mozolnych studiów nad partyturami mistrzów Kalmana i Lehara... Słowem horoskopy dla nowej operetki nadzwyczajne...

Prawdziwie sensacyjną wiadomość chowam na sam koniec! Kompozytor pertraktuje ze znanym Dreimasken-Verlag o wystawieniu „Króla kawy” w Berlinie, z początkiem przyszłego sezonu [...]. Z. Lek.

*Pragnę też się dowiedzieć, czy mógłbym dostać adres jakiejś instytucji albo klubu we Lwowie, która mogłaby pomóc w moich poszukiwaniach. [...] Andrzej Müller.*

Może Lwowskie Towarzystwo Miłośników Sztuk Pięknych i Radio Lwów zechciałyby pomóc panu Andrzejowi? A my będziemy szukać w Krakowie.

## Listy do redakcji



W odpowiedzi na naszą notatkę w CL 4/02 (na s. 40) napisał do nas p. Jan Bątkowski, o którym tam wspominaliśmy:

Z ogromnym wzruszeniem przeczytałem notatkę „Nad Sukiem, Świcą i Łomnicą”. Cieszę się, że moja „piękna akcja” (jak określa autor) dotarła do Krakowa do Waszego wydawnictwa. Moja działalność na rzecz Polaków w Bolechowiu trwa od 1994 roku, zaczęła się od mojej wizyty – pierwszej po 50 latach od wyjazdu z Bolechowa.

Do pracy tej włączyłem moją żonę i przyjaciela. Razem prowadzimy na zlecenie Wspólnoty Polskiej w Warszawie na cmentarzach inwentaryzację

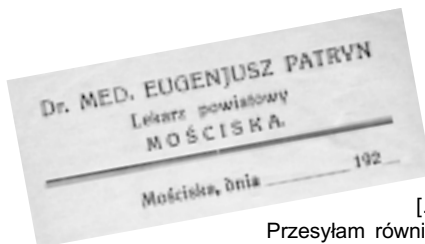
polskich grobów. Zinventaryzowaliśmy ponad 1000 grobów w miejscowościach: Bolechów, Dolina, Kałusz, Rożniatów, Stryj, Stara Sól, Skole, Żydaczów, Żurawno, Rozdół, Mikołajów. Praca bardzo żmudna, ale podejrzewam, że niedługo nasze karty inventaryzacyjne będą jedynym śladem historii. Stan prawie wszystkich grobów wymaga natychmiastowej renowacji. Według naszej oceny cmentarz w Bolechowie jest najbardziej zadbane.

Oprócz pracy charytatywnej i inventaryzacyjnej starałem się służyć pomocą merytoryczną przy budowie kościoła w Bolechowie i Dolinie.

*Pan mgr Jerzy Patryn, zamieszkały w Lublinie, dowiedziawszy się o przygotowywanym przez nas numerze „przemyskim” (CL 1/03), nadesłał krótką informację o swoich rodzicach, którzy kiedyś mieszkali i pracowali w samym środku Ziemi Przemyskiej. Niestety list dotarł do nas za późno, gdy numer był już kopiarty, zamieszczamy go więc dopiero teraz (szkoda, że tekst nie jest obszerniejszy – nadawałby się do Sylwetek). Oto informacja naszego Korespondenta:*

Mój ojciec dr Eugeniusz Patryn, po skończonych studiach lekarskich na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, do roku 1926 pracował jako lekarz powiatowy w Mościskach. Od roku 1927 przeniósł się do Lwowa, gdzie pracował w szpitalu na Łyczakowie.

Matka moja Eugenia Patryn, po ukończonym Seminarium Nauczycielskim w Weiswasser k. Wiednia, uczyła w szkole w Mościskach geografii, kaligrafii i ortografii. Dyrektorem tej szkoły był p. Wrubel (jego syn Stanisław, dr med. okulista, obecnie mieszka i pracuje w Legnicy).



Przesyłam również zachowaną z tamtego okresu receptę, którą mój ojciec się posługiwał.

*Dziękujemy, informacje te włączymy także do Indeksu Wschodnich Małopolan. Przydałyby się daty urodzin i śmierci, jak również dane o innych członkach rodziny.*

List z Gdańska od pani W. Krzysztofiak:

Jesteście drodzy, kochani, czytam Wasz kwartalnik zawsze z przyjemnością i uwagą. Jak dobrze, że piszecie o Lwowie i jego wspaniałych niegdyś mieszkańcach, cudownych Polakach o gorących sercach i świątłych umysłach. Takich teraz jest coraz mniej, a nawet – kto wie? może wcale nie ma...

Gdy patrzę na mapę, która wisi u mnie w pokoju na ścianie, serce mi się ściska z bólu (bez żadnej przesady)! Przecież gdyby ten totur [...] Stalin, a za zgodą jego sojuszników (Churchilla i Rosevelta) poprowadził granicę tak jak szła u góry południkiem 24 i kilkanaście minutami – to Lwów przypadłby Polsce! Ale nie, on wiedział co robi, takiego miasta drugiego (no, może poza Krakowem) nie było i nie ma w Polsce! [...]

*Za dobre słowa dziękujemy, a co do Lwowa – jesteśmy tego samego zdania. Bardzo Panią przepraszamy za zdefektowany egzemplarz – niestety takie błędy drukarskie się zdarzają, na szczęście rzadko, bo drukarnia solidna. Drugi egzemplarz już do Pani wysłałmy.*

---

## Czasopismo Oddziału Krakowskiego

### Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

---

Redaguje zespół: Andrzej Chlipalski (redaktor naczelny), Barbara Kościak, Janusz M. Paluch  
Rada Redakcyjna: Andrzej Chlipalski, Barbara Czałczyńska, Ireneusz Kasprzyski, Barbara Kościak, Romana Machowska, Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska, Irena Suchanek, Maria Taszycka, Marta Walczewska

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich  
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27

Informacje o prenumeracie: Romana Machowska, tel. (12) 637-13-21

---

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413-35-00, 294-15-28, fall@inetia.pl

Druk: Poligrafia Kurii Prowincjalnej Zakonu Piłjarów, 31-015 Kraków, ul. Piłjarska 2

---

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania srodków. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright by Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

---



### **Plan kazimierzowskiego Lwowa, XIV w. (stan z XVII/XVIII w.)**

Charakterystyczna szachownica ulic, pośrodku rynek z ratuszem i innymi zabudowaniami miejskimi. W narożnym kwartale kościół parafialny – późniejsza katedra. Podwójny pierścień murów obronnych, dwie bramy. Kościoły i klasztory zlokalizowane na obrzeżu: przy murach lub poza nimi (z własnymi fortyfikacjami) dla dodatkowej ochrony miasta.

1. Rynek z ratuszem, 2. kościół parafialny (katedra łacińska), 3. klasztor Bernardynów, 4. klasztor Karmelitów. 5. klasztor Dominikanów, 6. klasztor Jezuitów, 7. klasztor Trynitarzy, 8. kościół ormiański (katedra), 9. cerkiew Wołoska 10. synagoga, 11. brama Krakowska, 12. brama Halicka, 13. Niski Zamek, 14. osada przedlokacyjna (z czasów ruskich).



# Spis treści

Słowo od Redakcji  
SŁUDZY BOŻY

Felieton  
Barbara Czałczyńska  
O LUDZIACH STAMTĄD II

Tadeusz Gaydamowicz  
O KSIĘDZU JANUSZU POPŁAWSKIM

Naszym zdaniem  
RATUJMY ZABYTKI SAKRALNE

Stanisław Dziedzic  
„WŁÓCZĘGA BOŻY”  
NA NIELUDZKIEJ ZIEMI

Janusz M. Paluch  
BISKUP JAN OLSZAŃSKI

Paweł Naleźniak  
LWOWSCY REFORMACI

Poezja  
Kazimierz Wierzyński  
LITANIA ZIEMI LWOWSKIEJ  
Mariusz Olbromski  
DOKĄD, PANI ŁASKAWA...

Proza  
Ks. Lesław Jezowski  
AVE MARIA

Rozmowy  
Janusz M. Paluch  
ROZMOWA ZE STEFANEM BERDAKIEM

Jacek Walczewski  
PRZYGODA Z KSIĄŻKĄ I LWOWEM

Jerzy Nalepa  
ŁĘDZIANIE

Naszym zdaniem  
AKOWCOM Z KRAKOWA  
I WADOWIC KU PAMIĘCI

Danuta Nespik  
O PEWNYM ALBUMIE DUŻĄ  
I MAŁĄ LITERĄ

Archiwum  
Kazimierz Międzobrodzki  
ZE STANISŁAWOWA NA SOWINIEC 31

II Ucrainica  
AZBUKA CZY ABECADŁO 32

Karol Odrycki  
NASZE MIASTA 34

Sylwetki  
M. Nesterczuk  
SZTUKA USKRZYDLONA 37

Irena Suchanek  
ZE LWOWA DO KRAKOWA 38

Z tamtej strony  
WYDARZENIA 39

Słownik geograficzno-  
-historyczny  
BALICE ♦ BEŃKOWA WISZNIA  
♦ MIŻYŃCIEC ♦ RUDKI 39

W Krakowie i dalej  
NOTATKI 44

Polacy z Polakami  
Teresa Kulikowicz-Dutkiewicz  
SPOTKANIE REDAKTORÓW  
KALIFORNIA I LWÓW 43

16 Kultura ♦ Nauka  
Teresa Kulikowicz-Dutkiewicz  
O IV FESTIWALU SZERZEJ 46

17 Anna Gordyjewska  
X LAT RADIA LWÓW 49

Stanisław Sochaniewicz  
LWÓW I KRAKÓW W CYWILIZACJI  
EUROPEJSKIEJ  
KRONIKA 50

24 Książki ♦ Czasopisma  
♦ Internet

26 Janusz M. Paluch, Irena Suchanek,  
Danuta Trylska-Siekańska  
Jacek Walczewski, Marek Wenecki  
NOWE KSIĄŻKI 54

KRAKOWSKIE SOKOŁY PAMIĘTAJĄ 60

28 Elżbieta Mokrzyńska, Danuta Trylska-Siekańska  
WERTUJĄC WYDAWNICTWA 61

INTERNET 66

29 Listy 67